

Jan Weiss  
MULLERDOM  
MA TYSIĄC PIĘTER



Jan Weiss

Mullerdom  
ma tysiąc pięter

( Dũm o tisíci patrech)

Przełóżył  
Edward Madany

# Spis treści

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)

[Rozdział XXVI](#)

[Rozdział XXVII](#)

[Rozdział XXVIII](#)

[Rozdział XXIX](#)

[Rozdział XXX](#)

[Rozdział XXXI](#)

[Rozdział XXXII](#)

[Rozdział XXXIII](#)

[Rozdział XXXIV](#)

[Rozdział XXXV](#)

[Rozdział XXXVI](#)

[Rozdział XXXVII](#)

[Rozdział XXXVIII](#)

[Rozdział XXXIX](#)

[Rozdział XL](#)

[Rozdział XLI](#)

[Rozdział XLII](#)

[Rozdział XLIII](#)

[Rozdział XLIV](#)

[Rozdział XLV](#)

[Rozdział XLVI](#)

[Rozdział XLVII](#)

[Rozdział XLVIII](#)

# I

Zacząło się od snu. — Człowiek na schodach. —  
Czerwony chodnik. — Kim jestem?

Był to potworny sen. Pusta czaszka wypełniona mrokiem, a pod sufitem żółte światelko. W jego blasku ludzie grają w karty, choć mróz jest tak tęgi, że pod warstewką szronu nie można rozeznaczyć kolorów. Nieco dalej — szeroka płaszczyzna, jakby zawieszona ty powietrzu — a na niej cały rząd ciał ułożonych ciasno jedno obok drugiego. Wszyscy leżą na lewym boku ogrzewając wzajemnie zeszywniałe kolana i stężałe brzuchy, Kiedy jeden się poruszy, pociąga za sobą cały łańcuch ciał i, jak na komendę, ogniwa przekręcają się, przewracają na drugi bok. — — I znów przywierają do siebie, kolana podciągają do góry, korpusy łączą w jedną całość. — — — Ale to i tak ich nie rozgrzeje. Kostnieją powoli, nawleczeni na długą igłę mrozu..

Nagle — olbrzymia łapa schwyciła zmarzniętą

czaszkę wypełnioną przekłętymi majakami i cisnęła ją w ogień. — Czaszka pęka! — Potworny, nieznośny ból — a potem przebudzenie.

Człowiek ocknął się z ciężkiego snu. Ogarnął wzrokiem skośną płaszczyznę sufitu. — Najpierw pomyślał:

— Gdzie ja jestem?

Schody! Za poduszkę służył mu pierwszy stopień przykryty czerwonym chodnikiem. — Poręcz znajdowała się przy ścianie i wyglądała jak zwisająca, szkarłatna lina, po przeciwnej stronie wznosił się skośnie do góry rząd marmurowych stożków.

— Gdzie ja jestem?

Człowiek skoczył na równe nogi. — Do góry czy na dół?

— Do góry!

Kleszczami rozpędzonych nóg chwycił po trzy, cztery stopnie. Pusta płaszczyzna półpiętra bez okien i bez drzwi. I znów schody pokryte czerwonym chodnikiem. Potem piętro, ślepe, głuche, z białą kulą pod sufitem. — — Czerwony chodnik. — Do góry! — — Szkarłatna lina zwisa po prawej stronie jak

nieskończenie długi wąż, po lewej zaś znowu stożki.

Kiedy się to wreszcie skończy? Gdzie są drzwi? Człowiek pędzi w górę. Szumi mu w głowie. Krwawy wodospad chodnika zalewa mózg.

Zatrzymał się. — Może.. może by lepiej było na dół? — Zawrócić! — Nie! Za późno! Jestem już za wysoko. — Naprzód!

I znów piętro! — Jeszcze jedno! Już nie mogę!... To będzie ostatnie! — I nowe piętro, takie samo, wywalony ozór czerwonego chodnika.

Boleśnie zakłuło w sercu, nogi się pod nim ugięły. — Nie można już dalej, nie można. — — Gdzie ja się dostałem?... Kto?... Ja?... A kim ja jestem?...

Przeraźliwa myśl! — Nagłe zaskoczenie! — Człowiek oburącz chwycił się za głowę.

— Kim ja jestem?

Mózg milczy... Pamięć zawiodła...

— Jak się nazywam? — Jak wyglądam? — Skąd się tu wzięłem?. . O Boże, przecież jakoś się nazywałem.. ale jak... ale jak?

Och, jak bolą skronie, kiedy dręczy tyle pytań. — Przypomnieć tylko sobie, a wszystko się wtedy



wyjaśni i te schody znikną... co się ze mną dzieło?

Wyrastają przed nim nowe piętra, ślepe i głuche, i każde ma jedno słońce pod sufitem — elektryczną lampę z mlecznego szkła.

## II

Straszne odkrycie. — Ręce. — Twarz? —  
Notatki w notesie. — Okazja zostania detektywem.  
— Księżniczka Tamara.

W szalonym biegu do góry człowiek zatrzymał się po raz drugi. — Przerazenie! — W białym kącie leży kupka białych rozsypujących się kości. Potwornie wykręcony kręgosłup pełza wśród nich jak żmija. W rogu walają się szczątki rozbitej ludzkiej czaszki. Nad nędzną kupką kości, na ścianie, na wysokości klęczącego człowieka wryty monogram „S. M.” Pod nim pięć poziomych kresek.

Co to znaczy? Jakiś nieznajomy wdzierał się tu przede mną... „S. M.” Dobrnął do tego piętra i padł ze zmęczenia. Umierał klęcząc i w ostatniej chwili wydrapał paznokciem napis nad swoim grobem! — Pięć kresek... czyżby błędził przez pięć dni? — A może umierał przez pięć godzin?

Lodowaty strach zatrzęsł biegnącym człowiekiem.

Uciekać! Uciekać stąd! Gdzie? — W górę!... Schody i schody. Czerwony chodnik przeszywa mózg jak rozżarzony drut. — Kiedy to się skończy? — Och, żebym ja wiedział, kim jestem! Mimo bólu, który miazdży skronie, trzeba sobie przypomnieć! — Przekłęta pamięć! Co się z nią stało? — Przeszłość! Wspomnienia! Potworny ból! — Kto ja jestem?

I nagły błysk — ręce! — Tak, to moje ręce... na pewno wszystko sobie przypomnę, kiedy zobaczę własną twarz. — Białe ręce o długich wąskich palcach i różowe plamki na dłoniach. Rękawy białej jedwabnej koszuli, biały krawat, białe płócienne półbuty... a twarz? Jak ją poznam?

Człowiek chwycił się obiema rękami za twarz. Delikatnym dotykiem dłoni chciał uchwycić jej obraz, kształt, piękno lub brzydotę, starość albo młodość... Nos, usta, włosy — ciemne czy jasne?...

Nagle błędząca ręka dotknęła czegoś twardego w wewnętrznej kieszeni marynarki. Skórzany portfel, a w nim notesik. Już na pierwszej stronie znalazł notatkę wykaligrafowaną obcą ręką.

I. Przejść przez cały Mullerdom i zbadać wszystkie piętra. Dostać się do jego zamkniętych części.

II. Towarzystwo Eksportowe i Importowe „Wszechświat”, podróż na gwiazdy.— Czy to czasem nie podstęp?

III. Cudownie lekki metal „Solum”, z którego produkuje się statki międzygwiazdne. Ile w tym jest prawdy?

IV. Kim jest Ohisver Muller? Dobroczyńcą ludzkości czy potworem? Dlaczego ukrywa się przed światem?

V. Niewyjaśnione porwania pięknych kobiet. — Księżniczka Tamara.. — Co się z nimi stało?

— Co to znaczy, czy jestem detektywem? — zdziwił się człowiek. — A może to zadania, które mi powierzono? Jakie więc są ich podstawowe założenia? — Ale czyż mogę pracować nie mając pamięci?

Zaczął kartkować notes. Nagle wypadły z niego trzy małe wycinki z gazet.

Pierwszy:

## UCIECZKA CZY PORWANIE

Dziś w nocy zniknęła ze swej sypialni księżniczka Tamara wraz z damą do towarzystwa — Eli. Przypuszcza się, że została porwana i przewieziona w samolocie na „Wyspę Pychy”, gdzie znajduje się słynny Mullerdom. Ale nie jest wykluczono, że uciekła sama, gdyż w ostatnich czasach nawet księżniczkę ogarnęła goryczka podróży kosmicznych. Wraz z nią zniknęły wszystkie jej klejnoty o wartości 5 000 000 koron.

Drugi:

## POWRÓT DETEKTYWÓW

Wyprawa detektywów do Mullerdomu nie przyniosła większych rezultatów. Według informacji uzyskanych z sekretariatu „Wszechświata” księżniczka odleciała z panią Eli na gwiazdę „L4” w konstelacji

Łabędzia. Warto zaznaczyć, że koszt podróży jednej osoby na tę szczęśliwą gwiazdę wynosi 250 muldorów, co równa się 96 000 koron.

I trzeci wycinek z bardzo zwięzły wiadomością:

SŁAWNY DETEKTYW PIOTR BROK  
otrzymał polecenie odnalezienia księżniczki.

Na ostatniej kartce czarnego notesiku zanotowano ołówkiem następujący spis nazwisk:

1. Anna Martonówna, primabalerina  
Opery Narodowej, 24. III.

2. Ewa Sarat, modelka, zniknęła o  
północy po wyborze na królową balu u  
artystów, 7. IV.

3. Luna Kori, córka bankiera, zniknęła z  
pałacu Mori w Wenecji, 30. VII.

4. Sula Maj, gwiazda filmowa, została  
porwana ze swojej willi, 8. IX.

5. Dora O'Brien, najpiękniejsza kobieta

Paryża, zniknęła razem z autem w Lasku Bulońskim, 24. X.

6. Koją Bararadowa, aktorka Królewskiego Teatru Komedii, zniknęła po pierwszym akcie opery „Koniec świata”, 3. XII.

### III

Tajemnica pierwszego lustra. — Dom o tysiącu piętrach. — Człowiek, który stracił pamięć. — Wreszcie: drzwiczki w marmurze. — Pierwsza wiadomość o Mullerze.

Jeszcze coś znalazł człowiek w portfelu: zaklejony list, zaadresowany:

Dla Piotra Broka!

Chciał już otworzyć, ale w ostatniej chwili zauważył ostrzeżenie, widniejące na brzegu koperty:

Uwaga!

Nie otwierać!

List należy przeczytać przed pierwszym lustrem!

Co to znów znaczy? — Czyżbym to ja był detektywem Piotrem Brokiem? — Pamięć jednak



zawodzi, próżne pytania.. Jakby życie zaczynało się od chwili przebudzenia na schodach. I kiedy chcesz sobie coś przypomnieć, czujesz straszliwy ból, który iwie w mózgu jak zaropiały wrzód. Pewnie w tej kopercie kryje się wyjaśnienie. Na pewno znajdę tam jakieś magiczne słowo, które mi wróci pamięć, przeszłość, wspomnienia, człowieczeństwo... Ale gdzie szukać zwierciadła? — Prędzej padnę ze zmęczenia, z wyczerpania i głodu, prędzej pęknie mi serce!

— Tymczasem nie pozostaje (nic innego, trzeba być detektywem! — Chyba byłem nim kiedyś naprawdę! A dziś, jeśli chcę żyć jak normalny człowiek, muszę się jakoś nazywać! Na świecie nie można żyć bez nazwiska! Czaszka broni się przed wspomnieniami jak wariat przed kaftanem bezpieczeństwa. — Dobrze! — Zostanę więc Piotrem Brokiem, detektywem, aż do chwili, kiedy sobie wszystko przypomnę... Będę szukał księżniczki! — Może chociaż zdolności mi pozostały, mimo że przeszłość straciłem z nieznannej przyczyny. —

W portfelu jest coś jeszcze, coś, czego z początku Brok nie zauważył. Kartka papieru złożona

ośmiokrotnie. Piotr Brok podskoczył z radości! — Plan Mullerdomu! Domu o tysiącu piętrach!. . Ale to wcale nie jest dom! To wielkie miasto pod jednym potężnym dachem! Czy muszę poznać cały labirynt, żeby odnaleźć Mullera, pana tego domu, i księżniczkę ukrytą na jednym z tysiąca pięter? — Przerazające zadanie! Jestem człowiekiem bez pamięci! A może właśnie dlatego zostałem pozbawiony przeszłości, trosk i obaw, żebym mógł się bez reszty poświęcić nowym obowiązkom? Cały, wszystkimi nerwami i każdą myślą. Ale jak się tam dostać? — Portfel już nic więcej nie wyjawiał.

Piotr Brok znowu rozpoczął męczącą wędrówkę. Szedł i szedł, uparcie, bez wytchnienia; mijały piętra, ale nie zwiastowały one końca, nie przynosiły nadziei. Czy ten kolos wznosi się aż do nieba?... Nie ma ani okien, ani drzwi. I nic go już nie uwolni od czerwonego chodnika, który doprowadza do szafu. Wszystkie ściany są jednakowe — błyszczący złowieszczo różowy marmur.

Nagle zaświtała Brokowi myśl: A może w ścianie są jakieś ukryte drzwiczki? — Zaczął próbować,

dotykać i opukiwać, ale gładkie, mocno spojone płyty wydawały taki sam, zimny i głuchy odgłos. — Wbiegł więc o piętro wyżej i znowu na próżno badał płyty jedną po drugiej. Piotr Brok zwolnił tempo wędrówki. — Liczył piętra. Tak, już dawno powinien był je liczyć, gdy tylko się obudził! — Czemu to zlekceważył? — Bo — wtedy jeszcze nie wiedział, że jest detektywem, który ma rozwiązać wielką tajemnicę Mullerdomu. Na początku — przerażenie, bezładny galop spłoszonego mózgu. Ale teraz, teraz trzeba przemyśleć każdy krok! — Policzyć piętra! Ile ich przebył? — Trzydzieści? — Pięćdziesiąt? — Te już przepadły! Zaczniemy więc od nowa! Będziemy obliczać piętra Mullerdomu, chociażby od tego miejsca. — Jedno, drugie, trzecie...

I gdy Brok opukiwał dwudzieste siódme piętro i badał regularne spojenia marmurowych płyt — ku swemu zdumieniu zauważył małą srebrną gałkę ledwo wystającą ze ściany. Najpierw nacisnął ją. — Bez rezultatu. Potem chwycił paznokciami i próbował wyciągnąć. — Z marmuru wyłaziła długa srebrna igła. I ledwie ją wyciągnął, marmurowa płyta ustąpiła, a w

ścianie powstał ciemny otwór. Piotr Brok prześliznął się cicho. Zamknął za sobą klapę i wsunął z powrotem igłę, będącą kluczem tajemniczego mechanizmu.

Znalazł się w mrocznym, niskim korytarzu. Głową dotykał sufitu, rękami trzymał się ścian. Ostrożnie sunął do przodu. A kiedy uszedł parę kroków, zobaczył przed sobą cienką świecą nitkę, jakby zawieszoną w ciemności. Gdy się do niej zbliżył, stwierdził, że jest to wąska szpara w ścianie. Zajrzał przez nią i zobaczył szary pokój bez okien. — Stół, dzbanek, krzesło, żarówka, żelazne łóżko. Siedział na nim starzec i patrzył tępo w lampę.

Piotr Brok opierając czoło o ścianę długo mu się przyglądał; starzec nie ruszył się. I naraz, gdy Brok mocniej przycisnął czoło, szczęknął zamek — i ściana się otworzyła. Detektyw, zanim zdążył się zorientować, wpadł do środka.

Starzec zerwał się. Wyciągnął przed siebie ręce i krzyknął przerażony.

— Przepraszam, że pana niepokoję — powiedział Brok. — Dzień dobry!

— Jak się tu dostałeś? — jęknął starzec, a broda

zadrżała mu ze strachu.

— Po schodach! Dzięki bogu, że chociaż pana znalazłem.

— Po schodach? — zdziwił się starzec... — Jesteś człowiekiem?

— Niech pan zgadnie! Jak się panu podobam? — Ile mam lat? Zmarszczek jeszcze nie widać, prawda?

— Nie widzę cię — powiedział głucho starzec i przycisnął do oczu opuszki palców. — Jestem ślepy...

Rzeczywiście! Dopiero teraz Brok zauważył, jak dziwnie drgają mu mętne, niebieskie tęczęwki!

— Biedny — powiedział, pogłaskał go po twarzy i zapytał nieoczekiwanie: — Co robi pan Muller?

Starzec skurczył się, a na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

— Nasz szlachetny dobroczyńca i żywiciel, bóg i pan ziemi i gwiazd... — zaczął bełkotać niewyraźnie słowa jakiejś modlitwy.

— Dlaczego cię tu więzi? — zapytał Brok.

— Cicho, cicho... — szepnął przestraszony starzec i zasłonił dłonią usta. — On wszystko widzi! — Wszystko słyszy! — Jest wszędzie!

— Eee, przyjrzymy się gagatkowi! — Czego się boisz? — Śmierci? — Co gorszego może cię spotkać? — A jeśli mi się uda, to przynajmniej umrzesz na wolności!

— Podaj mi rękę — powiedział starzec. Potem wybuchnął pełen nienawiści i złości.

— Jeżeli możesz, uczyni, panie, żeby ten przeklęty dom zamienił się w popiół i gruz.

Piotr Brok, rozpalony ciekawością, zaczął nalegać:

— Opowiadaj! Powiedz mi wszystko! — Dlaczego postawiono ten wściekły tysiącpiętrowy drapacz? — Co się w nim dzieje? Kto to jest Muller?

## IV

Kto to jest Muller? — Metal lżejszy od powietrza.  
— Człowiek 794. — Czym się żywią ludzie w Mullerdomu.

Starzec pokręcił głową:

— Nie wiem.. Nikt tego nie wie. Nikt go nie zna.  
— Nikt do tej pory nie widział jego prawdziwej twarzy. — Jedni twierdzą, że jest to jakieś żydowskie próchno lepiące się od brudu, z rudymi pejsami na policzkach. Inni widzieli małą okrągłą główkę przylepioną dwoma podbródkami do obrzydliwej bryły mięsa. Człowieka, który stracił już swój ludzki kształt pod wieloma warstwami sadła; wypchany wór, co wcale nie może się poruszać i trzeba go przenosić z miejsca na miejsce... Dyplomaci i finansisci, z którymi się styka, znają znów zupełnie innego Mullera bladego trzydziestopięcioletniego arystokratę z monoklem w oku, z obwisłą dolną wargą, która jak gdyby wyrażała bezgraniczną pogardę dziedziczną od wielu pokoleń.

Są i tacy, którzy przysięgają, że jest to siwy, zgarbiony staruszek o twarzy tak bardzo pomarszczonej, że nic w niej nie można dojrzeć oprócz zmarszczek. — Tylko małe szare oczka patrzą ufnie na świat jak oczy dziecka z wózka. Ale jego podpis zawsze jest jednakowy i wszędzie, gdzie się pojawi, wywołuje grozę i przerażenie. Jest ostry, cienki i spada w dół, jak błyskawica. Oznacza silną wolę, zdecydowanie, despotyzm. Ileż razy Muller był już zamordowany! Ile kul przewierciło jego czaszkę! Ile razy został utopiony, otruty, ile razy ukamienowany przez wzburzonych robotników! — A zawsze był to kto inny! Jakiś sekretarz czy agent-prowokator, żywe kukły, które podsuwał...

— Co to jest „solium”? — zapytał detektyw, przypomniawszy sobie trzeci punkt w swoich notatkach. Pamięć Broka pracowała teraz nad wyraz sprawnie. Aż dziw, jak łatwo i dokładnie przypominał sobie każdy szczegół od chwili przebudzenia. — Notatki, słowo po słowie, wryły mu się w pamięć.

— „Solium” to substancja, którą odkryto na tej wyspie w kopalni pod pokładami węgla, jako nową,



do tej pory nie znaną, najgłębszą warstwę skorupy ziemskiej. To chyba ostatnia otoczka ognistego jądra. Jest lżejsza od powietrza. Oczyszczona z krzemianów i innych związków, wzbija się w górę i nigdy już nie spadnie.

Nikt na świecie nie przypuszcza, jak wiele „solium” wydobywa Muller w swych kopalniach! — Więcej niż żelaza! Niż węgla! — Świat mógłby się zmienić, człowiek przeistoczyć, inne życie zapanowałoby na tej planecie!

Ale Muller gorliwie strzeże swych kopalń. Zasypał je od góry, dojście do nich prowadzi tylko z wnętrza Mullerdomu. Dlatego świat nic nie wie o tych szalonych ilościach „solium”. — Muller zaś z gestem dobroczyńcy sprzedaje drobniutkie kryształki po niesłychanie wysokich cenach. Rozpaczliwie małą okruszynę „solium”, małą niby świecący w słońcu pyłek, sprzedaje uniwersytetom i wielkim szpitalom za ciężkie sztaby złota. — Ale sam nie oszczędza. Specjalnie zanieczyszcza ten surowiec i wyrabia z niego beton, także nie cięższy od powietrza! Z tego budulca wystawił sobie pałac o tysiącu pięter, swoją

dumę, swoje zwycięstwo, swój tryumf. Z wyżyn spogląda na świat, a jego pycha przerasta tysiąc pięter!

Mullerdom nie ma drzwi ani okien. Trudno się do niego dostać, a jeszcze trudniej wyjść. — Nic go nie łączy ze światem, mimo że z niego wyrasta. Tak bardzo pilnuje Muller swojej przeklętej tajemnicy...

Starzec umilkł.

— Powiedz, kim jesteś — nalegał Brok — dlaczego cię tu zamknięto? Czyż ślepotą nie uwięziła cię w wystarczającym stopniu? — Jak się nazywasz?

Starzec pokazał dłonie. Był na nich wypalony numer 794.

— Nie mam innego imienia poza tym numerem.. Pochodzę z ósmego zaciągu robotników, którzy doprowadzili budowę Mullerdomu do osiemsetnego piętra. Wszyscy, którzy stawiali tę przeklętą wieżę, po pięciu latach oślepli. „Solium” znajdujące się w betonie promieniuje na słońcu i wypala ludziom oczy. Całą naszą stupiętrową kolonię zamieszkują ślepi. To dawni murarze!

— Czym was tu żywią?

Starzec wskazał na stół. Obok dzbana z wodą leżała kostka zawinięta w żółty papier. Nie była większa od kawałka cukru. Brok odwinął ją i spróbował czubkiem języka. — Popiół? Drewno? Kamień?... Była zupełnie pozbawiona smaku.

— To jest nasze śniadanie, obiad i kolacja. Esencja wyciągnięta z pokarmów, które potrzebne są człowiekowi na jeden dzień. Te kostki zawierają jeszcze coś, co Mul er dodaje celowo, by zniszczyć naszą męskość. Chce pozbawić człowieka cudownych soków, co rozpalają oczy mężczyzn na widok kobiety i czynią z jej ciała wyspę szczęśliwości, na której spełnia się sen o zagubionym raj. — My nie wiemy, co to jest miłość, i dlatego dni są takie beznadziejnie długie, nie istnieje dla nas żadna przyszłość, nic nas nie czeka oprócz śmierci. Nie męczą nas ani pragnienia, ani głód, ani sny, poza tym jednym którego nie może nam wydrzeć nawet sam bóg Muller — jest to straszliwa tęsknota. Tęsknota za śmiercią! Każde nowe przebudzenie jest koszmarem, a cały dzień wypełnia pragnienie snu, śmierci.. Tysiące i tysiące marzą o niej. O pewnej cichej, spokojnej nocy, po

której nie będzie już świtu...

— Nie możecie stąd się wydostać?

— Dokąd? spytał starzec. — Wszędzie jest ciemno. A choćbym nawet widział, nie ucieknę. Na schodach czyha śmierć głodowa...

— A gdzie prowadzą te drzwi? — wypytywał dalej Brok oglądając starannie całą izbę.

— Na korytarz, na którego końcu znajduje się tunel. Tamtędy można przedostać się do oddziału.

— A co to za oddział?

## V

West-Wester, miasto awanturników. — Gedonia, miasto rozkoszy. — Jak się produkuje rozkosze w Gedonii.

West-Wester. — Skupili się tam awanturnicy z całego świata. Sklepikarze, spekulanci, przekupnie handlujący wszystkim, czym się da: starymi szmatami, świeczkami i duszami ludzkimi, uczciwością, krwią i dywanami, bogami, pudrem i niewinnością; wszyscy przyszedli tu szukać szczęścia. Agenci, szpicle, zawalidrogi, złodzieje, oszuści, prowokatorzy, łamistrajki, zdrajcy, szaleńcy, zbrodniarze — cała armia podejrzanych typów proponująca swoje usługi. Ich majątek mierzy się według pięt. Im niżej, tym większy dobrobyt. Im wyżej — większa bieda. Nikt nie jest pewny swego piętra. Zależnie od pomyślności interesów wędruje ta hałastra na dół lub do góry, naturalnie tylko na przestrzeni wyznaczonych jej stu pięt. — To właśnie jest West-Wester. Można tu raz

w tygodniu przepić pół mulldora pensji, którą wydzielili szlachetny Muller. O, nie zawsze tu sobie poradzi człowiek ze zdrowymi oczami, a cóż dopiero ślepy! Wszędzie oszukają..

Brok przypomniawszy sobie o planie. Miejsce to zaznaczone było na nim w piątej setce pięter. Przyszło mu do głowy, że tam, wśród tych awanturników, mógłby znaleźć jakiegoś człowieka, który podjąłby się zaprowadzić go do Mullera. — Najbardziej jednak zainteresowała go dolna warstwa na planie, oznaczona jako „Gedonia”. Zapytał o nią starca, a ten chętnie zaczął opowiadać:

— Gedonia to kryształowe miasto w drugiej setce pięter Mullerdomu. W tych rejonach najczęściej On przebywa razem ze swoją drużyną agentów, posłów, dyplomatów, finansistów i generałów. Znajdują się tu sale i legowiska, gdzie podobno jeszcze w tym życiu można zaznać boskiego szczęścia. Te partie gmachu są sprytnie ukryte, dostępne tylko dla niewielkiej grupki jego ulubieńców i pochlebców. Tu produkuje się cielesne i duchowe rozkosze drogą reakcji chemicznych i mechanicznych; dzięki stopniowemu

dawkowaniu, rozkoszy tych można zażywać aż do duchowego i fizycznego wyczerpania. Bogactwo ich jest tak wielkie, że pięcioma ludzkimi zmysłami nie sposób wyłowić wszystkich podnieć i doznań i dlatego stworzono pięć nowych zmysłów. Błogostan cielesny osiąga się przez używanie różnych balsamów i mikstur, pigulek i maści, przy pomocy zastrzyków i operacji, podczas których usuwa się gruczoły i kawałki różnych organów, podwiązuje żyły i skraca nerwy... Jakaś nieznana rozkosz została wykryta w kichaniu, które po pewnym zabiegu operacyjnym nabiera katastrofalnej intensywności i kończy się straszliwą śmiercią. — Mocnymi zastrzykami i kąpielami wywołuje się miłe swędzenie skóry na różnych częściach ciała. — Istnieje tu kult ziewania i łaskotania doprowadzony do granic ludzkiej wytrzymałości...

A kiedy wszystkie środki podniecające zawiodą i ciało wyczerpane do ostateczności przestaje już reagować, wówczas gasną wszystkie lampy i przychodzi kolej na odpoczynek. — Muller sam decyduje, czy w Gedonii ma być dzień czy noc, bo prawa słońca tutaj nie sięgają!

Inżynier, który zaplanował i zrealizował to niebiańskie zacisze ukryte za skromnymi ścianami, został na rozkaz Mullera zamurowany w jednej z wnęk, z góry do tego celu przeznaczonej. Tylko on znał plan ukrytego nieba. Znał wszystkie zamaskowane drzwi i niewidzialne furtki obsługiwane przez sekretne mechanizmy. Tajemne przejścia prowadzą tam do teatrów, pałaców, kościołów i do sypialni. Gwiazda u sufitu z zawieszonym na niej lustrem, obraz Ukrzyżowanego w ołtarzu kościoła, podwyższenie pod łóżko w sypialni — to są właśnie bramy niebiańskie boga Mullera. Przez nie może podsłuchiwać, wślizgnąć się niepostrzeżenie, zaskoczyć, pojawić się w odpowiedniej chwili i znowu zniknąć bez śladu.

— A co znajduje się wyżej? — zapytał Brok. Na planie te piętra wypełniono pytajnikami.

— Szpitale, sierocińce i domy starców — miejsca przeznaczone do umierania...

— A jeszcze wyżej?

— Domy wariatów, więzienia, sale tortur i śmierci głodowej...



— A nad tym?

— Krematoria...

— A jeszcze?

— Tam podobno się buduje... Stale buduje...

Piętro nakłada się na piętro, bez wytchnienia, bez końca. Miasto rośnie do nieba. Ciągłe potrzebne są nowe pomieszczenia, i w ten sposób niewidzialny tłok wypycha nas stopniowo do góry... Nie mam pojęcia, gdzie jest kres pychy Mullera...

## VI

Młody starzec. — Co powiedziało Brokowi lustro na końcu korytarza. — Stan „aspridu”.

Brok odszukał ręką starca. Raptem przypomniał sobie o kopercie.

— Czy nie ma tu gdzie lustro?

Starzec z westchnieniem pokręcił głową.

— Po co ślepemu lustro? — Już dziesięć lat wpatruję się w mrok.

— Ile masz lat, dziadku?

— Trzydzieści trzy...

Brok spojrział ze zdziwieniem na młodego starca. Nie trzydzieści trzy, ale osiemdziesiąt lat nędzy i nienawiści wryło się w jego zmarszczki.

— Tak wygadają wszyscy ci, co odżywiają się kostkami Ohisvera Mullera.

Dopiero teraz Brokowi wszystko wydało się jasne. Szybko zdecydował się:

— To mi wystarczy. Sądzę, że teraz już znajdę

sposób, by zajrzeć w oczy temu waszemu bogu!

Starzec zapłakał.

— Jesteś silny, skoro zdołałeś przebyć schody!

— Dziesięć lat czekałem na to, żeby otworzyły się drzwi! Tu może dostać się tylko ktoś silniejszy od Mullera! — Zrób, panie, ze mnie i moich braci na nowo ludzi! — Daj nam imiona zamiast numerów i pokarm zamiast kostek, przywróć miłość, pragnienie i sny! Wybaw nas z więzienia i daj słońce tym, którzy go jeszcze nie stracili!

— Przyrzekam — powiedział Brok. Uścisnął rękę starca. I wówczas poczuł cały ciężar swojego zadania. — Czy naprawdę jest aż tak silny, by zmierzyć się z Mullerem? W jaki sposób dostać się do zakazanych piętér i nie zostać po drodze schwytanym?

I ponownie przypomniał sobie: — Koperta! — Tak, tam znajduje się owa siła, o której dobrze wie, a którą pozna, skoro tylko zatrzyma się przed pierwszym napotkanym lustrem. — Gdzie ja znajdę zwierciadło? — zapytał znów, kiedy go starzec prowadził długim korytarzem o dwu szeregach drzwi.

— Na końcu korytarza wisi żelazna klatka —

powiedział starzec. — Jest to winda szybkobieżna, którą zjedziesz do West-Westeru. Za nią znajduje się wnęka. Wisi tam na ścianie wypolerowana płyta, gładka i zimna jak wąż. — Nie wiem, czy to nie jest przypadkiem lustro. — Kiedy stoję przed nią, wydaje mi się, że patrzy na mnie moje kalectwo... Nie wiem. — To chyba jest szkło!

Zmierzali do windy. Brok drżał ze zdenerwowania. Minęli ją i w słabym świetle lampki ujrzeli lśniącą, wielką, czystą powierzchnię lustra.

Brok wyprzedził starca, podbiegł do płyty z listem w rękę i spojrzał.

Okrzyk zdziwienia wyrwał mu się z ust!

Wyprostował się, zamachał rękami. Roześmiał się przeraźliwie.

Lustro było puste! — — —

Tylko przeciwległa ściana odbijała się w nim wiernie. Ale człowiek, który stał między nią i zwierciadłem, nie zobaczył siebie. — Cóż to, u diabła, za lustro, w którym nie można się przejrzeć? — — Nagle w owej niezmiernej głębinie Brok zobaczył swojego staruszka, który kuśtykał w ślad za nim. — O

dziwo! Starzec dokładnie odbijał się w gładkim prostokącie — był zupełnie sam!

Niezwykła myśl błysnęła Brokowi w głowie. Nerwowo rozerwał kopertę, rozłożył biały papier i czytał:

Z własnej woli, na własne ryzyko odstąpiłem mistrzowi Oskarowi Erielowi swoje ciało w celu dokonania eksperymentalnego rozpylenia (aspid), żeby w ten sposób osiągnąć stan niewidzialności, który pomoże mi przeniknąć do wszystkich rejonów Mullerdomu, odkryć jego podejrzaną tajemnicę, a jeśli potwierdzą się straszliwe domysły, natychmiast zamordować człowieka imieniem Ohisver Muller, do czego otrzymałem pełnomocnictwo w tajnym głosowaniu trybunału OPN na Wyspie Ostatniej Nadziei. — Podejmuję się tego bezinteresownie nie obawiając się następstw, które zostały mi przedstawione, pragnąc gorąco poznać prawdę i wymierzyć

sprawiedliwość w imię dobra narodów.

Własnoręcznie podpisał:

Piotr Brok.

A niżej innym charakterem pisma:

Stan rozpylenia (aspid) minie dokładnie po upływie trzydziestu dni, co stwierdzam własnoręcznym podpisem

Oskar Erił

Brok zrozumiał wreszcie, na czym polega jego nieznana moc! W porywie radości chwycił starca wpół i jak wariat zaczął skakać wokół niego.

— Człowieku, jestem niewidzialny! – wołał w zachwycie.

Starzec dotknął powierzchni lustra i cofnął się z rezerwą.

— Oj, strasznie nie lubię zwierciadła. — Ono każdemu przypomina jego wygląd, nawet ślepemu, nawet ślepemu... Nigdy nie zawodzi.

— Dziadku! — zawołał Brok. — Słyszysz, już

mnie nie zobaczysz, nawet gdybyś miał zdrowe oczy!  
Nikt mnie nie zobaczy... przez trzydzieści dni.

Brok nie wiedział, jak wyrazić radość ze swego odkrycia. Skakał przed lustrem, bił w nie pięściami, chuchał, wywalał język — lustro nie reagowało, jakby zmęczone ciągłym przyjmowaniem i odbijaniem ludzkich figurek. Nic! — Chyba zastrajkowało niespodzianie, w jednym konkretnym wypadku wypowiedziało posłuszeństwo, zbuntowało się przeciw Piotrowi Brokowi. — Ale Brok wcale się za to nie gniewał. — Jestem potężny!... Jak Bóg! — Mam nieograniczoną moc! — Dokonam cudów, o których nie śniło się nawet Chrystusowi! Pozna mnie świat zaklęty w tych niebotycznych murach. Mullerdom należy teraz do mnie!

Pośpiesznie pożegnał się z młodym starcem i wszedł do windy. Ledwo zapadła za nim żelazna krata, poczuł wstrząs. Podłoga zaczęła opadać i wydawało się Brokowi, że runął w przepaść. Zamknął oczy. Przy tej karkołomnej jeździe pęd powietrza zaczął go nagle przyjemnie chłodzić i usypiać.

## VII

I znów sen z żółtym światełkiem. — Okna i ludzie.  
— Karczma na końcu świata. — Sprzedawca snów.

Zaledwie zmrużył oczy — o dziwo — na nowo rozpoczął się ten sam ciężki, męczący sen. Żółte światełko migocze niespokojnym płomykiem, wdiera się w czaszkę. Nie oświetla nic oprócz żółtego kłębu kurzu wirującego wokół. Wydaje mu się, że leży w wilgotnej, lodowatej jaskini zwinięty w kłębek, z głową wciśniętą między kolana. Zsuwa z twarzy brudną szmatę — wzrok przyzwyczajają się: jak przez mgłę widać popękane belki, krzyżujące się nad głową w różnych kierunkach. A na płaszczyźnie jakby zawieszonej w powietrzu leży na prawym boku zwarty szereg ludzi ogrzewając się wzajemnie. — — — On jeden nie jest ogniwem tego łańcucha; leży naprzeciwko pod rozbitym okienkiem pokrytym białym szronem. — Zimno. Nasuwa kaptur na głowę, zwija się i otula mrokiem, który nie wiadomo, czy jest



nocą czy dniem..

Piotr Brok się obudził. — Gwałtowny wstrząs otworzył mu oczy i w tym samym momencie zniknął męczący majak. Jak długo spał? — W windzie rozprostował kości i natychmiast przypomniał sobie cały wczorajszy dzień. Chciwie chwycił się żelaznej kraty, jak gdyby chciał obronić rzeczywistość przed owym straszliwym snem. Poczł pragnienie natychmiastowego włączenia się w nią. Z satysfakcją uświadomił sobie, że jest niewidzialny, i wybiegł z windy.

Minał korytarz, schody, otworzył żelazną furtkę — i znalazł się na ulicy! — Dwa rzędy domów, sklepy, chodniki. Brakuje tu tylko tego, co istnieje na każdej ulicy, chociaż nikt na nie nie zwraca uwagi.. nieba. — Zamiast nieba rozpościera się romański strop odlany z jednej szklanej płyty. Pod nim jarzy się olbrzymia kuta, biała i oślepiająca jak słońce w zenicie.

Okna i ludzie. — Nie kończące się szeregi okien, i ludzi. Okna milczące i wrzeszczące, przerażone i zapłakane, tajemnicze i ziewające z nudy, okna, okna, okna, machają, przywołują, śmieją się, płaczą. — A

na tym tle tłum. Barwny, szumiący, rozpędzony tłum. Wszystkie rasy przemieszane w potwornym wirze. Przeplatają się barwy ubrania, twarzy, oczu i włosów, głosy wydobywają się z tysięcy ust jak z piszczałek, które rozpierzchły się z płonących w kościele organów.

Wszyscy ludzie, którzy biegają i krzyczą, wydają się Brokowi nieprawdziwi, potworni, sfalszowani jak niebo i słońce nad nimi. Twarze mężczyzn ozdobione rozdwojonymi bródkami są też fałszywe, włosy sztucznie przyklepione do twarzy. — Jedni śmieją się zbyt gwałtownie i zupełnie nic wiadomo, co ich tak bawi. Drudzy uciekają gdzieś z niepokojem i lękiem na twarzy. — Tu Chińczyk skrada się pod oknami — widocznie kogoś śledzi. — Tam znów czai się twarz złoczyńcy z czarną opaską na oku. — Gdzieś za drzwiami padł strzał i nikt się nawet nie obejrzał. — Marynarz — trykot w czarne i żółte pasy — twarz wyzarła przez ospę — zupełnie pijany zatacza się i śpiewa sprośną piosenkę. Trzech drabów obnażonych do pasa, z czarnymi maskami na twarzy, sunie zuchwale po ulicy ze sztyletami za pasem. Wszyscy

uskakują im z drogi. Gęsiego maszerują jakieś sylwetki w fioletowych kapturach z okrągłymi szparkami na oczy. — Okna tancbudy rzucają żółte światło... Li-la-lo-lu — krzyczy Japonka, włosy ma spięte ozdobną kłanrą w kształcie czarnego serca przebitego szyletem. Idzie pod rękę z apaszem, który podstawią staruszkom nogi i szczyrzy zęby umalowane na czerwono. Właśnie w tej chwili kopnął beznogiego żebraka, który zwałił się do kanału. Czarny szyld ogłasza:

## SPRZEDAŻ DIAMENTÓW I WĘGLA

Handlarz charczy:

**Kostka „OVA” jest najlepsza!!!**

Czarno-zielona chorągiewka:

**KARCZMA na końcu świata**

Uchyła się okienko:

Zrozpaczeni  
Kupujcie KOKAINĘ!

Ponure dni barwiny na różowo!  
Tchórz zostanie bohaterem!  
Pobity będzie zwycięzcą!

Warstwy fioletowego pudru na twarzach kobiet.  
— Błysk białych zębów, czarne kwadraty okien,  
dzwonki, na rogu pod krwawą żarówką kobieta  
dosadnymi słowami i brzydkimi gestami daje do  
zrozumienia, że sama jest sprzedawczynią, kramem i  
towarem:

Chodźcie tu, starzy i młodzi!  
Zanim przejdziecie obok,  
przyjrzyjcie się mojej twarzy.  
Zwróćcie uwagę na te włosy,  
na barwę moich oczu.  
Wypróbujcie jędrność piersi —  
za to się nie płaci!

Dotknijcie moich łydek —  
są twarde jak szyny,  
po których pędzi namiętność!  
Płonę, płonę  
za osiem argéntów,  
zameczę was swoją miłością!

Naprzeciwko krzykacz z rudą bródką stoi za  
rozkładanym stolikiem zastawionym pudełkami i woła  
otoczony gromadką gapiów:

**Kupujcie sny!**  
Towar gwarantowany,  
starczy na całą noc!

**Sny o złocie!**  
Przez jedną noc będziesz milionerem!  
Kupujcie mój „Złotosen”,  
środek patentowany!

**Jedna pastylka  
„AGA”**

do snu

zapewni noc płomiennej miłości  
z pocałunkami i uściskami!

Pouczenie za darmo!

Nasza specjalność!

Różowe sny!

Gdy raz spróbujesz, zostaniesz naszym klientem!  
Środek nieszkodliwy dla zdrowia!

Chcecie podróżować

do zamorskich krajów?

Oglądać palmy, karawany, dzikusów, tygrysy  
i małpy?

Kupcie proszek

„EXOTIC”!

Przeżyjecie podróż samolotem,

jeśli uśniecie na wznak z pastylką

„ARO”

na języku!

Chcecie oglądać huragan?

Weźcie jedną pigułkę  
„ORA”,

a przeżyjecie go spokojnie we własnym łóżku!

Boisz się podróży na gwiazdy?

Nie masz na to pieniędzy?

Zastąpią ci ją sny o gwiazdach.

Kup „Gwiazdosen”

za pięć argentów!

Zwróć uwagę na markę firmową!

Olbrzymie sklepy, napisy świetlne, reklamy na deskach, ścianach, oknach, drzwiach, na plecach i na twarzach ludzi. — Ze wszystkich stron wpadały Brokowi w oczy i w uszy owe hasła układane z papieru, farby i szkła. Długi czas kroczył naprzód nikomu nie ustępując z drogi; cieszył się, gdy przechodnie, nic nie przeczuwając, wpadali nań i odskakiwali na bok z twarzami wykrzywionymi ze zdziwienia i strachu. Szedł stale na prawo, tak jak prowadziła ulica.

Wreszcie uświadomił sobie, że przebył drogę w kształcie koła i znalazł się w tym samym miejscu, z którego wyszedł. Potem zauważył, że z głównej ulicy wybiegają wąziutkie, kręte uliczki, w które powoli wlewał się tłum. — Żelazne, zardzewiałe od wilgoci ściany domów, okna zamknięte kratami wypukłych kagańców. Niektóre uliczki były tak bardzo wąskie, że rozpostarłszy ręce mogłeś dotknąć obu przeciwległych ścian. Nieco dalej ciasne przesmyki, gdzie żelazny mur domów niekiedy przylegał do siebie, a ludzie przeciskali się przez nie bokiem, wciągając brzuchy.



## VIII

Sklepy w uliczce Tygryziej. — Hotel „Eldorado”.  
— Zebranie Towarzystwa Szczęrych. — Rewolucja w  
Mullerdomu.

Piotr Brok skręcił w jedną z bocznych uliczek. Szklany bruk pokrywała tu warstwa skamieniałego brudu. Niektóre kostki były popękane i potłuczone, przedzierało się przez nie światło. Przez jedno z takich okienek Brok zobaczył, że w dole pod nim również pulsuje ludzki tłum, fosforyzują kolory i pokrzykują handlarze.

Także tę uliczkę, po której szedł, wypełniały przedziwne napisy; były one bardziej skromne i subtelne. Im mniejszy szyld, tym wspanialszy sklep z poszukiwanymi towarami. Brudne wizytówki poprzyklejane do drzwi, tabliczki w oknach, emaliowany szyldzik wielkości dłoni. To nie krzykliwe, potężne reklamy, ale coś, co szopce tajemniczo...

**OPIUM**  
najlepszego gatunku!

**HIPNOTYZER** tutaj

**ARPAG MERLE**, alchemik

**IMMA**  
bezbolesna śmierć

**ELIXIR R-A**  
Przedłuża życie w nieskończoność!

Fr. IPS, fałszerz weksli,  
podpisów i pieniędzy.

Ioe Mina

drobne kradzieże kieszonkowe itd.  
dyskrecja zapewniona

MAGIA! CZARY!

Sandor, Sabath

KROPLE

wiecznego zapomnienia!

Gentlemen!

kupujcie tylko szprychy **GGGGG**

SCHWARZ and Co. produkują  
W W W W W

Ko-Son-Ma, porywanie dzieci!

Za oknem, pośród butelek blaszana tabliczka:

SPRZEDAWCA TRUCIZNY!

Na zardzewiałej ścianie wypisano kredą:

GARPONA morduje od 11 do 3 nad ranem.

Kawałek deszczulki z rozstrzelonymi literami:

C z u l k o w, obłąkanie

W mrocznym przesmyku od ściany do ściany rozciągnięty drut z kołyszącą się tabliczką. Wymalowano na niej sztylet i napis:



Uważaj na plecy!  
Wnęka na lewo

Nieco dalej znowu drewniana deseczka, skośnie przybita do drzwi z okrągłym wziernikiem. Tańczące litery, jakby wypisał je pijany palcem umoczone w błocie:

HOTEL  
ELDORADO

---

Piotr Brok zdecydował się odwiedzić ów podejrzany hotel. Był zmęczony i chciał przyjrzeć się z bliska hołocie, która się tu zbiera. — Wkroczył do mrocznego korytarza. Unosił się w nim zapach myszy, brudnej bielizny i czegoś jeszcze. Z przedpokoju drzwi prowadziły do obszernej, wymalowanej izby. Na suficie znajdowało się owalne, wypukłe lustro. Brok nie mógł zrozumieć, do czego ono służy.

Przy jednym stole, znajdującym się na środku pokoju, siedziało wiele osób. Brok nie zdążył się bliżej przyjrzeć towarzystwu, gdy ktoś krzyknął „rewolucja”, a to słowo wywołuje tak silne wrażenie, jak widok krwi.

— Rewolucja! — zawołał mężczyzna z czarną rozdwojoną bródką. — Niewolnicy zbuntowali się w okręgu fabrycznym! Powstanie ogarnęło już osiemdziesiąt pięter. — Wybuchło w fabryce kostek; jakiś Witko z Witkowie, poganiacz niewolników, zdradził Wielkiego Mullera! Zorganizował po kryjomu bojówkę i głosi, że idzie wyswobodzić świat z jego szponów.

Chce dać władzę niewolnikom, a arystokrację z najniższych pięter posłać do kopalń i fabryk. Przyłączyła się doń fabryka przetworów chemicznych - stu pięćdziesięciu mężczyzn, mennica - dziewięćdziesiąt ludzi, kotłownia - czterysta osób, gazownia - trzystu osiemdziesięciu mężczyzn, gorzelnia - dwieście pięćdziesiąt ludzi. Dotarli już do „Miasta Mroku”. Hasłami o republice, w której nawet ślepcy będą mieli swych przedstawicieli, zjednali sobie jego mieszkańców. Chcą z nich utworzyć straszliwą armię pierwszego rzutu, mocną jak ściana. Jeśli zdobędą „Miasto Mroku”, istnieje niebezpieczeństwo, że otworzą bramy więzień położonych w ostatniej setce pięter. Gorzej, suną w dół, niszcząc po drodze maszyny i urządzenia zakładów. Na siedemsetnym i sześćset dziewięćdziesiątym piętrze spustoszyli kancelarie, zbliżają się do sześćset osiemdziesiątego piętra, gdzie są umieszczone magazyny. Od spichlerzy dzieli ich tylko sześćdziesiąt pięter. Na szczęście, przebijają się z trudnością przez mocne stropy z betonu soliwego. Windy nie funkcjonują (elektrownie z pierwszego pasma natychmiast wyłączyły prąd).

Główne schody zabarykadowano. Przez nie nie przedrą się nawet za pięć miesięcy; są przecież bardzo prymitywnie uzbrojeni.

Nasz Wielki Muller nie chce brudzić rąk krwią, choć mógłby ich zniszczyć gazem. Sądzi, że można buntowników zjednać sobie dobrocią. Dlatego posłał mnie do was, do West-Westeru, by wyszukać kilku specjalistów. Chodzi o przeprowadzenie następującego planu: niepostrzeżenie dostać się między buntowników i zasiać wśród nich niepokój, rozerwać ich szeregi i po cichu zgładzić Witka z Witkowie, który jest duszą i mózgiem przewrotu pałacowego. Raz już próbowano osiągnąć to przy pomocy złota, ale nie się powiodło...



## IX

Bezręki bandyta. — Truciciel. — Szczepionka „KAWAI”. — Gaz „SIO”. — Szkiełko na skroniach ślepcy.

— Może sztyłem? — zapytał zwałisty drab, którego nazywano Garpona. Nie miał rąk, wszystko robił nogami.

— Powiedziałem już raz, Muller nie chce krwi.

— Mam gwarantowane trucizny... — zaczął się jąkać mężczyzna z czerwonym, bezwstydnie wielkim nosem. Zajmował on największą część twarzy, a Brokowi wydawało się, że ciągle jeszcze rośnie i dojrzewa.

— Posiadam towar zupełnie pewny, po tyśiąckroć wypróbowany. Sam go preparuję.

— Jeśli chce, umrze na apopleksję. — Po kropelce „U” śmierć zdusi mózg. Jeśli pan sobie tego życzy, skona na raka, wystarczy mała dawka „I”. Posiadam cygara „O”! Miligram „E” na szklanice

mleka...

— Ja pracuję tylko w ważnych wypadkach — wtrącił ślepiec donośnym basem. Miał zaszyte powieki, co nadawało jego twarzy wyraz straszliwego spokoju. Na skroniach miał metalowe blaszki z lśniącymi soczewkami, przypominającymi oczy drapieżnika.

— Jeżeli trzeba zniszczyć tę rewolucję, potrafię tego dokonać swym bakcylem... Przecież Wielki Muller mnie zna...

— Przyjdzie kolej i na niewolników — odparł agent. — Przede wszystkim trzeba usunąć Witka! — Nie zabić, rozumiecie? Ciało może żyć — trzeba zniszczyć duszą! Duszę albo mózg!

— Wstrzyknąć mu do mózgu szczepionkę „KAWAI” oszaleje... — radził człowiek o dwu garbach.

— Gaz „SIO” spowoduje, że w ciągu jednej nocy zostanie starcem — dodał zgrzybiały, trzęsący się staruszek, wyłysiały do cna. — Jego dalsze życie zamieni się w powolne konanie. Urządzenie można zainstalować w sypialni, jest jak zabawka, jak

gumowa piłka; potoczy się i już...

— Najlepszym sztyletem, trucizną, szczepionką, gazem są oczy! — mówiła wolno, ale dobitnie twarz o świdrujących, czarnych oczach, w których mocno świeciły dwa białe kwadraciki.

— Dobrze — powiedział agent, wydobywając notes. — Zapiszę nazwiska panów: — Mistrz Garpona - sztylet. — Perker - trucizna. — Schwarz - „SIO”. — Orsag - zarazki. — Mac Doss - hipnoza! — Mistrz Czulkow - „KAWAI”. Przyjdźcie jutro ze swoimi środkami na ulicę Pomarańczową nr 8, piętro 274. Zostaniecie zawiezieni samolotem na szczyt Mullertonu, a stamtąd łatwo przedostaniecie się do serca rewolucji, pomiędzy tę gawieź, i zmieszacie się z nią. Zależnie od powodzenia akcji będziecie wynagrodzeni przez Wielkiego Mullera.

— Do wszystkich diabłów — zaklął bezręki bandyta, kiedy agent się oddalił. — Bezrobocie! Sztylet mam zagrzebać w gnoju! — Poruszał stale nogami pod stołem i ponad jego blatem. Wreszcie stopą wytarł spocone czoło i strzelił palcami, aż mlasnęło.

— Za bardzo śmierdzisz krwią, brachu — zasyczał truciciel i wielce zadowolony wysmarkał się na podłogę. Potem dopiero wytarł przeogromny nos w czerwoną chusteczkę. — Nasza praca jest czysta... przy niej nie brudzi się rąk... — dorzucił.

— Czyż ja pracuję tylko nożem? — obruszył się bandyta. — Dorzuć dwadzieścia mulldorów, a uduszę w mig...

Długie, białe palce u nóg wydobył z trepek i rozcapierzył nad stołem.

— Obaj, bracie, jesteśmy partaczami — powiedział truciciel. — Głos ma mistrz Orsag. Swymi bakcyłami zaraził całą armię górników...

Ślepy nie uważał za stosowne odezwać się. Ale kiedy obejrzał się na nochała, złowieszczo błysnęły mu szkiełka na skroniach.

— Mistrzu Schwarz, dużo pan w życiu działał?

— Pracuję na dole w okręgu zamożnych obywateli — poruszał bezzębnymi dźbiałami Schwarz — zainstalowałem właśnie jeden aparacik na ósmym piętrze, w drugim paśmie — w sypialni młodego Gerela. To syn starego króla lichwiarzy. Tego, co to

sprzedał Mullerowi Alaskę i kolonie w Afryce. Adria, jego siostrzenica, chce wszystko przejąć w spadku. Za tydzień Gerel-junior będzie starszy od swego ojca. Sir Moru, najpotężniejszy udziałowiec „Wszechświata”, starzeje się z godziny na godzinę.

— To też twoja robota? — zdziwił się właściciel potężnego nosa. — Podobno Moru ma wiele kłopotów.

— Ma... Jego akcje dostaną się do rąk pewnego człowieka, którego nazwiska nie mogę wyjawić. — Wydaje mi się, że właśnie ja najwięcej zrobiłem dla dobra naszego Pana...

— Nie wiem, co rozumiesz przez najwięcej. ., drogi Schwarz — odezwał się garbus i zwrócił do mężczyzny o płonących oczach. — Mac Doss, doktor hipnozy, jest wśród nas najmłodszy i nie słyszał jeszcze mojej historii. Gdyby mnie zabrakło, nasz dobry Ojciec i Pan byłby żebrakiem!

## X

Astrolog Galio, władca gwiazd. — Pierwszy siatek we wszechświat. — Muller chce opanować gwiazdy. — W jaki sposób Galio stał się zerem. — Sudar Czulkow, król pięćdziesięciu tysięcy gwiazd.

Garbus uniósł dwa palce w kierunku owalnego lustra na suficie:

— Niech On będzie moim świadkiem, że nie kłamię. Wyzwoliłem go od wroga, który do ostatniej kropelki wysssałby zeń ów cudowny sok wytryskujący pod Mullertonem... Dziś już każdy może się o tym dowiedzieć! Ko-ko-ko-ko — To stary Galio, handlarz gwiazd. Jego syn, zamieszkujący dziś caluteńkie trzy piętra w trzecim paśmie, w porównaniu z ojcem jest pataląchem. Muller łaskawie zezwolił mu sprzedawać bezwartościowe gwiazdy, odpadki - gwiazdki migocące i śnieżynki; sprzedaje także komety, co to przelecą i już się więcej nie pokażą... Kiepski towar... Pi-pi-pi. — Stary Galio to geniusz, że

ha! — Na jednej z wysp polinezyjskich założył obserwatorium i robił cuda z małym ziarenkiem solium. Tubylcy okrzyknęli go królem, a on zjednoczył pod swym panowaniem około dziesięciu wysp. Wtedy właśnie Wielki Muller żegłował po morzach i skupywał resztki ziemi. Przyszedł do obserwatorium starego Galia, do jego królewskiego pałacu. Kiedy spytał, czego żąda za swe wyspy, szczywany lis odparł skromnie:

— Nieba w nocy!

Nie wziął nawet okruszyny złota. — Poczciwemu Mullerowi wydawało się, że to kaprys starego dziwaka zagapionego w niebieskie migdały. — Spisali umowę: Muller został władcą dziesięciu wysp polinezyjskich, Galio panem gwiazd. Jeden kupił kota w worku, drugi wróbla na dachu.. Ale nie jednego, milion wróbli, które fruwały ku niemu podczas bezchmurnych nocy zawsze jednakowymi stadami —

— —

Wówczas Muller nie przypuszczał jeszcze, że uda mu się wyprodukować z solium statki powietrzne przecinające wszechświat niczym komary! — Dawno

zapomniał już o swej umowie... Pierwsza jaskółka opuściła ziemię i powróciła po pięciu miesiącach obładowana olbrzymimi skarbami z dziesięciu gwiazd. Założono towarzystwo łączności z gwiazdami „Wszechświat”; tym samym otwarto nowe, nieprzebrane źródła wspaniałych bogactw. — I wtedy zjawił się Galio ze swą umową! Okazało się, że wszystkie odkryte przez „Wszechświat” gwiazdy już dawno były jego własnością. Umowę podpisał sam Muller! Dopiero wtedy przekonał się bóg, jak słono zapłacił za dziesięć wysp... Galio został de facto panem wszystkich gwiazd, a Muller tylko jednej, tej, na której stał.. — Bajeczne skarby, rajskie owoce, nowe surowce, nieznanne klejnoty — to wszystko zgodnie z umową należało do starego Galia! — Pi-pi-pi-pi-pi..

Nasz Wielki Dobroczyńca, chcąc nie chcąc, musiał odkryte planety odkupywać od Galia jedną po drugiej... Honor nie pozwalał mu na to, by gwiazdy miały innego władcę, by nosiły inne nazwy niż te, które On wymyślił! — W ten sposób, skoro tylko pojawiła się nowa gwiazda, Galio sprzedawał ją, Muller



kupował. Zasoby Galia były nie do wyczerpania. — Muller płacił i płacił. Doszło nawet do tego, że wszechmocny władca świata był zmuszony sprzedawać ziemię po kawałku, by nasycić swój głód gwiazd... Stary Galio nie chciał jednak przyjmować skarbów pochodzących z innych planet, choć były wielkie i wspaniałe. Uznawał i brał jedynie to, co zrodziła nasza stara ziemia... Co z tym robił? — Złoto Mullera rozdawał biednym. Miasta, wyspy, kopalnie, zakłady przemysłowe zastawione przez Mullera ofiarował robotnikom i żebrakom.. Nazywano go Wybawcą!

Oj, był to dobrze obmyślony plan zniszczenia Ohisvera Mullera. Przecież zrujnowany władca świata szykował się już do porzucenia naszej planety i przeprowadzenia się na jedną ze swych gwiazd — —

I wówczas — pi-pi-pi — w ostatniej chwili, gdy Muller był już na skraju przepaści (sprzedawał Galiowi Mullerton, a stary chciał go wysadzić w powietrze!!!), zacząłem leczyć Galia na reumatyzm. — Pewnego wieczoru, pamiętam jak dziś, ustąpiły bóle w stawach i Galio odzyskał młodzieńczą energię. Spytałem go

wówczas, ile gwiazd sprzedał Mullerowi i ile mu jeszcze zostało.

„Tyle, co miałem na początku — uśmiechnął się zagadkowo Galio. — Gdybym codziennie sprzedawał mu milion gwiazd, Muller musiałby żyć jeszcze milion lat, żeby sobie uskładać jedną milionową całość”.

W nocy, gdy stary zasnął, wstrzyknąłem mu pod skórę trzy kropelki „KAWAI”. — Rano Galio się zerwał: „Ołówek! — Papier! — Ile mam pieniędzy?” — Napisał dziewiątkę i dostawiał dużo zer. Dziesięć kartek zabazgrał zerami. Tak było pierwszego dnia. Potem jego mózg stał się maszyną produkującą zera. Wszystkie myśli zamieniły się w zera..

Teraz już bez trudu zabrałem przeklętą umowę i zwróciłem ją Mullerowi. Galio żyje do dziś w domu wariatów 970, wypłuwa zera. Sam stał się wielkim zerem! W ten sposób uratowałem boga Mul era! Do dziś jeszcze musi naprawiać szkody, gromadzić i zlepiać to, co rozbił stary Galio. — Mnie chciał mianować cesarzem Bradierry! — Odmówiłem! — Potem proponował, żebym wybrał sobie jakiegokolwiek królestwo, jakiegokolwiek tron; mogłem zostać władcą,

wodzem lub dyplomata. Odpowiedziałem, że niczego więcej nie pragnę, niż żyć w Mullertonie, w pobliżu boga, w blasku jego jednego promyka. — Wreszcie wetknął mi pięćdziesiąt tysięcy gwiazd. Ogłosił królem tych planet. — Chciałem je kiedyś odwiedzić — ujrzeć swych poddanych i koronować się na jednej z nich. Na każdej przecież nie da rady... Gdybym codziennie koronował się na jednej z moich gwiazd, musiałbym żyć jeszcze co najmniej sto trzydzieści siedem lat. — Muller nie chce mnie puścić, prosi, bym był pod ręką, na wszelki wypadek...

## XI

Ciekawość Piotra Broka i jej następstwa. — Nos truciela. — Bójka w sześcianie. — Najbardziej szalał bezręki Garpona.

Czulkow umilkł, a jego oczka ciekawie przesuwały się po twarzach otaczających stół. — Właściciel olbrzymiego nochała zatrąbił w szkarłatną chustkę przeciągłą, smętną melodię zapowiadającą wiosenny katar. — Twarz ślepcy sterczała nad stołem niby kawał marmuru. — Tylko dwa szkiełka na skroniach błyskały wesoło, a Brokowi zdawało się, że śmieją się głośno. — Bezręki bandyta w ogóle nie słuchał. Bezustannie poruszał nogami ze zwinnością małpy. To gmerał nimi pod stołem, to przesuwał po jego blacie, wreszcie lewą nogą wyciągnął sztylet i podrzucił go pod sufit tak umiejętnie, że okręcił się w powietrzu jak bąk. Zdażył jeszcze opróżnić szklanekę, zanim nóż opadł i znalazł się w palcach jego prawej nogi. — Z kieszonki kamizelki wydobyl tabakierkę,

nasypał tytoniu na kostkę i pociągnął nosem — tytoń zniknął. Kichnął potem głośno i obudził drzemiącego staruszka Schwarza.

I kiedy wszyscy zamilkli zawstydzeni, odezwał się Piotr Brok. — Nie po to, żeby zdradzić swą obecność. Chciał jedynie, by jego głos dotarł do ucha garbusa, chciał spytać o coś, co nie dawało mu spokoju. — Pragnął wypowiedzieć swe pytanie tak, żeby garbus przypuszczał, iż odezwał się ktoś z obecnych. Poczł przy tym cały ciężar swojej sytuacji jak bardzo był osamotniony, wyrzucony poza nawias ich zaufania, zdany na długie i bezpłodne dyskusje, które w niczym mu nie pomogą... Chciał zapytać tylko garbusa, tymczasem pozostali zamienili się w słuch. Dlatego też przybliżył usta jego ucha i powiedział stłumionym szeptem:

— A jak wygląda ów boski Ohisver Muller?

Garbus zatrząsł się, oczka otwarły mu się równocześnie z ustami, twarz wykrzywiła ze zdziwienia. Blokowi wydało się, że na moment rozciągnęła się od ściany do ściany. Głupstwo. Białe trójkącik głowy na powrót uwiązł w ramionach,

niczym klin wbity w pień. — Garbus wstał, przez co zmałał o głowę, nogi krzesła były bowiem wyższe niż jego własne.

— Kto to zapytał? — krzyczał zdenerwowany.  
— Pytam: kto się odezwał?

Wszyscy się zdziwili. Od momentu, gdy sam skończył mówić, nikt nie pisnął ani słowa.

— Słyszałem głos. Przysięgam — garbus wyciągnął prawicę w kierunku owalnego lustra — przysięgam na samego Mullera, że nie kłamię. — Ktoś tu jest!

— Widocznie Wielki Muller raczył... — odezwał się pokornie truciciel i spojrział z lękiem na sufit.

— Nie, nie! — Ktoś pytał o samego Mullera!

— Kto?

— Głos! Szepnął mi do ucha!

— Czy to nie „KAWAŁ” przemawia z jego mózgu? — Może sam zaraził się szaleństwem.

— Wszyscy jesteście wariaci! Przysięgam! Stawiam w zakład pięćdziesiąt tysięcy swych gwiazd.

Staruszek Schwarz ze współczuciem stuknął palcem w czoło i opowiadał, jak to sam cierpi na

uwiad, mimo że bardzo ostrożnie obchodził się ze swym gazem.

Tymczasem Piotr Brok siedział spokojnie na krześle zwolnionym przez agenta. Czuł wielką przewagę nad tymi wynaturzonymi kukiełkami ludzkimi i mógł zrobić z nimi, co tylko chciał. Zapomniał o rewolucji w okręgu robotniczym, o Witku z Witkowic, o tym, co przygotowywali na niego ci łotrzy. Obmyślał, w jaki sposób najlepiej się ich pozbyć nie brudząc krwią swych niewidzialnych rąk. Naprzeciw niego znajdował się właśnie przeogromny nos sprzedawcy trucizny, oczyszczony przed chwilą i ponownie przepelniony katarem. Ów tragiczny nos od początku denerwował Broka i wywoływał obrzydzenie. — Detektyw, nie mogąc znieść dłużej tej męczarni, ogarnięty nienawiścią do obrzydliwego nochala, chwycił szklanke i cisnął nią z całej siły. Pojawiła się krew, handlarz trucizny się zachwiał. — Pozostali zerwali się przerażeni i mimo woli chwycili się za nosy.

Trwało to kilka sekund. Banda oprzytomniała. Zbiła się w kółko, przywierając do siebie plecami. Wszyscy trzymali w rękach rewolwery. Czarne,

wytrzeszczone otwory luf przesuwały się w powietrzu. W prostokącie pokoju rozpoczęła się szalona strzelanina. Padały strzały, gwizdały pociski, sypało się szkło luster, ze wszystkich kątów unosił się kurz.

Najbardziej szalał bezręki Garpona. Położył się na stole, podniósł nogi do góry, kołysał się na plecach bardziej podobny do szakala niż do człowieka, i strzelał w sufit.



## XII

Zdradliwe szkiełka na skroniach ślepcy. — Piotr Brok w niebezpieczeństwie. — Ucieczka. — Winda — i znów sen.

Nagle — Piotr Brok się zachwiał. — Ostre soczewki na skroniach ślepcy nieoczekiwanie utkwily w nim swoje światło! Martwa jak z gipsu twarz o zszytych powiekach sterczy w powietrzu niby sfinks. Ale wypolerowane szkiełka spoglądają uparcie w twarz Broka. Wydaje się, że coś w nich płonie...

Czy mu się zdaje? Czy został rozpoznany? — W jaki sposób mógł go dojrzeć ten ślepiec? Brok wstał. I — szkiełka uniosły się do góry, wędrują w ślad za twarzą Broka. Ślepiec dotyka skroni, obraca małe kółko jak przy mikroskopie. Brokowi wydaje się, że każdy jego ruch odbija się w ogniskach soczewek.

Nieznany do tej pory lęk niby błyskawica przepłynął mu po plecach. Podciął nogi w kolanach.

— Brok usiadł ponownie i przywarł czołem do blatu stołu. Z przerażeniem spoglądał do góry na dwa czarne ogniki w soczewkach. — I wówczas gipsowa twarz wykrzywiła się ohydnie, ręka ślepcy wyciągnęła się do przodu, a palec wskazujący wycelował Brokowi między oczy niby lufa rewolweru.

Okrzyk: — Tu siedzi! Zamknąć wszystkie drzwi!

Bezręki Garpona jednym susem znalazł się przy pierwszych drzwiach. Perker zatarasował drugie. Ślepy Orsag wodził za Brokiem wyciągniętym palcem. Zbliżał się doń powolutku, okręzał go pochyłony nad stołem.

Piotr Brok znalazł się w potrzasku. — Musi zdobyć któreś drzwi albo zginie! Przy jednych czerwony nochal, przy drugich Garpona. Stoi na jednej nodze, drugą zaś tarasuje przejście. Brok skoczył! Orsag krzyknął i zasłonił drzwi. Detektyw powalił go uderzeniem w brzuch. Garponie podbił nogę, skoczył do drzwi, otworzył je, wybiegł i zamknął w jednej sekundzie. — Potem uciekał mroczną uliczką...

O, Boże, ile tu było schodów i schodków,

prowadzących do góry i na dół, ile korytarzy ze ścianami to zwężającymi się, to znów rozszerzającymi, o stropach unoszących się do góry lub opadających w dół. Przebył wiele pokoiów, wiele przestronnych sal, ciemnych dziur i małych komórek przeznaczonych czart wie do jakich celów. W pewnym momencie znalazł się na galerijce, biegnącej wokół pustej, zaśmieconej sali. Potem minął ukryty mostek, zawieszony nad przepaścią. — Z tyłu dobiegał tętent stale narastający i narastający, niby warkot bębna. I znów uliczki, nowe schody, nowe arkady, nowe place...

Wreszcie wbiegł do środka gładkiego, błyszczącego walca. Był to kanał. — Nie, to lufa armaty. Nie! Rura lunety astronomicznej, zwężająca się ku końcowi. Brok posuwa się już tylko na czworakach, potem pełza i przeciska się jak gąsienica. Dalej nie można, już koniec, koniec... Wielki lejek zamyka rząd żelaznych prętów. Brok chwycił tę kratę i potrząsnął nią rozpaczliwie. — O dziwo! Małe, zardzewiałe sitko otworzyło się bez trudu. Brok przecisnął się i zamknął za sobą kratę. Wówczas

podłoga zaczęła się pod nim zapadać. Zdażył jeszcze ujrzeć za żelaznymi prętami twarz z rozbitym nosem. Wygrał.

W windzie, podczas szalonego opadania w dół, znów powrócił wstrętny majak. — Nieznośny ból miażdżył mu kleszczami mózg, aż do utraty przytomności. Ponownie pojawił się ów straszliwy sen. — Brok z wysiłkiem bronił się przed nim, nie chciał, by opanował jego myśli; bał się, że znów wpadnie w tę dziurę w podziemiach, gdzie coś strasznego kryło się za burymi, kołyszącymi się kapturami.

Piotr Brok lękał się tego snu. Czuł się tak, jakby ponownie odzyskał swoje ciało, pozbył się niewidzialności i odnalazł wszystkie dawne troski. — Bał się, że zginie podczas jednego ze straszliwych snów, zanim zakończy swą przygodę gdzieś wysoko, wysoko, na jednym z pięter Mullerdomu.

## XIII

Rozdział o gwiazdach. — Sklep z gwiazdami i przemysł gwiazdny. — Reklamy. — Muszla talizmanem.

Kiedy Piotr Brok przebudził się, winda już dawno stała na dole. Gdy wkraczał w szeroką aleję, gwarną i pstrokata, miał na powiekach resztki ciężkiego snu.

Gdzie się teraz znajduje?

Na którym jest piętrze?

Ile schodów dzieli go od Mullera? — Czy to nie wieża Babel?

Po obu stronach wspaniałe, wielkie witryny sklepów, przed którymi zatrzymują się gapie z rękami w kieszeniach. Kramy sprzedawców kwiatów, wody kolońskiej, fotografii, mydła, antyków; przeróżni przekupnie zachwalający swoje buble. — Wystawy sklepów z delikatesami, niby symbole dobrobytu i hymny pochwalne na cześć symetrii, przykuwają uwagę swymi wspaniałymi wieżami, piramidami i

girlandami, ułożonymi z owoców o niespotykanych kształtach, z jakichś żyłek i pudełek. Były to towary z gwiazd. Brok zaczął czytać:

Woda lecznicza z jeziora  
ALFA  
z gwiazdy  
„M 14”!

Jadalny marmur z kamieniołomów na gwieździe  
„C 71”!

Tytoń HA-HA  
ze skrzydeł ptaków  
„Z 176”!

Perfumy z łez aniołów  
z „D 55”!

Krew krasnoludków elfińskich  
(H 70)  
leczy małą chorobę!

Szkoło alpejskie z gwiazdy  
„B 1”  
do farbowania ocz!

Gruczoły płciowe kałużnic jako przysmak!

Obuwie ze skóry Origonów  
z gwiazdy „F 99”,  
nie do zdarcia!

Manna z gwiazdy  
„B 64”  
smakuje jak migdały!

Inne reklamy polecały emigrantom, udającym się  
na gwiazdy, płody rodzinnej planety:

Kolonistom „L 20”  
polecamy najlepsze gatunki ziarna!  
Jedno ziarenko daje stokrotne plony!

Przeciwno różowym owadom na  
„C 71”  
proszek  
ACHA!

Kupcie, nie będziecie żałować!!!

Zegarek astronomiczny  
AZ  
wskaże wam nowy czas  
na dowolnie wybranej planecie!!!

Na naciśnienie  
w konstelacji Spirali  
pomaga tylko balsam SPIRALA!!!

Błaszki, korale, świecidełka, błyskotki  
dla tubylców z  
„K 5”!  
Pozyskacie tym ich sympatię!!!

Mieszkańcom „Z 2”  
rozdawajcie czekoladę



„LANA”!

Wszystko wam za nią oddadzą!!!

Płaszcz nieprzemakalne, parasole, namioty!!!

Na „K 86” w nocy pada deszcz!!!

Na „S 34”

panuje wieczny dzień;

jeżeli chcecie zasnąć,

kupcie okulary słoneczne

marki „CLO”!!!

Przed podróżą w nowe światy  
nie zapomnij się ubezpieczyć!!!

Nie wytrzymacie ze śmiechu,  
oglądając żywych mieszkańców

G 5

w PANOPTICUM „OMEGA”!

Pod pasiastym parasolem stoi sprzedawca i  
pokazuje muszle podobne do gwiazd, kwiatów,

zwierzątek i baśniowych śnieżynek. — Jedną po drugiej podnosi do góry, przykładą do ucha, szepce im coś do środka, a potem wrzeszczy ochryple:

Muszla IZA

z gwiazdy

„B 55”

jako przycisk na biurko,  
podsuwa wiele pomysłów  
przy pisaniu listów!

Muszla O-RA

z czarnego jeziora na

„F 39”

przypomina czarnego łabędzia!

Wsuńcie ją po cichu do kieszeni wroga,  
a niepowodzenie będzie za nim szło krok w krok!

Muszelka A-KA,

grzyb z gwiazdy lodowej,

posiada tajemnicę

powodzenia w miłości!

Muszla U-VA  
ma kształt skamieniałego motyla.  
Pochodzi z planety  
Albatros;  
schowana pod poduszkę,  
sprowadza sny o gwiazdach!

Muszla NE-O  
z „P 44”  
gra jak wzburzony ocean.  
Przez dziesięć lat będzie was bronić przed złem  
na wszystkich ulicach Mullerdomu!

Po przeciwnej stronie stoi handlarz pocztówek z  
widokami fantastycznych krain i miast na gwiazdach.  
Trochę dalej drugi przekupień, potem jeszcze inny...  
Zagłuszają ich płonące reklamy, wypalające w  
ciemności ogniste znaki.

## XIV

Ciemność. — Towarzystwo eksportowe i importowe „Wszechświat” — podróż na gwiazdy. — Piotr Brok nie może sobie przypomnieć. — Kolonia holenderska na księżycu.

Nagle zgasły wszystkie światła i ciemność wypełniła całą przestrzeń pod szklanym dzwonem.

— Katastrofa!

Widocznie w elektrowni zastrajkowali robotnicy i przyłączyli się do rewolucji. Może zgasło światło na wszystkich piętrach i nastąpiła noc straszliwa, nie kończąca się noc, pełna strachów i krwi?

Mullerton nie ma okien

Piotr Brok nie zdążył się jeszcze zastanowić nad ogromem niebezpieczeństwa, które pojawiło się w bezsensownym mrowisku tysiącpiętrowej pychy Mullera, kiedy ponownie zaskoczyło go wielkie światło. — Tak, Mullerton jest światem zamkniętym w sobie, a dni i noce w tym świecie ustala sam Muller.

Tym razem nie było to słońce, lecz wielkie ogniste litery, które niewidzialna ręka rysowała na czarnej tablicy mroku:

Sprzedajemy na raty  
działki na gwiazdach!

Towarzystwo  
„Wszechświat”

Potem pojawiły się nowe napisy:

Wieczna wiosna na wybrzeżach gwiazdy  
„E 4”!

Przeżyjecie baśniowe wczasy  
w błękitnych dolinach  
gwiazdy „M 21”!

Na gwiazdzie „R 25” staniesz się aniołem!

Niebianki  
IKI-LA

tęsknią za tobą!!!

Na planecie „J 25” zostaniesz królem!!!

Chcesz mile spędzić noc poślubną?

Jedź na „V 55”!!

Na planecie „P 7” będziesz żyć tysiąc lat!!

Rajski napój dostaniesz tylko na księżycu IV

w układzie „Z 22”!

Na „P 5” nikt nie umiera!

I znów rozbłysła kula słoneczna; zniknęły napisy.  
Pozostał tylko jeden, duży jak tarcza księżyca

„WSZECHŚWIAT”

Był to szyld umieszczony nad wejściem do  
przezroczystego pałacu o węglach i gzymsach  
fosforyzujących wszystkimi barwami tęczy.

Brok wszedł do obszernej sali. Cztery ściany powitały go pstrokacizną kolorów. Obrazy i mapy pokrywały tu każdy kawałek muru od sufitu do podłogi.

Orbity słońc i planet, parabole komet, widok dróg mlecznych z zaznaczonymi nazwami i liczbami wszystkich mgławic. — Drogi prowadzące od gwiazdy do gwiazdy, poprzekreślane orbitami planet i liniami najróżniejszych . konstelacji. Tablice, cenniki, rozkłady jazdy. Szklane lub złote makiety układów planetarnych. Barwne obrazy fantastycznych krain o bujnej roślinności.

Czy to rośliny, czy minerały gwiazdne? A może mieszkańcy gwiazd? — Może to puszcza olbrzymów lub kolonia liliputów?

Brok zatrzymał się zdziwiony. Wśród fantastycznej pstrokacizny atakującej ze wszystkich stron i rozszerzającej oczy ze zdumienia — nagle — jakby go coś mile pogłaskało po głowie. O boże, co za niespodzianka! Kawałek prawdziwej ziemi!

Kwadraty znajomej wiejskiej zieleni. Zalesione górki na tle niebieskiej tęsknej dali... W polu kapliczka

z czerwonym daszkiem i okrągłymi otworami we drzwiach.

Boże mój, Boże, znam przecież ten krajobraz. Kiedyś, dawno, dawno temu wspinając się na palce zaglądałem przez owalne otwory we drzwiach kapliczki. Wiało przez nie coś smutnego i dostojnego; w ciszy i mroku stał na ołtarzu jakiś święty. — Jaki to święty? — Kto nań patrzył? — Kiedy to było? — Co się wówczas działo? — A dziś? . . Jaki jest związek między tą kapliczką a przeklętymi schodami, na których pewnego dnia ocknął się bez pamięci?...

Kapliczka tkwi gdzieś na dnie mózgu, wdarła się tam na stałe. Nad wiejskim znajomym krajobrazem wiszą trzy duże księżycy — czerwony, zielony i pomarańczowy. Brok odczytał:

Kolonia holenderska na księżycu III

gwiazdy

„S 1”

Nie trzeba pracować,  
wszystkiego dostarczy przyroda!  
Karzełki będą wam usługiwać!



Cóż, nie ma dla Broka nic łatwiejszego niż poznać prawdę. Wszystkie drzwi Mullerdomu stoją przed nim otworem — Bledną wszystkie tajemnice. Kłamstwa roztopią się jak śnieg w ogniu.

## XV

Emigranci. — Zbankrutowany milioner. —  
Lubieżny Don Juan. — Misjonarz Alva. — Abbe Lar.  
— Franciszek Parani.

Bariera ze szkła, szereg okienek, mrowisko ludzi.  
— Wystarczy tylko zatrzymać się przy jednym z  
okienek i nastawić uszu.

— Byłem milionerem — opowiada zmarznięty  
obdartus. — Znał pan Las Abela? Miałem fabrykę  
lokomotyw, samochodów i samolotów. Diabli mi  
podszepli, żebym konkurował z naszym władcą Mul  
erem. Przez dwa lata stawiałem opór, dokładałem  
miliony — wreszcie splajtowałem. — Dobrze mi tak!  
Nie pozostało nie innego, tylko pokornie przyjść do  
Mul ertonu. Inaczej trzeba by żebrać. — Niech będzie  
błogosławiony Ohisver Muller, dobroczyńca, który  
ulitował się nad swym nieprzyjacielem i dał mu za  
darmo dach nad głową i kostki żywnościowe!

— Proszę się streszczać! Nie mam czasu —

zasyczał niecierpliwie mężczyzna zza bariery. —  
Dokąd pan chce jechać i co pan posiada?

— Chcę być bogaty. Tutaj, na planecie naszego  
dobroczyńcy, nie potrafię już niczego dokazać. W  
West-Wester zamordowałem pewnego karczmarza i  
w ten sposób zdobyłem przyzwoitą sumkę mulldorów.  
Chciałbym zacząć życie od nowa w innym świecie. —  
Podobno na gwiazdzie „R 25” są duże możliwości.

Owszem, owszem, tam mógłby pan zostać drugim  
Mullerem. Gwiazda bardzo mała i spokojna,  
obywatele sympatyczni i zupełnie bezbronni. Jest  
jednak oddalona od nas o siedemset czterdzieści  
mullerenów. Za przejazd zapłaci pan dwieście  
pięćdziesiąt mulldorów.

— Ojej nie mam tyle pieniędzy — jęknął  
oberwaniec.

— Niech pan sobie wybierze coś tańszego. Za  
osiemdziesiąt mulldorów można jechać na „S 6”,  
trzeba zabrać ze sobą kozuchy!

— Nie chcę!

— Więc na „F 1”! Wspaniały urodzaj, uprawia się  
tam wino, jedno grono wielkie jak pańska głowa. Co

prawda mieszkańcy wydają nieprzyjemną woń, ale można się do tego przyzwyczaić...

— Niech pan opuści choć pięć mulldorów.

— Idź pan do handlarza muszlami! Tu nie bazar!

Las Abel zniknął, a jego miejsce przed okienkiem zajął upudrowany elegant w białym cylindrze i zielonym fraku zapinanym na dzwoneczki. Miał również krawat ozdobiony dzwonkiem, co było widocznie ostatnim krzykiem mody w Mullertonie. — Jego twarz była podejrzenie młoda i piękna, głos natomiast starczo skrzekliwy i piszczący.

— Nie mogę już patrzeć na kobiety. — Obrzydły mi ich kształty. Nic nowego w nich nie znajdziesz. — Zmienia się tylko kolor włosów. — Poszukuję przeto nowych form!

Jego palce zagięły się pożądliwie jak pazury, a nozdrza rozszerzyły lubieżnie.

Okienko uśmiechnęło się przyjaźnie.

— Proszę przejrzeć prospekty! Oczywiście, to tylko mała część. Są różne kształty ciał, różnorodne materie, substancje, formy płci. — Na „F 9” zapładnia się ustami, na „B 11” wzrokiem, a na „K 12” przy

pomocy skrzydeł. Na „X 6” podczas stosunku następuje śmierć. Na „U 12” kobiety są przejrzyste, na „B 3” zaś mają ciało twarde jak diament. Na „H 4” są w stanie ciekłym, na „S 22” płoną, a na „L 7” — w ogóle nie widać ich kształtów. Jak się panu podoba ta samiczka? — Bardzo przypomina człowieka, ale ma zimną krew. Oto piękność innego rodzaju, ma tylko jedną pierś, ale za to twarz! Przepiękna twarz! Można kochać bez obawy o potomstwo. Na „R 42” wszystkie kobiety mają ciało pokryte jedwabnym, białym włosem. Są wspaniałymi gosposiami, chętnie piją i zadają się z Europejczykami. Nienawidzą Murzynów. — Te z „M 14” są bardzo namiętne i doskonale rozumieją naszych chłopców. Są delikatne jak dwunastoletnie dziewczęta.

— Tam, tam pojedę! — krzyknął młodzieniec zachłystując się z zachwytu.

— „M 14” — pięćset mulldorów.

— Nie chodzi o pieniądze. Ale kiedy wrócę?

— Po dwunastu miesiącach. A może pan wcale nie będzie chciał wracać..

— Szybko mi się sprzykrzą dwunastolatki, —

— a potem — potem przyjdzie kolej na te z białymi włosami —

Młodzieniec otrzymał niebieski bilet i zniknął za zieloną kotarą.

Do okienka podszedł mężczyzna w czarnym habicie przewiązanym czerwonym postronkiem.

— Jestem Richard Alva, idę głosić ewangelię na gwiazdach — huknął głuchym, ascetycznym głosem.

— Proszę bardzo — padła lakoniczna odpowiedź. — Ma pan pieniądze? Wszyscy misjonarze chętnie się targują —

— Chodzi przecież o zbawienie istot niewinnych. — Anioł pański rozkazał mi, żebym natychmiast jechał na gwiazdę „L 100” w układzie „Kopretiny”. Biedacy modlą się tam do fajki porcelanowej, którą zostawił pierwszy Europejczyk.

— Nie, tam nie ma miejsca. Przed tygodniem na „L 100” pojechał misjonarz mahometański — dwa koguty na jednym śmietniku — —

— Niech pan zrozumie — błagał Alva — biedne owieczki zostaną oszukane przez fałszywego proroka! Uwierzą w niego i zginą na wieki! Proszę mnie puścić!

Misjonarz wsunął głowę w okienko i złożonymi błagalnie rękoma wygrażał urzędnikowi pod nosem. Ten zaś konstataował chłodno:

— Mahometanizm to też wiara!

— Ale z nami jest Krzyż Pański!

— O tak, ze wszystkimi misjonarzami jest krzyż pański! — odparł ironicznie urzędnik. — Czekają tam na was i doczekać się nie mogą! Dlaczego ksiądz przypomniał sobie właśnie o „L 100”? — Chcecie nieść światło prawdy? — Niech się ksiądz przeniesie na „C 6”. Tam jest ciemno jak w piekle! Obywatele ślepi, kłaniają się ciemnościom. Nie zobaczą was, ale usłyszą głos i uwierzą we wszystkie cuda. Polecam „E 19”. Mieszkańcy jak owce — ślepo słuchają tego, co się im mówi. Można z miejsca przyprowadzić Chrystusa. Na „K 5” Abbe Lar zmartwychwstał i wszyscy przyjęli chrzest. Franciszek Farani pojechał na „N 22” ze swoją trupą cyrkową i został naczelnym bogiem podczas pierwszego występu. Wspaniałe towarzystwo — z budy cyrkowej zrobiono kościół, a z pracy nabożeństwo. Czego ksiądz jeszcze szuka?

Potem przyszła kolej na malarza pejzażystę z

paletą i rozmarzonymi oczami przygotowanymi na podziwianie szklanych mostów i różowych wodospadów gwiazdy „R 4”.

Za nim pcha się układna figurka fryzjera z wyzywającą kępką rudych, zlepionych pomadą włosów na brodzie, służącą za szyld reklamowy. Idzie na „F 88” szerzyć wśród dzikusów słowem i czynem kulturę rozczesanych bród, równiutkich przedziałków i wody kolońskiej.

Detektyw z fajką tropi na „K 54” jakiegoś złoczyńcę.

Zachodząca gwiazda filmowa chce jeszcze raz zabłysnąć na nowym niebie. Jedzie leczyć swą starość na „K 7”.

Spadkobierczyni milionów i goły poeta uciekają na „L II”, Gwiazdę Miłości...

Złotowłosa piękność poszukuje kochanka, który przepadł wśród gwiazd.

Profesor botaniki ze śliczną żonką o smutnych oczach i z wesołą torbą na plecach wędruje badać vegetację roślin na „F 34”.

Tragiczny król pozbawiony tronu na drodze do



nowego królestwa...

Jeden po drugim znikają za zieloną kotarą, ściskają kurczowo w rękach barwne bilety, tobołki objijają im boki i uda. — Przekraczają ostatni próg starego świata, żeby już nigdy nie wrócić — zadowoleni uchodźcy z rodzinnej ziemi...

## XVI

Dama w czerni. — Zdradliwy naszyjnik. — „Może pani nie odsłaniać twarzy...” — Brok przygląda się z bliska. — „Zostanę więc księżniczką karłów...”

Ostatnia podeszła do okienka dama w żałobie. Czarna, jak gdyby wykapała się w bezgwiezdnej nocy. Twarz zasłonięta gęstą woalką, czarne rękawiczki, piersi ukryte bezpiecznie — to dwa dojrzewające ziarna w miękkiej skorupce. Ramiona ostro zarysowane, biodra delikatne i kształtne, szczupłe łydki w czarnych pończochach wydobywają się spod czarnej koronki spódnicy. — Widać było, że jest młoda, choć ani jeden jasny promyk jej ciała nie przenikał na zewnątrz.

Spłoszona rozejrzała się dookoła. — Była ostatnia. — Milcząc położyła na parapecie okienka swój paszport. — Urzędnik obejrzał go. Z zaciekawieniem uniósł oczy znad fotografii. Uśmiechnął się napotykając nieoczekiwanie czarną krepe.

— Zechce pani odsłonić twarz. Muszę porównać z fotografią.

— Koniecznie? — spytała półgłosem, uchylając lekko wargi. Nagle upuściła ciężki naszyjnik z pereł. Urzędnik chwycił go chciwie. Wziął szkło powiększające i oglądał dokładnie ogniwo po ogniwie. Wreszcie wyszczerzył w uśmiechu dwa białe siekacze, połyskujące w podłużnej szczelinie ust.

— Może pani nie odsłaniać twarzy, księżniczko Tamaro! Naszyjnik zdradził! Ucieka pani z Gedonii.

— Kłamstwo! — krzyknęła przerażona dama w czerni. Głos się jej załamał w pół słowa. Mężczyzna zza bariery jakby nie słyszał:

— Mam rozkaz aresztowania! Paszport jest sfałszowany. Dał go pani mistrz Work z uliczki Tygrysiej.

Księżniczka stała czarna i nieruchoma jak mrok. Gęsta zasłona nie zdradziła, co działo się na jej twarzy. Dobiegł tylko stłumiony jęk. Potem podeszła bliżej do okienka, złożyła na piersiach czarne ręce i szepnęła błagalnie:

— Bardzo proszę, niech mnie pan nie wydaje!

Dam wszystko, czego pan zażąda. To, co chciano ze mnie zrobić na dole, jest okropne. Miałam tańczyć nago na szklanym dachu, na oczach wszystkich rozpustników. — Zostałabym kurtyzana. — Niech się pan zlituje! — Niech mnie pan puści na „L7”! — Oddam wszystko, co mam..

Księżniczka wysypała całą zawartość czarnej torebki. W gromadzie klejnotów i brylantów błysnęła gwiazdzista korona księżęca o promieniach zakończonych wielkimi diamentami.

— Starczy to panu? — szepnęła i jakby obawiając się, że nie wystarczy, odgarnęła z twarzy woalkę i uśmiechnęła się. Był to prawdziwie kobiecy gest... Myśl, by do sterty klejnotów dorzucić jeszcze jeden, ten najcenniejszy.

Niewidzialny Brok miał okazję przyjrzeć się z bliska księżniczce. Jej uśmiech był wspaniały. Wielkie, ciemnoniebieskie oczy osłonięte długimi rzęsami miały kolor nieba podczas zmroku. Nie tylko ich barwa, ale i śmiały, niepowtarzalny kształt nadawały jej twarzy wyjątkowe, egzotyczne piękno. — Usta dyskretne, zwodnicze i namiętne rozchyłały się w uśmiechu jak

dojrzały czerwony strąk wypełniony porcelanowymi ziarnami. Młodość ozdobiła jej twarz niebywałym pięknem.

Mężczyzna w okienku uśmiechnął się obłudnie:

— Dobrze, niech pani jedzie! Ale przed bogiem Mullerem i tak pani nie ucieknie. On wszędzie dotrze...

— Proszę mnie zawieźć na najbardziej odległą gwiazdę. — Na tę ostatnią...

— Naszą ostatnią stacją są „Gwiazdy Karłów” w mgławicy „ZB”. Całkiem niebrzydkie miejsce... System słoneczny prawie taki sam, jak u nas, tylko w wydaniu kieszonkowym. Słoneczko jest o milion razy mniejsze niż nasze, a krążące wokół niego ciała niebieskie przypominają jedną łzę naszej planety. Na „ZB I” żyją ludkowicie tacy sami, jak my, tylko maluteńcy... Jednego mieszkańca „ZB” można schować w pudełko od zapalek. Są to wielkoludy w porównaniu z obywatelami sąsiedniej planety, „ZB II”. — Ludzie, którzy tam żyją, są zbudowani jak my, wzrostem jednak nie przewyższają mrówek. Na „ZB III” wykryto mieszkańców pod mikroskopem. Niech pani wybierze sobie jedną z tych planet...

— Tę pierwszą, nic innego mi nie pozostaje —

— Mieszkają tam posłuszne, inteligentne kukielki... będzie się pani czuła jak w bajce.

— Ale w jaki sposób ukryć się przed ewentualnym pościgiem?

— Może będzie pani zadowolona, że ktoś wyzwoli ją od tych karłów. Na pewno z czasem obrzydną pani do cna. Proszę, oto bilecik —

— Zostanę więc księżniczką karłów — westchnęła Tamara znikając za sfałdowaną kotarą.

Brok posuwał się w ślad za nią, ciekawość aż go łaskotała w nosie.

## XVII

Poczekalnia na progu „Wszechświata”. —  
Rozmowa — „...wszędzie jest ziemia Pana...” — Sala  
wyłożona aksamitem. — Brok chce uratować  
księżniczkę.

W poszukiwaniu rozwiązania zagadki Brok znalazł się po drugiej stronie kotary. Zrozumiał, że od prawdy oddziela go długi, biały korytarz, przez który musi przenieść cały ciężar swego zadania.

Białe żarówki sączą mleczne światło, dudnią kroki, okrzyki wypełniają korytarz; ręce emigrantów wydłużają się pod ciężarem tobołków, które mnożą się i rosą z każdą chwilą, dotykając aż do podłogi. Wreszcie coś zabłysło w oddali i w ścianie pojawił się czarny otwór. — Żelazne drzwi, wielkie i ciężkie, otwierają się pomału i stanowczo niczym płyta grobowca. Szumiący, padający ze zmęczenia tłum przeciska się spieszenie przez mroczny otwór. Na samym końcu księżniczka, a za nią Brok. Drzwi

zatrzasnęły się za nimi ciężko i nieodwołalnie.

Pusta sala wypełniła się ludźmi. Wszyscy jakby na dany rozkaz usiedli na swych tłumoczkach.

— Inaczej to sobie wyobrażałem.. — powiedział malarz błędząc zawiedzionymi oczami po gołych ścianach.

— Przynajmniej ławki można by tu postawić... — narzekał misjonarz, bojąc się usiąść na swoim kruchym bagażu.

— Wiozę monstrancje, kielichy i krzyże owinięte w szaty liturgiczne — wyjaśniał detektywowi. — Mogłyby się połamać.

Detektyw trzymał fajkę w zębach.

— Jak Boga kocham — zawołał — to ma być poczekalnia na progu „Wszechświata”? Tak wyglądają poczekalnie w przytułkach!

— Zawsze tak jest, kiedy zaciera się granicę między bogactwem, złotem a... — złośliwie zauważył upudrowany młodzieniec. — Podczas swych podróży po świecie siedziałem na dworcach, w okrętach i statkach międzyplanetarnych tylko w pierwszej klasie. Mogę sobie na to pozwolić...



Poruszył się nerwowo i otrzepał rękaw marynarki, kiedy otarła się o niego siwa staruszka, przepychająca się na drugi koniec sali.

— Gdzie się, babo, pchasz?

Zgarbiona, bezzębna staruszka hardo uniosła białą głowę. Jej rozczesane pośrodku włosy przypominały srebrne skrzydła latającego żuka. Miała śmieszny mały kapelusik przymocowany do brody czarną wstążką.

— Jestem hrabianką Kokoczinową — powiedziała dumnie i zmierzyła bezczelnego młodzika zza złotych binokli.

— Bardzo przepraszam waszą dostojność, nie przypuszczałem, że... — młodzieniec uklonił się przesadnie nisko.

— Na starość spotyka mnie wiele przykrości... — zaczęła opowiadać hrabianka.

— A dokąd raczy pani podróżować?

— Ja? Na „L 70”!

— Ojej! — To Gwiazda Miłości...

Staruszka kokieteryjnie uderzyła go po rękę.

— Filut z pana! — Gwiazda Młodości, a nie

Miłości.. Lecę tam właśnie po nią. Czy to daleko?

— Dwadzieścia mullerlat... Nie wiem, czy za życia pani tam wyląduje — powiedział uszczypliwie Las Abela, były milioner.

— Przecież mówiono mi, że tylko trzy razy się prześpię — zlekła się hrabianka.

— To zupełnie możliwe — zauważył Las Abela — ale proszę wziąć pod uwagę, że w nowych układach słonecznych obowiązuje zupełnie inny czas, a człowiek starzeje się inaczej niż tutaj...

— Wszędzie jest ziemia Pana! — wtrącił się misjonarz. — Jeśli taka jest Jego wola, umrzesz na krzyżu! — Wiozę go ze sobą — dodał i spojrzał nabożnie na swój tobołek — mam również olej święty do ostatniego namaszczenia. Niech się pani nie obawia...

— A ja uperfumuję panią do trumny — powiedział fryzjer, naciskając gumową pompkę. W wyschnięte nozdrza emigrantów wdarła się fala egzotycznego zapachu.

— I mnie! I mnie! — wołało różowe dziewczę, któremu zachciało się wspaniale pachnieć w ramionach

ukochanego.

Wówczas nad odpoczywającymi emigrantami pojawiła się czapka marynarska, twarz pokryta dziurami po ospie i trykot usiany żółtymi księżycami na zielonym tle. Brok poznał go natychmiast: był to ten sam pijany mężczyzna, którego spotkał na ulicy West-Westeru!

— Wstawać, za mną! — zawołał marynarz i rozświecił pochodnię. Na piersiach miał wytatuowany krzyczącymi barwami statek międzyplanetarny otoczony rojem gwiazd. Ramiona również pokrywały mu nieudane rysunki potworów z nieznanych planet.

Otworzył małe drzwiczki wiodące w mrok. Wszyscy ruszyli za nim. — Zrobiło się tłoczno. Wąski korytarz wchłaniał leniwie podróżnych jednego po drugim. Korytarzyk był wilgotny i długi, prowadził pod górę i opadał w dół, przypominał przelyk straszliwie długiego, potwornego węża. — Szli gęsiego ze zwieszonymi głowami, dotykając łokciami wilgotnych ścian. Oczy sklejał im sen. Gdzieś w przodzie kopciła pochodnia marynarza..

Wreszcie pojawił się błyszczący otwór pełen

nadziei. Pochodnia zniknęła w załamaniu muru, a jej czerwone światło snuło się po szeregu ciał kroczących do przodu. Kiedy księżniczka i Brok przeszli przez oświetlony otwór, drzwiczki zatrzasnęły się za nimi.

Znaleźli się w okrągłej sali wyłożonej czarnym aksamitem, oświetlonej płonąca fioletową kulą. Nagle rozległy się rozpaczliwe okrzyki i szlochy, ludzie załamywali ręce.

— Zdrada, zdrada — wszyscy zginiemy!

Brok początkowo nic nie rozumiał. — Raptem poczuł przedziwną, słodką woń. Zakręciło mu się w głowie. Przed oczami pojawił się potworny kwiat z krwawymi liśćmi i czarnym kielichem. Brok szybko wstrzymał oddech, kwiat zniknął. Wszyscy wskazywali do góry na wystającą ze ściany cynową trąbkę, z której wydobywała się biała para.

Pierwszą myślą Broka było: uratować księżniczkę. Podbiegł do ściany, tam gdzie znajdowały się drzwiczki. Ale po nich ani śladu.

Tymczasem księżniczka zniknęła w zwariowanym kołowrotku. Ludzie podskakują, krzyczą, płaczą, zatykają sobie nosy i usta.

Zbankrutowany milioner biega dookoła ściany z rozpaczliwą wytrwałością niby niedźwiedź w klatce.

Richard Alva — misjonarz ogarnięty mistycznym lękiem przed śmiercią, klęczy na środku sali, bije głową o posadzkę i wykrzykuje bluźnierczą modlitwę pełną dzikich klątw i wymysłów pod adresem Boga.

Kochankowie, pozbywszy się w obliczu śmierci przyrodzonego wstydu, obejmują się i chcą umrzeć razem, złączeni szaloną miłością.

Malarz o rozmarzonych oczach umiera z płaczu, fryzjer targa na brodzie napuszoną fryzurę, zblazowany młodzieniec łyka duszące powietrze pełnymi ustami.

Gaz rozchodzi się szybko, każdy musi połknąć swoją porcję — musi napić się śmierci.

Ludzie padają, a ich ciała tworzą białe plamy na czarnym marmurze posadzki.

Wreszcie w środku koła odnalazł Brok swą księżniczkę. Przedarł się do niej w momencie, gdy przewracała się na podłogę. Chwycił ją na ręce i miękko ułożył na posadzce. — Oczy Tamary rozszerzyły się ze zdziwienia.

— Księżniczko, księżniczko! — krzyknął Brok i

wykrzywionymi z rozpaczy ustami dotknął jej skroni.  
— Niech pani wstrzyma oddech!

Wypowiadając te słowa sam wypuścił z płuc ostatnią kroplę zdrowego powietrza.

Poderwał się i po raz drugi chwycił łyk trującego gazu. Zakręciło mu się w głowie, w uszach szumiało, przed oczami ponownie pojawił się krwawy kwiat. —  
Koniec! Koniec!

---

Przegrał więc walkę z Ohisverem Mullerem! Jeszcze zanim zaczął się bić — przegrał. Nawet go nie zobaczył. Szum cichnie i cichnie. Czarny kielich szkaradnego kwiatu powiększa się szybko, rozwija płatki, pochłania go.. Nogi nie robią ani kroku. Chyba dlatego człowiek umierając przewraca się na ziemię... Piotr Brok upadł. Kula z magnezją zgasła mu przed oczami. Mrok — a potem nawet mrok zniknął.. Zapanowała pustka.

## XVIII

Sen. — Staruszek o miłym uśmiechu. — Losy emigrantów. — „...Z kości robimy puder...”

I znów: mruga i mruga mała żółta lampka. W nieskończoność ciągnie się trzypiętrowo rusztowanie ustawione z prycz. Do brudnych desek poprzyklepiane bure kaptury. Wydaje się, że wyschły i pomarszczyły się na zewnątrz. A jednak coś się w nich porusza, coś straszego, co łęgnie się dopiero albo już rozkłada. . Dużo tu jest tych kapturów kołyszących się od czasu do czasu na znak, że tli się w nich jeszcze życie i że w ciągu nocy mogą wydać na świat smutnego aksamitnego motyla z trupią główką — —

Wtem żółte światełko o księżycowej poświacie rozbłysło gwałtownym płomieniem magnezji. Piotr Brok otworzył oczy.

Co się stało?

Sen zniknął.

Nad głową znowu płonie fioletowy ogień, ale dno

aksamitnego walca jest gładkie. Okrągła ściana pękła w jednym miejscu — prześwituje wąziutki otwór, w którym coś się porusza...

Brok po cichu prześliznął się przez otwór i znalazł się w żelaznej izbie o gołych ścianach, bez żadnych sprzętów. Pod sufitem wisiała tylko przezroczysta czaszka, a przez jej otwory na oczy i nos wytryskały wiązki promieni.

W kącie stała gromadka pielgrzymów obnażonych do pasa, z rękami spętanymi cienkim łańcuchom. Nie było wśród nich kobiet. Brok zdziwił się, że nikt nie szepnął ani słowa. Cisza rozpostarta na zgnębionych, na pół zdziwionych, a na pół bezmyślnych twarzach była koszmarna. Dopiero potem Brok zauważył, że każdy pielgrzym miał w ustach metalowy knebel. — Zastęp pilnowało dwu czerwonych pacholków z kańczugami. Oprócz nich i marynarza znajdowało się tu jeszcze dwu mężczyzn, którym Brok mógł się bliżej przyjrzeć. Natychmiast zrozumiał, że oni właśnie zadecydują o losie oszukanych emigrantów.

Pierwszy z nich to siwowłosy staruszek z białą bródką rozczesaną pośrodku i uśmiechem



serdecznym, aż nie do wiary. Zgarbione plecy opinała zielona kurtka. Na nogach miał spodnie w pasy, na piersiach błyszczało kilka orderów przypiętych niby gwiazdy w układzie Kasjopei. Na głowie czapka oficera marynarki z napisem: „Admirał Surehand”.

Druga twarz była całkowitym zaprzeczeniem pierwszej — krwistoczerwona. Nieokrzesanie rzeźnika i prymitywna szorstkość były po prostu z tej gładko wygolonej gęby. Był ubrany w nieskazitelną czerń jak gentleman — w mankietach i żabocie błyszczały brylanty. Lewe oko, głęboko osadzone pod skośnym czołem, rozwierał monokl, mający nadać brutalnym rysom trochę arystokratycznego sznytu.

— Ilu? — zapytał dobrodusznie staruszek.

— Czterdziestu pięciu — odparł marynarz. — Trzydziestu mężczyzn i piętnaście kobiet.

— Kiepski materiał! — splunął mężczyzna z monoklem w oku. — Wszystkich do piekła!

— Pan przesadza, milordzie! — perswadował staruszek. — Coś wśród nich musi się znaleźć.

Podszedł do byłego milionera i poklepał go po piersi zarośniętej rudym włosem.

— Niech pan zwróci uwagę na jego budowę! — Rudzi są bardzo wytrzymali i długo żyją. Będzie z niego dobry górnik!

— Dobrze, admirale — odparł milord. — Posłać go do kopalni.

Marynarz zapisał coś w notesie, a dwaj pacholankowie odprowadzili rudego w drugi koniec sali.

— Jednego do magazynu — przypomniał sobie milord i zbliżył się do fryzjera, który drżał jak liść. Pstryknął go palcem w nos i rzucił krótko:

— Piętro pięćset sześćdziesiąt siedem.

Marynarz znów coś zanotował, fryzjer zaś ocknął się w drugim kącie pokoju.

Staruszek dostrzegł zrozpaczonego kochanka, który wyciągał ręce w kierunku zatrzaśniętych na stałe żelaznych drzwi.

— Sir Marko poszukuje młodego niewolnika — powiedział głosem przesyconym radością. — Ma pan szczęście...

— Siedemset trzydzieści trzy! — syknął milord i poszedł dalej.

— Na ulicy Esmeraldy Kran jest potrzebny

zamiatacz — mówił ruchliwy staruszek, biegnąc wśród emigrantów. Potem zatrzymał się przed byłym monarchą.

— Utrzymasz miotłę? — zapytał ze współczuciem. Tłusciutki eks-król z oburzeniem pokręcił głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

— To jest król Aramis XII — dorzucił marynarz zaglądając do notesu.

— Który? — spytał milord, jakby nie dosłyszał. Potem szybko powziął decyzję i huknął groźnie:

— Do piekła z nimi!

— Do nieba, do nieba! — zapewniał rozrzutnie staruszek. — To tylko łachmany zostaną spalone, a z kości robiny puder dla pięknych kobiet z West-Westeru. Dusze naprawdę ulatują na gwiazdy, hehehe! — śmiał się tak wylewnie, aż ciemne okulary zaszyły mu mgłą. A kiedy je zdjął, ukazały się dwa jadowicie zielone oczka, okrągłutkie i złośliwe. Dobroduszne zmarszczki i błysk oczu nadawały jego twarzy wygląd maski.

— Wystarczy! — zdecydował milord. — Reszta to śmieci! Natychmiast spalić!

— Jeszcze zamiatacz ulic! — krzyknął staruszek i znów nałożył okulary. Wpadł mu w oczy u pudrowany młodzian, któremu strach i płacz wykrzywiły nie ludzko twarz. Marynarz zanotował numer piętra, a przestraszonego młodzieńca odprowadzono do drugiej grupy.

## XIX

— „A teraz dziewczynki..” — Księżniczka stracona i znów odnaleziona. — Niebywała uprzejmość Mullera. — „...Proszę więc o uśmiechy...”

— A teraz dziewczynki — wycedził z lubością staruszek i umocował na piersiach jedną odlepiającą się gwiazdę. Milord wchodząc do sąsiedniego pokoju także poprawił mankiety z brylantowymi spinkami. Nie zauważony przez nikogo Brok poszedł za nimi.

Na podłodze miotał się i zwijał kłęb kobiet, które przedtem Brok widział wśród uchodźców. Kłęb kochanek i przyjaciółek odprowadzających i odprowadzanych, kłęb samotnych patniczek dumnie i cicho poszukujących swoich snów.

— Znaleźć księżniczkę! — przeleciało mu przez głowę w momencie, gdy podbiegł do płaczących kobiet. — Wśród nich nie było księżniczki. — Stała opodal przylepiona dłońmi do ściany, czarna i dumna, bez ani jednej łzy.

Miał szczerą chęć od razu załatwić się z dwoma nikczemnikami i wyzwolić oszukanych uchodźców. Ale jakiś stary, dobry i wierny instynkt kazał mu zaczekać i odłożyć zemstę do momentu, gdy będzie mógł zniszczyć wszystkich. — Na palcach podszedł do księżniczki, pochylił się lekko i szepnął:

— Księżniczko, niech się pani nie boi! — Jestem tutaj.

A gdy zwróciła ku niemu przerażoną twarz i poruszyła ustami, jakby chciała zadać jakieś pytanie, Brok rzucił pośpiesznie:

— Cicho, cicho, niech pani o nic nie pyta! — Proszę się nie ruszać! Oni nie mogą o niczym wiedzieć! Będę przy pani, proszę mnie nie szukać.

Brok dotknął jej lewej ręki:

To ja! W ten sposób pozna pani, że jestem w pobliżu. — Dobrze?

— Dobrze — przytaknęła księżniczka i uśmiechnęła się leciutko zmartwiałyymi ze strachu ustami.

Tymczasem stary oszust o fałszywej twarzy pocziwca starał się uspokoić płacz, wymysły i

narzekania, które sypały się na niego.

— Ależ moje panie — po co te lamenty? Jak brzydtko wyglądacie we łzach!

— Oddajcie mi mego chłopca! — Oddajcie mego Piotrusia! Ikała dziewczuszka ciągle jeszcze nie rozumiejąc, o co chodzi. — Bez niego przecież nie polecę!

— Gwałt, gwałt! — krzyczała histerycznie gwiazda filmowa. — Rozbójnicy! — Piraci!

Córka milionera zapomniała o poecie i gorzko opłakiwała swoje stracone kufry.

— Jeśli nie będziecie cicho, znajdziemy na was lekarstwo ofuknął je człowiek z monoklem. — Kneble są troszkę twarde...

— Prosimy o uśmiechy. Potrzebujemy uśmiechów... — powtarzał staruszek admirał. — Uśmiechajcie się póki czas!

Tymczasem płacz, skomlenie i narzekania narastały z każdą chwilą. Najgłośniej zachowywała się stara hrabianka. Wołała o pomoc, wzywała policję, besztła i groziła:

— Rozbójnicy! Łobuzy! — Odważcie się

podnieść rękę na bezbronną arystokratkę! — Gdzie są te gwiazdy! — Na niebie? To tak się wyludza pieniądze; głupcy za nos człowieka wodzą, okradają! — Oddajcie mój kuferek, złodzieje, zwróćcie pieniądze! — O, ja nieszczęśliwa, nieszczęśliwa...

Wówczas odezwał się milord:

— Nieograniczona jest uprzejmość szlachetnego Mullera — dryblas skłonił się nabożnie — ale i on wyznaczył nam granice, kiedy mamy do czynienia ze zwykłym śmieciem! Knebel! — rozkazał i zanim hrabianka zorientowała się, o co chodzi, pacholek wepchnął jej w usta stalowy przedmiot. — Pozostałe kobiety ucichły od razu.

— Widzicie, moje panie. — Proszę więc o uśmiechy! — Ta dziewczynka, milordzie, nie jest najpiękniejsza, ale ma najwyżej siedemnaście lat.

— Owszem — uśmiechnął się monokl — do kabaretu Dona Eremisa to najodpowiedniejszy wiek...

Potem z gromadki kobiet wyprowadzono córkę milionera, smutnooką żonkę profesora botaniki, dwie blade ładniutki siostrzyczki podobne do siebie jak dwie krople wody, w krótkich spódniczkach i



dziecinnych pończoszkach. Dziewczynki, nic nie rozumiejąc, trzymały się za ręce i wzywały tatusia. Pacholek przeprowadził je w drugi kąt pokoju. Znajdowała się tam wspaniała altana zawieszona u sufitu, wyłożona pluszem, z półkolem purpurowych foteli pośrodku.

Pierwsze wiadomości o Aczorgenie. —  
Purpurowa altana jest windą. — Stary stręczyciel  
uspokaja księżniczkę. — Madame Veroni.

Wreszcie przyszła kolej na księżniczkę. Brok  
przestraszył się. Stary admirał poprawił wyprasowane  
w kant pasiaste spodnie i zaczął się zbliżać do niej  
pełen szacunku. Zawołał z udanym zdziwieniem:

— Księżniczka Tamara! Co za niespodzianka!  
Czarny diament zgubiony i odnaleziony na nowo...  
Aksamitny motylek chciał nam ulecieć do nieba. . A  
my szukaliśmy pani po wszystkich piętrach!...

— Nikt nie szukał — mruknął milord — i nikt nie  
zginął! W Mullertonie nic jeszcze nie zginęło i nie  
zginie! — —

Broda staruszka podpierająca zapadnięte usta  
rozdygotała się radośnie.

— Książę Aczorgen, pierwszy sekretarz naszego  
dobrodzieja i Pana, zakochał się w pani od pierwszego

wejrzemia.. Zastrzegł sobie, że jemu właśnie zatańczy pani po raz pierwszy kryształowe śmigło — ewentualnie po raz drugi, jeśli by On sam raczył. . Podobno dobroczyńca i władca wyraził już swoje zainteresowanie panią i jej postęпами w tańcu. — Biada, jeśli zamiast łaski spadnie na panią Jego gniew!

Zawleczono księżniczkę do altany. Brok pobiegł za nią. Staruszek usiadł obok i dał znak ręką. — I nagle — ze wszystkich stron opadły żelazne rolety. Pod sufitem rozbłysła żarówka i altana, zamknięta żelaznymi ścianami, zaczęła opadać w dół.

W zamkniętym szczelnie walcu Brok nie mógł się zorientować, z jaką szybkością spada w dół, zwłaszcza że nic nie poruszyło się wokół i nie wydało głosu. Miał wrażenie, że walec stoi w miejscu, gdy tymczasem mógł lecieć w przepaść z szaloną szybkością.

Stary stręczyciel uważnie oglądał zapłakane twarze kobiet. Od czasu do czasu wyrывał się z nich cichy jęk, kapnęła jedna łza, ale usta milczały zawzięcie. Zmęczyła je już rozpacz, tylko w oczach pojawiała się coś nowego, coś, co ciekawie błyskało i

gasło na przemian. — Admirał zachowywał się w owym spadającym dzwonie nad wyraz przyzwoicie. Siedział na fotelu, podciągnął nogawki spodni, złączył kolana i ułożył równiutko ręce — chciał, aby nikt nie podejrzewał go o to, że pragnie pod jakimś pozorem dotykać sąsiadek. — Przesunął tylko do tyłu czapkę ze złotym napisem i rozgadał się jowialnie:

— Widzicie, moje panie, że nic złego się wam nie stało i nie stanie. Bałyście się, że nie polecicie na swoją gwiazdkę? — Przysięgam, jedziemy właśnie na jedną z najbardziej rozkosznych planet. . Tam się tylko tańczy... Taniec i miłość... madame Veroni nauczy was tego w swych salonach. Sama, co prawda, już nie płąsa — jest trochę za ogromna... ale prowadzi uniwersytet tańca i zatrudnia najlepsze siły naukowe ze starego świata... Nie martwcie się, nie tylko piękne buzie zadecydowały o waszym losie również zgrabne ciała i nóżki zwyciężyły w tej konkurencji... Zerwałem tamte dwa małe pączuszki, bo — (tu zmarszczki starego oszusta uśmiechnęły się do dziewczynek z macierzyńską czułością) — żał mi było ich piękna i symetrii. . Znajdzie się tatuś, moje małeństwa, jeden i

drugi — wpieryw jednak pójdziecie do szkoły. Madame Veroni nauczy was abecadła miłości. Pani zaś, księżniczko, powróci do willi Tamary. Szczerze radzę nauczyć się kryształowego skrzydła — bez tańca nie zrobi się kariery w Gedonii. Zdobędzie pani księcia Aczorgena. Czyż pani nie rozumie, że wszystkie kobiety z dołu szaleją za nim, a wśród nich także księżniczki... To wielki człowiek — prawa ręka Mullera — a jaki rycerski! Zajmuje w Gedonii całe piętro, trzy tysiące pokoi. Jest mecenasem wszystkich artystów z Mullertonu. Jeśli zdobędzie pani jego sympatię, to się z panią ożeni! Przysięgam, że w jego pałacu żyje się jak w bajce; chyba z pięćdziesiąt kobiet trzyma w swoim domu...

Księżniczka patrzyła w sufit milcząc przez cały czas. Jej dumna twarz w świetle białej lampki wyglądała niczym zimny marmur. Tymczasem Brok słuchał uważnie, słowa admirała zapadały mu w mózg jak ziarno w urodzajną glebę.

Nagle dzwon zatrzymał się lekko i bez wstrząsu. Rolety uniosły się automatycznie, światło zgasło i altana stanęła pośrodku olbrzymiej różowej sali. — Brokowi

wydawało się, że nagle umilkła jakaś muzyka. Ze wszystkich stron nadbiegali ludzie spoceni i zaczerwienieni. Dzwon otoczył rozpalony pierścień ludzkich ciał. Wspaniałe twarze kobiet o mocno zarysowanych wargach, wilgotnych, bardzo błyszczących oczach, które przynikały się pod ciężarem długich rzęs. Mężczyźni ze zmarszczkami ukrytymi pod warstwą pudru. Najbardziej rzucało się w oczy to, że wszystkie twarze ozdabiały czarne, płowe i rude, długie i krótkie bródki rozczesane pośrodku. Brok przypominał sobie obywateli miasta awanturników i ludzi z hotelu „Eldorado”. Zauważył, że także pomarszczoną dobroduszość starego stręczyciela maskowały dziwacznie ostrzyżone wąsy. Zrozumiał, że taka jest moda w Mullerdomu. Nie było już czasu na zastanawianie się nad drobiazgami. Stary pierwszy wybiegł z altany i troskliwie otrzepał spodnie, by wyprostować dobrze zaprasowane kanty.

— Madame Veroni! — krzyknął. — Madame Veroni!

Z tłumu wystąpiła gruba jejmość o niezwykle bujnym biuście wysuniętym do przodu, w pięknej

powłóczystej sukni z zielonymi cekinami. Jej wdzięki pokryły bez reszty warstwy tłuszczu, twarz podpierała cała seria podbródków; kobieta o głowę przewyższała staruszka admirała.

— Przywiozłem pani nowe aniołki... — paplał starzec. — Nóżki musi im pani sama wyciosać. Wydaje mi się, że dobrze wybrałem..

Madame Veroni zlustrowała przez złote lorgnon smukłe nogi kobiet. Podbródki zadrgały jej z aprobatą.

— Wybornie, admirale — powiedziała słodziutko — zawsze byłam zadowolona z Wszechświata. Różowiutkie robaczki nawet na Venus nie przyniosłyby wstydu naszej starej planecie. Niech pan przyjdzie do mnie jutro, to załatwimy rachunki!

Raptem madame Veroni załamała ręce na brzuchu.

— O laboga! — zawołała. — To nasza Tamara! Admirale, pan chyba na dobre oślepił od gwiazdznego pyłu?

Stręczyciel roześmiał się ukradkiem z za swych szkieł.

— Naprawdę sądzi pani, że w moje sieci wpadają tylko płotki, a złote rybki uciekają?

— Chodź, kotusiu — zaszcebiotała przymilnie Veroni zwracając się do księżniczki. — Ojej, jaka pani blada! Zaprowadzę panią do willi — nic tam nie tknięto, przekonasz się, moje drogie dziecko.

Stręczyciel rozgniewał się:

— Niech się pani zatroszczy o swoje aniołki, one także są zmęczone! Trzeba im dać ciepłej wody, a księżniczkę proszę pozostawić mnie! Sam ją odprowadzę, dokąd zechce... Chodźmy!

— Niech pani idzie! — szepnął Brok.

Księżniczka uśmiechnęła się leciutko. Dotknęła niewidzialnej ręki Broka i opuściła salę. Kroczyli we trójkę: księżniczka, admirał i Brok.



## XXI

Ulica Elwiry Karpowej. — Willa Tamara. —  
Decyzja Piotra Broka. — „...Opuszczę panią na parę  
minut...” — Ulica Berty Bretard. — Ulica Anny  
Dimer.

Plac. Szklane pałace ustawione wokół niego  
tworzą olbrzymi basen z białym dnem, po którym  
biegają figurki ludzkie w pstrokatych strojach, szerokie  
ulice jak w bajce, niby promienie gwiazdy giną w  
oddali. — Teatry, kawiarnie, kina, muzea, domy gry,  
kościół. Szkło i marmur na pół przezroczysty, na pół  
matowy. — Szeregi wodotrysków i kryształowych  
posągów, jakby wyciosanych z wody, pojawiają się  
na krótko, by znowu zniknąć. — Nad miastem rozpina  
się szklany błękit. A na nim kołysze się nigdy nie  
zachodzące słońce...

Ulica Elwiry Karpowej

Dona Elwira była czwartą miłością  
Wielkiego Mullera

Kłuje w oczy srebrna tabliczka zawieszona na rogu ulicy. — Brok zapamiętał jej nazwę. — Musiał się uważnie rozglądać — gdyby zabłądził w przeogromnym wnętrzu Mullerdomu — kogo by spytał o drogę...? Nie spuszczał księżniczki z oka. Szedł w ślad za nią, krok w krok. A kiedy uważniej przyjrzał się jej smukłym nogom, nagle ogarnęła go nieprzewyciężona żądza. Wyobraził sobie jej gołe nogi, a tuż przy nich siebie — niewidzialnego. Widział swe ręce wyciągnięte łakomie, jak dotykają jej ciała... Z obrzydzeniem stłamsił te myśli. — Obiecał przecież jej pomoc! Tak, będzie jej dotykać, ale tylko na znak, że jest w pobliżu! — Obiecał!

Mijali ulice, domy, światła, ludzi. — Przechodzili z jednego chodnika na drugi. — Widzieli palmy fontanny, sklepy, wędrowali obok setek drzwi i tysięcy okien. — I nagle: szklany domek wśród palm. Na

dachu barwny napis:

## WILLA TAMARA

Maskaradowy admirał ukłonił się księżniczce

— Do widzenia, dumna grzesznico! — Idę do Mullera. Niech się pani modli, żeby był miłościwy w swym gniewie! Jego dobroć jest nieograniczona...

Stał jeszcze na progu willi, podczas gdy księżniczka wstępowała po szklanych schodach nie obejrzawszy się nawet za siebie. Jej sylwetka pojawiła się za drzwiami. Potem rozplynęła się za wieloma warstwami szkła i zniknęła zupełnie.

— Co teraz robić? — zastanawiał się Piotr Brok. — Czy zostać przy księżniczce? — Nie! Tymczasem nic jej nie grozi. - Ale ten oszust idzie do Mullera. Trzeba go gonić! —

Brok szybko wydarł z notesu kartkę i napisał:

Księżniczko!

Opuszczam panią na chwilę. Proszę nikomu nie otwierać! Musi pani wytrzymać!

Rozpozna mnie pani po dotyku...

przyjacieli

Wbiegł po schodach i wsunął kartkę pod szklane drzwi. Potem pognął za admirałem.

Dopędził go na skrzyżowaniu i wówczas zawahał się. A jeśli nie trafi na tę ulicę? — Jak się ona nazywa?

Ulica Berty Bretard

odpowiedziała mu srebrna tabliczka. Przeczytał:

Aktorka Berta Bretard rzuciła się ze szczytu  
Mullerdomu z powodu nieszczęśliwej  
miłości  
do Wielkiego Mullera.

Muller! Wszędzie Muller! — Czy wszystkie ulice

w tym mieście noszą imiona jego nieszczęśliwych kochanek? Czy wielki bóg jest aż tak drobiazgowy i zarozumiały? Trudno, trzeba dobrze wbić sobie do głowy wszystkie nazwy, żeby nie zablądzić..

Skreślił w ulicę

Anny Dimer

która, jak głosiła tabliczka, została spalona za zamordowanie królowej Gertrudy z zazdrości o Mullera.

Uliczkę tę zamykał pałac z kolumnami ze szkła i szerokimi białymi schodami rojącymi się od czarnych cylindrów. Na górze płonął czerwony napis:

**GIEŁDA**

Złote mrowisko... — Otyły bóg pod baldachimem. — Kryształowe usta głośnika. — Mechanizm giełdy. — Piotr Brok. dowiaduje się czegoś o sobie. — „...powiedzcie raczej — socjalistą bożym..”

Stręczyciel zatrzymał się przed schodami giełdy. Poprawił kanty u spodni, sprawdził gwiazdy przypięte do kurtki i ostrożnie zaczął wstępować w górę. Brok deptał mu po piętach. —

Weszli do olbrzymiej szklanej hali. Pod złotym winogronem utworzonym z tysiąca mlecznych kul szumiał tłum ludzi. Kruche, ale wspaniałe schody prowadziły na amfiteatralny balkonik. W kącie pod baldachimem w szkarłatnym fotelu siedziała złota figurka jakiegoś niebywale grubego boga o rozdwojonej brodzie. — I tu również znajdowało się wypukłe lustro umocowane na suficie, otoczone promieniami słonecznymi. Może to jakaś olbrzymia

soczewka, przez którą jak przez mikroskop spogląda na rój zarazków czyjeś ogromne oko?

Szeleści jedwab czarnych fraków, ocierających się o siebie bokami, łokciami i plecami. Matowe plamy twarzy rozjaśniają świecące oczy; błyszczą kwadraty białych koszul i wyglądają jak drzewiczki prowadzące do środka czarnych figurek, tańczących za pociśnięciem guziczka. — Prawe ręce wyciągają się na pewną odległość, łączą ze sobą, jak dwa przeciwstawne bieguny magnesu. Grube palce tych rąk ozdabiają złote pierścienie.

Wszyscy spieszą się, zmiierzają w różne strony, a przecież ich drogi i tak nie prowadzą do celu. Przeciskają się wąskimi szczelinami wśród tłumu, biegają po krętych korytarzykach, wychodzą na dwór i znowu wracają, by zbić się w gwarne gromadki.

Sypią się słowa, śmiech rozsadza gardła, okrzyki przecinają powietrze.

Brok zabłądził w tym gąszczu dróg, przesmyków i korytarzy. Stracił z oczu swego admirała... Wpadł w mrowisko i sam stał się mrówką. Biegał z miejsca na miejsce, przeciskał się, podsłuchiwał, przyklejał do

czarnych gromadek fraków, łowił okrzyki dobiegające ze wszystkich stron.

Dopiero po chwili, gdy ucho zaczęło chwytać całe zdania, zauważył, że głos wydobywa się z kryształowej tuby, ustawionej na wysokim podwyższeniu w drugim rogu sali. W pobliżu na białym ekranie pojawiały się napisy, cyfry i przedziwne znaki; poprzez soczewki oczu przedostawały się one na ekrany mózgow i tam zostawiały swoje ślady.

Dopiero tutaj Brok zrozumiał, kim jest Ohisver Muller! Pojął cały ogrom tego tajemniczego człowieka, który jest wszędzie i nigdzie. W sali toczyła się nierówna walka między mulldorami Mullera a bezwartościową walutą innych narodów. Tu tysiące ust wymawiało jego imię po tysiąc razy dziennie. Brzmiało ono jak jęk, zwycięskie warknięcie, prośba o litość lub chrzest rozdeptywanych kości. Soczewka na suficie może być jego okiem!

Otwórz w ścianie jego uchem! Kryształowy głośnik jego ustami! Jego ręka może zasłonić sufit — on sam może nagle pojawić się w lustrze..

Kto wie, czy właśnie nie znajduje się gracz,



makler czy też lokaj... nikt go nie zna, nikt nie wie...

Piotr Brok zaczynał się już orientować w sytuacji. Oczami i uszami chłonał cyfry, litery i słowa wypływane przez tubę i jak echo powtarzane ustami tłumu.

GŁOŚNIK:

Kupię pięćdziesiąt czarnych akcji!

EKRAN:

Kurs: 29, 30, 31, 32, 50, 33.

GŁOSY:

Słuchajcie, Muller potrzebuje węgla! — Nie do wiary!

EKRAN:

Kurs 35, 36...

GŁOSY:

Dodaję solium! Trzymaj się! Proponuję pięćdziesiąt!

GŁOSY:

Dziś jestem milionerem!  
Poczekamy jeszcze... przecież to jego kaprys!  
On nie może się już wzbogacić!  
...ani zbiednieć!

GŁOŚNIK:

Kupię dwadzieścia tysięcy par rąk roboczych.

Na ekranie przesuwają się szeregi cyfr, określających wysokość kursu, ale Brok nie patrzy już na nie. Wędruje od gromadki do gromadki i przysłuchuje się uważnie.

— Czarne po dwa mulldory!

— Muller zatrudnia białe!

— Kupiłem tydzień temu żółte, pracują najszybciej!

— Żółte prędko się zużywają!

— Mam białe po pięć mulldorów, hiszpański towar!

— Muller nie kupi hiszpańskich, są tępe i leniwe...

— Ręce francuskie są subtelno, rzucę je na rynek w momencie, gdy wzrośnie wartość franka...

GŁOŚNIK:

Zakupiono.

Sprzedam pięćdziesiąt wagonów kostki  
„OKKA”

— Towar dwieście pięćdziesiąt sześć!

— Nie potrzeba! — Stare zapasy!

— Tydzień temu kupiłem pół wagonu, to wystarczy na osiemdziesiąt lat dla tysiąca osób.

— Tak, monsieur, kostki są tanie, ale żołądki drogie! W ciągu trzech lat moja fabryka przekształciła się w szpital... Specjalna choroba — wysychanie krwi...

— Pssst!!!

— A Indie, sir — komu mają zawdzięczać życie? Co? — Właśnie kostka „Okka” podczas głodu ochroniła przed śmiercią miliony ludzi.

— Prawdę mówiąc każda maszyna z czasem się psuje. Jedynie człowieka nie trzeba produkować. Przyroda sama go hiperprodukuje!

— Bez kostek, Wielki Wezyrze, nic można już

dziś konkurować! — W żołądku człowieka przestają one być pokarmem — zamieniają się w smar, którym oliwi się maszyny! — Czyż opłaciłoby się nam trzymać maszynę odczuwającą głód, pragnienie, lenistwo i różnicę płci? —

— Powiem panom w tajemnicy: Chińczyk tego nie zeżre, o psie nie chcę nawet wspominać! Przez siedem lat karmiłem kostkami swych Patagończyków. Ani jeden mi nie został...

— Pssst!!! —

— Pan się nazywa „proszę pana”. — Pan na pewno potrafi naoliwić maszynę... dwieście pięćdziesiąt — psia krew!

— Meine Herren, będzie kryzys! Rynek jest nasycony kostkami! Dobry Muller da nam, żebrakom ulgi...

Kupię pół kg radu!

— Gentlemen, kto dziś może sprzedać rad?

— Do czego Frank potrzebuje radu?

— Signore, promieniami radu leczy się raka,

hehehe.. (Ktoś szeptem zdradził wielką tajemnicę)

— Na własny użytek, verstehen Sie?

— Pssst!!!

Tron szacha perskiego do sprzedania!

— Znowu? — Ile już razy w tym roku?

— Niech się pan nie dziwi. — Kto tego nie spróbował...

— Allan Gorr nawet nie zagrzał miejsca...

— ...lud jest jak mokry gałgan, milordzie — im mocniej ściskasz, tym więcej z niego kapie...

— ...za piętnaście muldorów byłem w Egipcie przez trzydzieści pięć dni...

Kosztowna przyjemność.. Zachciało mi się królować, być dobrym władcą i zbierać pieniądze. — Kiepski ze mnie król — ale interesy jeszcze gorsze... mein Gott.

Odnajmę pięćset sześćdziesiąte czwarte piętro  
w Mullertonie.

— Jaka cena?

— Już biorę!

— Za ile?

— 750!

— Potrzebuję założyć kancelarię...

— Chcę mieć mieszkanie. Magazyn.

— Czy panowie uwierzą, że już od dziewięćsetnego piętra widać Gaurisankar?

— Wierzymy, przecież tam są domy wariatów, hehehe!

— Pssst!!!

— Na szczycie Mullertonu znajduje się olbrzymia luneta. Kiedy wasza wysokość popatrzy przez nią aż na kraniec horyzontu, zobaczy znów Mullerton i siebie na jego dachu, ale odwróconego plecami — chichichi!

— Pssst!

Sprzedam gwiazdę „K 99”  
razem z tegorocznymi plonami!

— Was heisst, z plonami? — Ogórki, banany czy rajskie jabłko?

— Niech Herr Serafin sam się przekona. Czy pan myśli, że ktoś zbierze plony i podsunie mu je pod nos?

— Spróbowałem jabłka z gwiazdy „K 84”. Były tylko dwa: jedno zjadł Wielki Mul er, a drugie ja. Ta przyjemność kosztowała trzysta mulldorów... Nie można opisać tego, co się przeżywa jedząc te owoce. Smak nie z tego świata, proszę Waszej Wysokości.

— Piłem cynes z „K 74”.. Lekko oszalał jak szampan, zawiera małą dawkę alkoholu z gwiazd.

— A któżby pojechał na „K 99”? Powiedzmy, że ją kupię, komu wówczas będę sprzedawał plony? — Sam je zeżrę czy co?...

Spróbuję trującej skórki i zdechnę, prawda, signore?

— Pssst!!!

— Mieć własną gwiazdę to ostatni krzyk mody! Wyobraźcie sobie: Don Ortego y Costa i markiz de la Rochefoucauld też mają swoje gwiazdy, hihihihih...

— Dla nas to martwy kapitał!

— Kto odważyłby się jechać, Herr Apfelbaum?

— Mam syna na „Z 19”, jest tam już pięć lat...

— Nikt jeszcze nie wrócił..

— Pssst!!!

— Wariat wracałby z raju do piekła...

— Tutaj jest mi zupełnie dobrze, mój baronie!

— Nasz dobroczyńca, Wielki Ojciec i Pan...

— Oczywiście — wszyscy jesteśmy w dobrych rękach, bo On czuwa nad nami...

— On przebacza nawet wtedy, gdy błądzimy...

1 mulldor — 932 896 dolarów!

— Patrz pan, mulldor spadł.

— Spadł!

— Dziś po raz pierwszy.

— Tak, pierwszy raz!

— Chyba nie myśli pan, że...?!

— Broń boże!

— Pan wie coś na ten temat?

— Pan też o tym wie, po co grać komedię?

— W cztery oczy: ma pan na myśli wypadki w hotelu „ELDORADO”?

— Więc...

— Nie! — na pewno nie! — To głupstwo —



czyż mogłoby wstrząsnąć Mullerdomem?

— Oczywiście, że nie może, ale...

— Co ale?

— Bóg wie, co się stało! Coś absolutnie bezsensownego...

— Jeśli wierzyć Orsagowi...

— Wszyscy mówią to samo!

— Nic nie rozumiem! — Podobno Czulkow usłyszał czyjś głos!

— Orsag go widział!

— Kogo?

— Szklany kubeł w kształcie człowieka!

— Istotę zrobioną z porcelany!

— Diabeł!

— Bóg!

— Fantom!

— Czulkow to stary kpiarz.

— Orsag jest narkomanem! Ten facet powstał z oparów opium, a nie ze szkła czy z porcelany!

— A strzelanina i walka z Nieznajomym?

— Delirium starych pijaków!

— Orsag został wezwany do Mullera.

— Aha!

## Sprzedam Mullerdom!

— Słuchajcie! — Słuchajcie!

— Muller sprzedaje Mullerdom.

— Czy to możliwe?

— Co się dzieje?

— Pan nie rozumie? On bardzo często żartuje w ten sposób. — Mówimy wówczas, że świat waży na swej dłoni —

— To bardzo rozumny i wielkoduszny gest. Wie pan, admirale, Mullerowi nie zależy na tej planecie, jest gotów napluć z góry na ten tandetny kram. Jeśli chce, sprzeda nawet Mullerdom, ekscelencjo.

— Sprzeda...

— Sprzeda...

— Sprzeda...

— Musi wpierw znaleźć kupca..

— To szlachetny gest...

— Muller jest demokratą!

— Ludowcem — —

— Powiedzcie raczej — socjalistą bożym..

## XXIII

„Kupię!” — Zbiegły się dwa głosy. — Piotr Brok rozmawia z Mullerem. — Spotkanie na ulicy Alicji Moor.

I wówczas, gdy podobne rozmowy obiegały giełdę, głośnik odezwał się po raz drugi:

Sprzedam Mullerdom! ! !

K U P I E ! ! !

Czyjś głos huknął na środku sali i zakłócił raptownie atmosferę tajemniczych szeptów, plotek i uścisków. Był jak kamień ciśnięty w lustro, w którym cała sala odbijała się do tej pory wiernie i niezłomnie.

— Kupię! Człowiek, który chce kupić Mullerton!  
— Naprawdę? — Przecież wszyscy wiedzą, że to najlepszy dowcip Mullera. Czyż istnieje ktoś silniejszy od Mullera? — Co to jest Mullerdom? — Bryła złota

wepchnięta jednym końcem do piekła, a drugim sięgająca nieba. Wydawało się, że nawet głos z kryształowej tuby zdziwi się — zaskrzypiał i umilkł.

Chwila śmiertelnej ciszy zawisła w powietrzu. Potem rozwiało się przerażenie i kryształowa trąba przemówiła na nowo. Zabrzmiał w niej zupełnie inny głos — twardy i gniewny. Przypominał zgrzyt maszyny przeznaczonej nie do zabijania, lecz do tortur:

— Człowiek, który chce kupić Mullerdom,  
niech się pokaże!

— Jestem tutaj! Na środku sali!

Piotr Brok w tym momencie rzeczywiście znajdował się na środku sali. Wdrapał się na wielki, przezroczysty posąg Atlasa dźwigającego na barkach złoty glob. Rzeźba zniknęła mu z oczu, usiadł bowiem na samym szczycie kuli zawieszanej w powietrzu niby wygasłe słońce. Rozsiadł się wygodnie. Mógł stąd bezpiecznie rzucać swoje pytania i łowić odpowiedzi. — Odważył się na to pociągnięcie, bo czuł

instynktownie, że Ohisver Muller jest w pobliżu. Muller — człowiek, który w miarę jak go się lepiej poznaje, staje się coraz bardziej zagadkowy. Brok zbliża się do niego, a on stale oddala. — Ile par oczu i uszu ma ów Muller? Znalazłem wreszcie miejsce, gdzie można z nim porozmawiać! Jeśli to On przemawia przez kryształową tubę — to świetnie! Poznam go choć trochę, zapamiętam jego głos! Głos, który można odróżnić spośród miliona innych! — Teraz trzeba jeszcze odnaleźć usta wydające te dźwięki. I ciało, w którym one nabierają kształtu i mocy zahartowanego żelaza!

Głośnik zasyczał:

— Kto ty jesteś?

Patrzcie — jaki pan Muller ciekaw! Czyż nie jest wszechwiedzący? — Brok też nie wie w pełni, kim jest, a gdy się nad tym zastanawia, ból chwyta skronie i zaczyna je miażdżyć jak kleszczami. — A poza tym — wszystko w jakiś sposób wiąże się z żółtym światłem migocącym we snach! — Nie! — Nie

można o tym myśleć! Trzeba wierzyć dokumentom schowanym w portfelu. — Dlatego właśnie musi być duchem błędzącym po Mullerdomie, człowiekiem bez ciała, głosem, który powinien zamordować Wielkiego Ohisvera, żeby odzyskać własną postać!

Głośnik zasyczał po raz drugi:

— Kto ty jesteś?

Detektyw odparł:

— Piotr Brok.

— Piotr Brok?

powtórzył wzgardliwie głos.

— Ja jestem Ohisver Muller!

— Nazwisko nie jest ważne!

Pod nogami detektywa zawirowało czarne jezioro cylindrów. — Twarze zsiniały ze strachu. — Na co sobie pozwala głos rozlegający się nad ich głowami? Kim jest ten Piotr Brok, że nie zależy mu na imieniu Ohisvera Mullera?

Na nazwisku człowieka, do którego należy wszechświat!

Człowieka posiadającego władzę boga!

Czy ten drugi głos ze środka sali jest aż tali silny, by wyśmiewać się z Mullera?

Piotr Brok!

To imię człowieka czy nieznanego boga?

Rzecz znamienita: dwa głosy się spotkały! Egzaminują się i zbierają siły do walki. Wszyscy to przeczuli. — Ale kto zwycięży? Nikt tego nie wie.

— Panie Muller, chcę z panem porozmawiać!

— Piotr Brok niech się zgłosi do bana Araba,  
agenta numer 199!

— Nie potrzebuję agenta! — Pragnę mówić z



Ohisverem Mullerem!

— Co zamierza uczynić głos,  
który chce kupić Mullerdom?

— Panie Muller! — Byłem za zieloną kotarą! —  
Piłem z trującego źródła w sali aksamitnej! Znam  
pańskie drogi prowadzące na gwiazdy. Poznałem  
straszliwą tajemnicę! Towarzystwo  
„WSZECHŚWIAT” to... krematorium! — Ile pan ma  
akcji, panie Ohis Muller?

Wówczas znów inny, o wiele starszy i jakby  
zamyślony głos odpowiedział:

— Piotr Brok niech przyjdzie dziś wieczorem na  
ulicę Alicji Moor, piętro 354, drzwi numer 99!

— A z kim się tam zobaczę?

— Z Ohis Mullerem!

## XXIV

Świątynia Ohisvera Mullera. — Piją wino „wniebowzięcia”. — Piotr Brok znowu bada boga Mullera. — Trzy strzały w dywan...

Kiedy Piotr Brok zdradził już swą obecność przed wszechmogącym Mullerem, nie miał odwagi zejść ze złotej kuli Atlasa. Poczekał, aż sala zaczęła się opróżniać i gasty mlecze kule u sufitu. Nagle — zrobiło się ciemno! Broka otoczył gęsty mrok.

Niedobrze! Jak stąd wyjść? W jaki sposób odnaleźć drzwi? — Kiedy wreszcie wróci do księżniczki, którą zostawił na ulicy Berty Bretard?

Zaczął żałować, że opuścił ją tak lekkomyślnie. — A jeśli właśnie teraz jest w niebezpieczeństwie? Co będzie, gdy nie odnajdzie drogi?...

Detektyw zeskoczył na dywan i pomału zaczął posuwać się do przodu.

Nagle czubkami palców dotknął zimnej płaszczyzny. — Punkt w przestrzeni! — Tak, to jest

ściana, dzięki której odnajdzie światło! Szybko, szybko, naprzód! — Szedł przesuając dłoń po gładkim marmurze.

Wreszcie! — Małe drzwiczki! — Wąziutki korytarzyk i znów drzwi. — Brok otworzył je.

Znalazł się w przedziwnej komnacie.

Kościół, variétés, muzeum, kawiarnia czy panopticum? — Diabeł wie! Na puszystym dywanie poustawiane okrągłe stoliki, a wokół nich głębokie fotele na kółkach wyłożone fioletem. — Sterczały z nich głowy przeróżnych figurek palących papierosy i popijających ze srebrnych kielichów gorący, czerwony płyn. — Szeroki szpaler ognistych kolumn biegł w kierunku podwyższenia w kształcie koła, na którym stał ołtarz zamknięty od góry niebieską kopułą w gwiazdy. Sądząc po symetrycznym ułożeniu elektrycznych lamp, kwiatów i palm — był to ołtarz. — Nad ołtarzem błyszczał obraz w ramach w kształcie elipsy, ułożonej z płonących żarówek. Wymalowany grubas siedział na tronie ubrany w purpurowy płaszcz i koronę, miał wspaniałą siwą brodę rozczesaną na środku. W jednej ręce trzymał kulę ziemską, a w

drugiej niby berło — dom o tysiącu piętrach. Nad głową miał aureolę ze złotych gwiazd.

Był to ten sam grubasek, którego posązek oglądał Brok na giełdzie. Nad obrazem płonął napis ułożony z fioletowych liter

**BOGU MULLEROWI!**

Najbardziej jednak zadziwił Broka widok woskowych figurek przedziwnych świętych i męczenników stojących na małych ołtarzach w bocznych nawach kościoła. Kiwały one głowami, składały ręce, poruszały ustami, wywracały oczy i unosiły do góry jakieś narzędzia.

Na jednym z ołtarzy stała pod szklanym witrażem kobieta z wosku o powabnym uśmiechu. Miała płową perukę i białe szaty. Oddychała regularnie, piersi unosiły się jej i opadały rytmicznie. — Poruszała głową

w śmieszny sposób. Przypominała kukielki księżniczek z ciałem zwisającym bezwładnie i łebkiem kołyszącym się z boku na bok. — U jej stóp klęczała dziewczynka z rękami wyciągniętymi do góry. Jej ramiona unosiły się równocześnie z ruchem głowy woskowej kobiety, a potem opadały w dół.

Brok był bardzo zdziwiony. Najpierw nie wiedział, dlaczego. Potem odgadł. — Coś podobnego widział już kiedyś. Dawno, bardzo dawno... czuł się tak, jakby wrócił na stare miejsce, które oglądał przed laty... Szereg szklanych trumien z woskowymi figurkami zamierzchłych bohaterów, a w nich poruszające się kółeczka mikroskopijnych mechanizmów. Tutaj leży biała księżniczka z rękami skrzyżowanymi na mlecznych piersiach. — Tam oddycha herszt rozbójników — nieco dalej zamordowany cesarz i słynny bandyta...

Gdzie to było? — I kiedy?

Brok kurczowo uchwycił się tego obrazu i poczuł silny ból w głowie! Nie zważając na to zmrużył oczy i jeszcze mocniej wyteżył umysł. . Znow zobaczył żółte światelko pod sufitem . belki stoczone przez robaki i

szarą pryczę, na której coś się kołysze... Precz! — Precz z tym majakiem! — Jestem przecież w kościele poświęconym wszechmogącemu, wszechobecnemu, dwubrodemu bogu Mullerowi. Wokół mnie wierzący rozparci leniwie w fioletowych fotelach popijają z kielichów i oczekują na coś. Znajduje się tu ambona w kształcie lilii. Wielki, nieforemny słup wysuwa z niej tłuste brzuszysko w fioletowej komeżce, na głowie ma szklaną dziesięciopiętrową tiarę ze świecącą żarówką.

Brok dojrzał w pyzatej twarzy poruszające się usta. Zrozumiał, że ktoś przemawia i że należy słuchać.

Kapłan odmawiał modlitwę:

O panie, władco i królu nasz,  
który nosisz imię:  
Ohisver Muller,  
co znaczy „Władca Wszechświata”,  
któryś stworzył największy cud  
godny podziwu  
wszystkich pokoleń,  
Mullerdom —  
most wiodący do nieba...

Panie nasz i królu,  
O hisverze Mullerze,  
coś jest przytomny  
na każdym miejscu,  
zstąp między nas  
i daj świadectwo,  
przeciwko tym wszystkim,  
którzy w ciebie zwątpili!

Ksiądz zakasłał i uniósł oczy do góry, jakby oczekiwał, że zaraz odezwie się głos z nieba. A kiedy przez chwilę trwała absolutna cisza, zaczął dalej odmawiać modlitwę:

Bądź wola twoja,  
jako na ziemi,  
tak i na gwiazdach.  
Wysłuchaj modlitw naszych,  
Wielki Mullerze,  
jedyny i wieczny!  
Patrz, jak pokornie błagamy cię,  
powiedz tylko jedno słowo,

a winem radości zostaną wypełnione  
dusze nasze!

I znów kapłan oczekiwał na głos Mullera, a potem  
modlił się po raz trzeci:

Wszechmogący, wszechobecny,  
wszechwiedzący, Ohis Mullerze,  
Boże wszystkich bogów,  
panie i władco wszystkich gwiazd!  
Z miliona innych wybrałaś  
tę planetę za mieszkanie dla siebie!  
Swe niebo założyłaś wśród nas  
i z naszej ziemi uczyniłaś  
gwiazdę wybraną,  
gwiazdę bożą.  
Panie Ohisverze Mullerze,  
stworzycielu wszechświata,  
racz wysłuchać modlitwy nasze!

— Słyszę!



— odezwał się potężny głos pod kopułą. Kapłan zawył radośnie, zahuczały dzwony, organy i śpiew. Wierni wstali unosząc do góry puchary. Widać było, że jest to stała część nabożeństwa, powtarzająca się co dzień.

Ksiądz ciągnął dalej:

Panie Boże,  
konstruktorze Mullerdomu,  
królu Ziemi,  
władco gwiazd!  
Wszystkie tajemnice wszechświata  
i dusz ludzkich  
rozsypują się  
przed twoim obliczem!  
Ty jesteś największą zagadką  
wszechświata!  
Spoglądasz w nieskończone głębiny  
i uśmiechasz się  
widząc sam siebie!  
Nieskończoność jest twoim  
zwierciadłem!

Spoglądasz w dusze ludzkie i płaczesz,  
boś dojrzał w nich głązy naszych  
grzechów  
i obliczyłeś uderzenia zdradliwych serc..  
Ty, który stworzyłeś  
Mullerdom,  
most do nieba,  
odpuść nam grzechy nasze!

— Odpuszczam!

— odpowiedział głos boga.

Potem odmawiano litanie długie i nudne, w których imię Mullera powtarzało się we wszystkich przypadkach z tysiącom różnych przymiotników.

Kapłan zszedł wreszcie z kazalnicy i przed ołtarzem oświetlonym żarówkami wzywał uporczywie boga Mullera, błagając bez przerwy o jakiś cud.

I wówczas odezwał się Jego głos:

Tę gwiazdę uczyniłem środkiem  
wszechświata,

przybrałem postać człowieka na tysiąc lat. —

Potem znów odejdę na inną planetę,  
by tam zbudować Mullerdom,  
dom o tysiącu pięter. —

Ale wy, co bijecie przede mną czołem,  
wierzyście w cuda i  
pijecie gorące wino  
„wniebowzięcia”

— symbol mojej ludzkiej postaci —  
wy wszyscy po mojej śmierci  
będziecie żyć na gwiazdach  
piękniejszych i lepszych niż wasza ziemia!  
Dla grzeszników, bluźnierców i wrogów  
swoich

przygotowałem męki piekielne  
na dziesięciu światach. —

Wam, moje dzieci,  
uścielę niebieskie gniazdko na gwiazdach,  
na które musicie sobie zasłużyć  
jeszcze za życia.

Dlatego też radzę wam,

nie przywiązuje się do starej ziemi!  
Nie traćcie czasu i rozejrzyjcie się wśród  
gwiazd,  
wybierzcie sobie najrozkosniejsze  
niebo!...

O ludzie malej wiary! —  
Właśnie dlatego do łona ziemi  
włożyłem pierwiastek „Solium”  
I zbudowałem statki  
przecinające wszechświat,  
by przybliżyć wam niebo  
i rzucić gwiazdy do waszych nóg!  
Ci, co wierzą we mnie,  
będą żyć na wieki  
na tej gwieździe, którą  
sami sobie wybiorą.  
Powiadam wam,  
nie żałujcie pieniędzy  
i nie lękajcie się dalekich podróży!  
Powierzcie swoje życie  
towarzystwu podróży na gwiazdy  
„WSZECHŚWIAT”!

— Towarzystwu stręczycieli, handlarzy niewolników i podpalaczy trupów! — Nie wiercie Mullerowi!

To krzyknął Piotr Brok. — Chciał znowu sprowokować fałszywego boga. — Było mu obojętne, czy przemawiał przed chwilą Muller, czy też jakiś agent w jego imieniu. Detektywa zdenerwowała bezwstydną reklamą, którą propagował sfingowany głos boga towarzystwa stręczycieli i handlarzy niewolnikami „Wszechświat”.

Wiernych ogarnęła panika. Błysk grozy uderzył w ich zdętwiałe mózgi i spłynął po piorunochronach nerwów. — Kielichy spadały ze stolików, ludzie przewracali się mdlejąc ze strachu. — Z góry dobiegł głos:

— Pojawił się diabeł, by doświadczać swego Boga

— Nie diabeł i nie bóg — odparł Brok. —

Przyszedł człowiek, by walczyć z drugim człowiekiem!  
Ale jeden z nich jest łotrem i mordercą! — Cały  
Mullerdom to wielkie oszustwo i kłamstwo!

Padł strzał.

Kula zagwizdała Brokowi koło ucha bezwstydnie  
jak ulicznik.

Druga!

Bzyknęła koło nosa. — Ugrzęzła w dywanie tuż  
koło pierwszej.

— Uwaga!

Z góry strzelają!

Głos Broka stał się tarczą dla kogoś, kto  
znajdował się na górze. — Z okienka w kopule nad  
ołtarzem wystawała ręka z rewolwerem!

Może siedzi tam Orsag i patrzy na Broka przez  
swoje soczewki?...

Trzeci strzał! Pocisk wbił się w dywan pomiędzy  
dwie poprzednie dziury.

Brok nie czekał dłużej. Pobiegnął do wyjścia  
zakorkowanego przez miotający się tłum. —  
Wskoczył na ciała zbite w panicznym strachu, po  
grzbietach i czaszkach przebiegł pod sklepieniem

portalu, zjechał po poręczy schodów i pierwszy znalazł się na ulicy.

O dziwo! — Była to ulica Anny Dimer, ta sama, na której wznosił się gmach giełdy ze szklaną kolumnadą. — Brok przypomniał sobie, że z sieni giełdy przedostał się przez mroczny korytarzyk do świątyni Mullera. Na próżno usiłował pojąć, jak to się mogło stać.

Zamiast giełdy ulicę zamykał kościół z reklamą świetlną:

**BOGU MULLEROWI!**

Była to zagadka, której rozwiązanie odłożył Brok na później. Teraz pojawiło się ważniejsze zadanie, wokół którego skupił wszystkie myśli:

Księżniczka! — co się z nią dzieje? — Zostawił ją lekkomyślnie w willi „Tamara”. — Czy nie grozi jej niebezpieczeństwo? —

Oblicze księcia Aczorgena. — Oko Mullera w sypialni księżniczki. — Windą do Gedonii. — I znów żółte światelko.

Kiedy Brok dobiegi do willi księżniczki i zajrzał do wnętrza przez przezroczystą ścianę, zauważył, że wszystkie pokoje zasłonięto jedwabnymi kotarami spływającymi ze złotych gzymsów aż do podłogi. — W pokoju o błękitnych kotarach słychać było dwa ścierające się głosy: kobiecy i męski! — Przez wąską szparę Brok dojrzał księżniczkę siedzącą na niebieskiej sofce — naprzeciw niej. znajdowała się głowa mężczyzny.

Wsunąć się do pokoju, uchylić cichutko szklane drzwi, przecisnąć się przez kotary i stanąć na wprost nieznanego. — Udało się to Brokowi, dzięki jego niewidzialności, szybciej i lepiej, niż sam przypuszczał. — Dostał się do dziewczęcego saloniku.

Twarz, którą ujrział na tle niebieskiej zasłony, była



godna uwagi. Różniła się od wszystkich innych niespotykanymi rysami i zaskakującymi proporcjami. Mogła ją stworzyć tylko przyroda jakiejś innej gwiazdy, mającej inne prawa materii i ciężenia. — Na swój sposób mogła się wydawać piękna, tak jak bywają piękne głowy koni, ale obok ludzkiej twarzy budziła zdziwienie i lęk.

Była niebywale wąska i długa. Uszy sterczały do góry, a nos tworzył z profilu wspaniały luk jak dziób papugi. Wybałuszone żółte oczy w czarne kropki, niby jajka żab, siedziały po obu stronach nosa i nadawały jej żabi wygląd. Między nosem i ustami rozciągała się górna warga, nie wiadomo dlaczego taka długa i goła. Dwa białe koniuszki elegancko ostrzyżonej bródki z pewnością były przyklejone. Postać miała długie ręce zwisające do ziemi i białe ubranie, jak u tenisisty.

— To zależy od pani — powiedział nieznajomy. O wszystkim można jeszcze zapomnieć. Pani ucieczka była śmieszna, a mimo to wzbudziła respekt Mullera..

— W jaki sposób on dowiedział się o ucieczce?

Księżę Aczorgen uśmiechnął się ze współczuciem:

— Czyż nie jest wszechwiedzący? — Myślała

pani, że zdoła uciec przed wzrokiem boga? On tymczasem obserwował panią, śledził każdy krok, tak jak i teraz patrzy na nas z nieba...

Aczorgen z obłudną pobożnością wskazał palcem na sufit. Znajdowało się na nim owalne lustro.

— Czy to jego oko? — przestraszyła się księżniczka.

— Tak. Na wszystkich piętrach i we wszystkich pokojach spogląda ono z sufitu na swój lud w dzień i w nocy...

Księżniczka jęknęła:

— W mojej sypialni jest także lustro na suficie! — To bezwstydné!

— Czy Bóg może być bezwstydný, skoro wszystko widzi? Oczywiście, zagląda również do pani sypialni tak jak do wszystkich pokoi w Mullerdomu! Właśnie dlatego nie trzeba się przed nim rumienić. Przecież zna panią tak dobrze, jak małżonek, chociaż jeszcze pani nie dotykał! — Teraz jednak tego zapragnął! — Zjednała sobie pani jego łaskę! — Chodźmy! Zaprowadzę księżniczkę do niego.

— Nie! — krzyknęła Tamara. Rozejrzała się

spłoszona dookoła, jakby szukała pomocy.

— Pani jest dumna! — powiedział Aczorgen. — Niewiele jest takich kobiet w Mullerdomu! Ale Muller właśnie ich poszukuje! — Nie będzie już pani tańczyć! — Ofiaruje pani całkowitą wolność i prawo poruszania się po wszystkich piętrach! — Zazna pani rozkoszy w rajskiej Gedonii, ale trzeba mu poświęcić jedną noc!

— Wolę śmierć! — powiedziała głucho księżniczka.

— Muller oczekuje właśnie takiej odpowiedzi! — Jeśli ktoś sam pcha mu się w ramiona — odrzuca z miejsca! Kocha walkę, bunt, zdradę nie tylko mężczyzn, ale i kobiet!

— Będzie walczyć, dopóki pani opór nie osłabnie. — A kiedy już panią zdobędzie — najwyżej jedną ulicę nazwie imieniem księżniczki Tamary...

Aczorgen postawił na stole, prosto pod owalnym lustrem, małej kaganek z brązu. Zapalił go i wówczas wyprysnął w górę zielony płomień. W tym samym momencie zwierciadło pokryła szarobłękitna mgiełka.

---

Książę zaśmiał się dziko i wyzywająco:

— Moja mała, kochana Tamaro! — Ohisver Muller oślepl na dziesięć minut! — Możemy robić, co chcemy — teraz nas nie zobaczy... Nie bój się Mullera — jestem z tobą!

— Tylko ja mogę cię wyrwać z jego szponów. — Za jeden pani uśmiech zdradzę swego Boga! — Tamaro — ja cię kocham!

Chciał ją wziąć za ręce, ale księżniczka cofnęła się przestraszona.

Książę posmutniał raptownie. —

— Niech się pani mnie nie boi! — Nic pani nie zrobię... Chciałem tylko pokazać, co potrafię! Muszę wpiery zasłużyć na pani miłość. — Proszę pójść ze mną. Pokażę pani kulisy Mullertonu, cały jego mechanizm, wszystkie cuda i czary niewidzialnego, wszechobecnego i wszechwiedzącego boga. — To wielka tajemnica, którą zna tylko dwoje ludzi. — Muller — i ja! — Pójdzie pani ze mną?

— Niech pani idzie! Będę z panią — szepnął Brok i lekko pogłaskał księżniczkę po rękę.

Ona chwyciła jego dłoń i mocno ją ścisnęła. —

Brok się wyrwał. Monstrualna twarz księcia Aczorgena nie zmieniła wyglądu.

— Pójdzie pani? — spytał błagalnym tonem.

Księżniczka lekliwie rozejrzała się dookoła i powiedziała cicho:

— Pójdę.

---

Kiedy spadali w przepaść w miękko wysłanej windzie, Brok poczuł na powiekach swą dziwną chorobę. — Skoro tylko przymrużył oczy, ujrzał dookoła siebie zupełnie inny świat. — Był on tak potwornie prawdziwy, aż trudno uwierzyć, że to sen. Wrócił obraz przekłętej jaskini. — Ciągłe ta sama żółta lampka. . Szklane oko Mul era zamieniło się w okrągły oczodół zbutwiałej czaszki. Okazało się, że jest to okienko jaskini, przez które wdziera się szalona zamięć śnieżna.. Zamiast tysiąca pięter są tu tylko trzy, ustawione z szarych prycz, na których leżą zwinięte szkielety żywych ludzi. Brody wciśnięte między kolana, usta chuchają na lodowate piersi. — Obraz pojawia się tylko wtedy, gdy przymknąć oczy. Kiedy się je otworzy, znowu jest Mul erdom. Brok spada w

przepaść, siedzi przy boku księżniczki, a po przeciwnej stronie tkwi przedziwna głowa Aczorgena, który zdradził swego Boga!

Jak długo lecimy w dół?

Uwaga!

Tylko nie zamykać oczu!

Sen walczy z tobą, Broku...

Żeby przekonać się, że księżniczka nie jest sennym majakiem, dotknij jej lekko, uśmiechnie się wówczas...

Jedziemy do Gedonii...

## XXVI

Monte Carlo w Gedonii. — Tańcząca baletnica. — „Nie wierzę w wasze gwiazdy...” — Cesarz Marlok, bóg wielkiego słońca. — Księżniczka podwyższa stawkę. — „To będzie na drogę!”

Czerwona sala w kształcie foremnego stożka tonie w powodzi światła. Na środku stoi okrągły stół, a na nim tańczy figurka baletnicy z kości słoniowej. Brok podszedł do stołu i zobaczył gładką, błyszczącą mozaikę ułożoną z kamyków, drewna i metalu. Była to mapa całego świata. — Wiruje na niej baletnica w diamentowych pantofelkach. Stawia się tutaj na kolory państw, królestw i wysp. — Wygrywa ten, na którym kolorze zatrzyma się noga tańczącej baletnicy. Jeśli stanie na morzu, wszystkie stawki zgarnia właściciel lokalu. Im mniejszy kawałek mapy zostanie zakupiony, tym większa jest wygrana.

Tancerka wprawiona w ruch wiruje po ziemi, morzach i wyspach. Coraz mniejszymi spiralami

przecina Ural i kręci się po Syberii. Potem pędzi na południe, mija pustynię Gobi — już się chwieje pada ze zmęczenia na samej granicy wschodnich Indii.

— Srebrnożółty. — Singapore! — Wygrywa  
29...

Wszyscy utkwili oczy w szczupłej żółtej twarzy.

— Gubernator Mandżurii Sza-Ra — rozlegają się szepty. Jemu zaś nie drgnął ani jeden mięsień twarzy. Tylko dwa zielone ogniki skośnych oczu śledzą gorączkowo kupkę złota przesuwaną w jego kierunku.

Baletniczka tańczy na nowo, dźwięczy złoto, rosną sterty mulldorów, potem znów rozsypują się i znikają...

Piotr Brok stoi przy stole i kładzie rękę na wysokiej kupce złota:

— Jeśli zechcę, wszystko będzie moje! Oto ręka, którą można ocenić właściwie dopiero na tle złota! — Więc to tu znajduje się miejsce „Płynnych gór”, o którym wspominał ślepy starzec? — Praca jednego robotnika w ciągu roku daje jednego mulldora! — Zawrotny kurs...

— Jeden mulldor — sześć miliardów lirów! — krzyczy ktoś przez zakratowane okienko w skośnej



ścianie.

KANTOR  
WYMIANY  
PIENIĘDZY

Brok wziął dukata ze stosu złota. — Na jednej jego stronie widniały dwie półkule ziemskie, a na drugiej — gwiazdy!

A cóż to za ludzie z brodami rozczesanymi pośrodku rozrzucają złoto garściami? — W ten sposób sypie się kurem ziarno! —

— Popatrz, księżniczko — zwrócił się Aczorgen do Tamary — nowy król Egiptu, Malkolm Brooks pasza! — A obok, ten jednooki z kołnierzem wyszywanym złotem, to Czingiz-chan La-Marten, zdobywca Afryki. — Do tej pory wszędzie zwyciężał, tylko tutaj przegrywa.. przez baletnicę.. Oto arcybiskup Boga Mullera — Sykstus w fiolecie z trójkątem na piersiach; dawniej był handlarzem koni.

A ten Murzyn? — To kupiec Kajmann. Werbuje w Chinach niewolników do mullertonowskich kopalń. — Rozmawia właśnie z admirałem D'Artois, który wydzierżawił tytuł „Inspektora wszystkich mórz i zarządcy oceanów”... Ten grubas obok niego to esauł Dar-Gust, tymczasowy inspektor okręgu bogaczy. — Może sobie pozwolić na hazardową grę... jest przecież zarządcą mullerowskich skarbów. — Za nim stoi lord Evers, tajny redaktor naczelny wszystkich gazet na starym kontynencie. — A ów pędrak z zieloną brodą? — Ten ma na Marsie towarzystwo żeglugi...

— Nie wierzę w wasze gwiazdy! — krzyknęła księżniczka tak głośno, aż kilka osób spojrzało na nią z przerażeniem.

— Cicho, na Boga! — szepnął groźnie Aczorgen i ścisnął mocno jej rękę. Potem dodał łagodniej:

— Gdyby zielony karzeł usłyszał, byłoby źle...

— Czyż nie wiedzą, że to oszustwo?...

— Cicho, cicho! — Wszyscy wiedzą, ale udają, że wierzą w nie święcie! — Tak chce nasz dobroczyńca! — zawołał głośno i spojrzał tchórzliwie w wypukłą soczewkę na suficie.

Zbliżył się do niego wytworny, bardzo przystojny starzec. Jego łysa czaszka błyszczała od potu tak bardzo, że mógł się w niej przejrzeć kryształowy żyrandol, zawieszony u szczytu stożka.

Ręce obu mężczyzn się złączyły.

— Muller z tobą, cesarzu! — zawołał serdecznie Aczorgen. — Co nowego na pańskim słońcu?

— Dziękuję, księżę — odparł starzec, a zmarszczki na czole powędrowały mu aż do połowy głowy. — Same kłopoty... Byłem tam przed tygodniem. Naprawdę, trudno być sprawiedliwym Bogiem! Doskonale rozumiem wielkiego Mullera, kiedy żali się na swe stanowisko...

— Księżniczka Tamara — przedstawił ją Aczorgen — Cesarz Marlok, bóg wielkiego słońca „A III”.

— Słyszałem już o pani, księżniczko... — uśmiechnęła się łysa czaszka. — Była pani podobno aż na „ZB 1” w układzie „KARŁÓW”.

Księżniczka chciała już zaprotestować, ale Aczorgen jeszcze raz ścisnął jej rękę i wtrącił pośpiesznie:

— Tak, chciała mieć małą, żywą lalkę. Postanowiła przywieźć sobie zabawkę do dzieciennego pokoju. — To jeszcze dziecko, cesarzu.. Dopisuje panu szczęście w grze? — zapytał, by zmienić temat rozmowy.

— Stawiam na czarny kolor Hindustanu — odpowiedziała goła czaszka. — Raz wygrałem i wystarczy mi to jeszcze na 468 pudeł. Moja ziemia jest bardzo mała, książę.

— Chce pani zagrać? — spytał Aczorgen Tamarę.

— Postawię — uśmiechnęła się jak we śnie — postawię na państwo morawskie. Leży ono nad Bałtykiem, panuje tam mój ojciec staruszek...

— Nie radzę — zauważył książę. — Proszę popatrzeć, jak wygląda to państwo na skorupie świata. Jak komar na ciele mamuta..

— Postawię jednak na królestwo, które straciłam.. Może odzyskam swój utracony sen...

— Jeśli pani wygra — uśmiechnął się Aczorgen — do sterty złota, którą pani zgarnie, dorzucę jeszcze wyjazd na Morawy!

— Naprawdę się tam dostanę? — spytała naiwnie składając ręce.

— Oczywiście! Sam odwiozę panią na swej jaskółce — szepnął jej do ucha książę.

Tamara postawiła na czerwoną, ledwie dostrzegalną kropkę, nie opłaconą przez nikogo. Wygrana byłaby zawrotna.

Baletnica zaczęła tańczyć. Ruszyła z Wyspy Pychy, będącej centrum świata. Odprowadzana roziskrzonymi oczami graczy, dotykała diamentowymi pantofelkami ziemi i morza. Pędziła przez błękit oceanu, potem balansowała na szarych polach Bałkanu, mijając góry i rzeki zmiierzając na północ; nikt jednak nie widział ręki, która nią kierowała.. Teraz właśnie kurcz ścisnął jej nogi, zwiastując szybki koniec tańca. — Jeszcze kilka pijackich zygzaków i baletniczka przewraca się, dotykając pantofelkiem czerwonej kropki na wybrzeżach Bałtyku.

Postarał się o to Piotr Brok.

Księżniczka, odprowadzana zdziwionymi oczami zebranych, zgarnęła rzekę złota.

— To będzie na drogę — cieszy się Tamara, a

Aczorgen tymczasem wymienia w kasie złoto na parę ziarenek „Solium”. Chowa je do sakiewki. Potem spiesznie ciągnie Tamarę do drzwi.

Następna sala. Przypomina sześcioramienną gwiazdę, której promienie wydłuża głębia luster. Błat stołu umieszczonego pośrodku pokoju ma również sześć ramion i tańczy na nim biała baletnica.

Brok przygląda się. To już nie mapa świata, ale czarne niebo usiane gwiazdami. Tutaj gra się o gwiazdy. Broka bardzo ciekawi, na czym polega gra, ale nie ma czasu na jej poznanie. Książę Aczorgen mija szybko salę wlokąc za sobą Tamarę.

## XXVII

Miejsce miłych snów. — Rozkosze sześciu zmysłów. — Mieszkańcy nieba zaniepokojeni... — Odgryziony palec.

Weszli do nowej komnaty, tak samo zaskakującej, jak wszystkie inne, przypominającej sypialnię, w której urządzono atelier filmowe.

Na sofach astrachańskich leżeli jacyś ludzie pogrążeni w kamiennym śnie. Oczy wylazły im z orbit. Źrenice rozszerzały się jak kleksy na bibule. Nad nimi stały w rozkroku aparaty ze szpulami taśmy filmowej i soczewkami wycelowanymi prosto w oczy śpiących.

— To jest miejsce „miłych snów” — wyjaśnił Aczorgen. — Proszki nasenne przemycane przez szarlatanów z West-Westeru mają cudowną właściwość refleksji oczu. — Egzotyczne i niebywale piękne obrazy, powstające w odurzonych mózgach, odbijają się w źrenicach śpiących. — Towarzystwo filmowe „SNOFILM” opłaca tych biedaków

zidiociałych po trosze od nadmiaru środków nasennych. Filmy nakręcone z ich oczu wyświetla się potem w Gedonii na jedwabnych ekranach kin.

Aczorgen nachylił się poufnie do księżniczki:

— Pokażę pani film nakręcony z oczu pewnego pijaka (używa tylko proszków „FOKA”). Co za niezwykła fantazja o miłości! — Tylko pani zdradzę tajemnicę, że Muller kupuje trójwymiarowe, kolorowe filmy, by wybierającym się w podróż zaprezentować życie na zmyślonych gwiazdach...

Zatrzymali się na progu wielkiej hali tak oślepiająco jasnej, że Brok przez moment nic nie widział. — Kiedy wreszcie odzyskał wzrok, wiele wrażeń równocześnie wryło mu się w mózg.

Po pierwsze: z sufitu sypią się róże. Właściwie to nie róże, tylko różowy śnieg, spadający na kolorowe barykady i bunkry zbudowane z gumowych poduszek ułożonych w sterty.

Usłyszał słodką i stłumioną melodię dobiegającą jakby zza ściany i urzekającą swą sztuczną oddaje To grały skrzypce na szczycie wysokiej góry lub wiolonczela na dnie przepaści...



Wysunął rękę, by schwycić różowe płatki wyrzucane przez kryształową fontannę na środku sali. Poczł mroźne ukłucie, w którym kryła się rozkosz ognia podczas trzaskającego mrozu i chłodu w skwarny upał. Śnieg położony na języku wywoływał męczarnie nieugaszonego pragnienia, a równocześnie zaspokajał to uczucie..

Wszędzie widać było ciała mężczyzn i kobiet zanurzonych leniwie w poduszki. Sznury pereł i frędzle na biodrach są ich jedynym ubraniem. Wysuniętymi wargami chwytają różowe płatki, prężąc przy tym swe plecy, brzuchy i członki. Nagie niewolnice roznoszą w wielkich misach rajskie owoce i przysmaki. Karmią leżących winogronami, wsuwają im w rozchylone wargi zapalone papierosy i wyjmują je po chwili. Ręce tych leniuchów przesuwają się po ciałach kobiet, by i w ten sposób zaznać rozkoszy, której użycza marny zmysł dotyku.

Mężczyźni wbili oczy w sufit. Cóż tam ciekawego? Zamiast stropu widać szklaną płytę, na której tańczą nagie kobiety i mężczyźni. — Ciała unoszą się i opadają w rytm muzyki, ręce w powietrzu

wykonyują pewne ruchy wyrażające namiętność i miłość, nogi rozwierają się, tworzą linię prostą, jak gdyby tańczący byli bez kości.

— Są to rozkosze szczęścia zmysłów — wyjaśnił Aczorgen księżniczce, która zakrywała oczy dłońmi.

— Niech pani spróbuje — to śnieg miłości z gwiazdy „ANDRADIA”. Proszę tylko wysunąć czubek języka, a wówczas przebaczy pani tym, którzy korzą się przed boginią Andradią.

Chwyił księżniczkę za łokieć i przytrzymał jej rękę pod śnieżnym prysznicem wyrzucanym przez fontannę. Księżniczka wzdrygnęła się i wsunęła twarz pod różowy natrysk. Przymknęła rozkosznie oczy i rozchyliła usta. Aczorgen uśmiechnął się zwycięsko.

— Proszę spojrzeć w górę, dziecino! — Tam miała pani tańczyć. Twoje biodra byłyby rozrywką dla tych impotentów! Teraz sama możesz zaznać rozkoszy. Pokażę pani jeszcze inne, o wiele ciekawsze sale. Jesteśmy dopiero na progu nieba!

Aczorgen objął księżniczkę i przycisnął ją do siebie. Nie broniła się. Gdyby Brok w tym momencie spojrział jej w twarz, zobaczyłby sennie przymknięte

powieki, namiętnie rozszerzone nozdrza i usta chwytające chciwie różowe płatki.—

Brok nie zauważył tego. — Wśród przysypanych śniegiem postaci rozpoznał maskę fałszywego poczciwca, admirała w czarnych okularach. Starzec podniósł ręce do góry, przeciągał się rozkosznie, zagrzebany do pasa w śnieżnej zadymce; na jego nagich piersiach kołysała się srebrna gwiazda. Brokowi zależało na tym, by usłyszeć, o czym mówił z innymi brodatymi nagusami, którzy otaczali go leżąc na wznak z oczami utkwionymi leniwie w suficie. Co chwila zgarniali z siebie warstwy śniegu.

— Wierzy pan w cuda, admirale?

— Bujda!

— W jaki sposób wyjaśnić więc to, co się teraz dzieje w Mullerdomu?

— Nasz wielki Muller ma potężnych wrogów! Może być z nich dumny...

— Do tej pory niszczył wszystkich, co mu weszli w drogę!

— Dziś niebezpieczeństwo przyszło z innej strony...

— Myśli pan, że z góry, signore?

— Tymczasem na górze widzimy same rozkoszne rzeczy... ewolucję delikatnych nóżek, falowanie wzburzonych piersi...

— Popatrz, kardynale, tamte wspaniałe nogi rozpoznałbym wśród miliona innych!

— Sula Maj... nauczyła się wreszcie tańczyć..

— A te dziewicze łydki...

— Dziewicze? — Hehehehe! Jeszcze ich pan nie całował?

— Muller nie boi się nawet diabła..

— Nie wątpię! Musi jednak zobaczyć swego wroga, by móc go zniszczyć.

— Uwaga! — Teraz Anna Martonówna wykona ewolucję słoneczną!

— Rewolucja niewolników przybliżyła się o pięćdziesiąt pięter!

— Codziennie jedno piętro.

— Więc jeszcze dwa lata dzielą ich od nieba!

Witko z Witkowie podobno oszalał..

— Nie. — Został zamordowany!

— Otruty!...

— Słyszałem, że w ciągu nocy zestarzał się o pięćdziesiąt lat!

— Uwaga! — Kaja Bararadowa tańczy na mapie świata baletową ruletę!

— Wydałem już sześćdziesiąt tysięcy... Sto razy stawiałem na Syrię — i nie wyszło!

— Admirale, może pan powiedzieć, kto to się odważył?...

— Słyszać było czyjś głos.

— Ale gdzie jest ciało?... Ciało, z którego trysnęłaby krew... które można by powalić na ziemię...

— Człowiek bez ciała!

— Niemożliwe!

— To jest Bóg!

— To siła!

— Głos zza grobu!

— Usta wszechświata!

— Wróg gwiazd!

— To nie jest metafizyka, sir! Niebezpieczeństwo o wiele gorsze od wszystkich sił i głosów z gwiazd i wnętrzości ziemi. To jest człowiek!

— Człowiek! Słyszycie — człowiek!

— Nie jeden, ale grupa ludzi, którzy wdarli się pomiędzy nas, poczciwych poddanych Mullera. Razem z nami kłaniają się i czczą wielkiego boga, mają legitymacje naszych klubów i wystarczającą ilość złota, by poznać wszystkie tajemnice Mullerdomu! — Tak, gentlemen, między nami są zdrajcy!

— A bójka w hotelu „ELDORADO”?

— A bezczelne wystąpienie w świątyni Mullera?

— A konfrontacja głosów na giełdzie?

— W „ELDORADO” padły strzały!

— W kościele też!

— „WSZECHŚWIAT” został zdemaskowany!

— Akcje „WSZECHŚWIATA” spadły z czterystu do zera!

— Mam ich setkę!

— Jeśli my nie zniszczymy tej nieznaney siły, to wówczas ona nas zgębi.

— Po co popadać w panikę? — Z nami jest Muller!

— I razem z nami zginie!

— Pssst!

— Panowie, wiem, jak się nazywa owa

koszmarna energia, która może nas zgubić!

— Jak???

— Piotr Brok!

— Właśnie tak odpowiedział, kiedy Wielki Muller spytał na giełdzie, z kim ma przyjemność.

— Podobno dziś mają się spotkać na ulicy Anny Moor, pod numerem 99!

— Muller i Brok!

— 99 to sala wklęsłych lustek!

— Podłoga z elektryczną zapadnią!

— Tam właśnie oszalał Verner, przywódca pierwszego powstania..

— Tam zginął zbuntowany redaktor „GÓRNYCH PIĘTER”!

— Z niej nie wyszedł już zdrajca Olim!

— A jeśli ów głos nie stawi się w sali 99?

— Przyjdzie!

— A jeśli nie trafi?

— Co znowu? Przecież jest wszędzie!

— Więc on jest wszechobecny?

— Tak jak Muller!

— To drugi Bóg!

— Pewnie i tutaj się znajduje. Jest wśród nas!

— Spróbujcie, zawołajcie go! Na pewno się odezwie!

— Nie! Nie trzeba! Po co niepokoić diabła?

— Muller czuwa nad nami. Czego się boicie?

— Teraz tańczy Dora O'Brien, najpiękniejsza kobieta Paryża!

— Tchorze! Idioci! Ja go zawołam!

— Cicho! — Do wszystkich diabłów, cicho!

— PIOTRZE BROKU!

— Zamknij się!

— Piotrze Broku! — Jeśli jesteś tutaj, stary strachu na wróble, potworze nieudany, pokaż nam się!

— Milcz! Milcz!

— Uwierzę w ciebie, gdy zrobisz cud!

— Dostyc!

— Piotrze Broku! — Ja jestem bankier Salmon, a oto moja ręka. Jeśli jesteś silny (bankier podniósł do góry rękę), odgryź mi środkowy palec!

Nagle Salmon ryknął nieludzko. — Krótki, ostry ból przerywanego nerwu. — Krew — i biały, krwawiący palec z grubym czarnym pierścieniem leży



na talerzu z fioletową sałatką z jadalnych hiacyntów.

Groza zabarwiła wszystkie twarze.

Błede policzki poczerwieniały, czerwone zsiniały, sine zaś pokryły się fioletem.

Brok nie zwracał uwagi na to, jak zachowuje się lubieżna hołota pod przezroczystą płytą. — W zamieszaniu, które wybuchło wśród wyznawców bogini Andradii, ujrzał Tamarę w ramionach Aczorgena, unoszoną w innym kierunku niż tam, dokąd uciekał tłum mieszkańców nieba.

Pognał za Aczorgenem.

Oni zniknęli właśnie za ciężką koralową draperią zawieszoną w rogu komnaty. Brok rozsunał frędzle i stanął przed czarnymi drzwiami.

Gdy je otworzył, nic nie widział na krok od siebie.

## XXVIII

Biała mgła. — Zapachy i wspomnienia. — Znow ta sama lampka. — „To jest moja przeszłość!”

Mleczna mgła o opalowym odcieniu zagroziła mu drogę. Brok cofnął się, przetarł oczy i zamachał w powietrzu rękami.

O trzy kroki przed nim rozplynęły się dwie sylwetki: biała i czarna. Brok zagłębił się w mgłę z wyciągniętymi przed siebie ramionami. — Macał bez skutku. Mrok oślepił go. — Cisza ogłuszyła.

Biegł w kierunku, gdzie zniknęła księżniczka. Wołał i machał rękami jak połamanymi skrzydłami. Mgła zaczęła go dławić, a w uszach zadźwięczała dziwna melodia. Nie, to nie jest piosenka mgły! — Tak tętni krew!

Z każdym krokiem wzrastał jego niepokój. Ciało wzbierało się iść naprzeciw pułapkom czyhającym w białych oparach. To straszne. Stale posuwał się naprzód w jednym kierunku, długo, bardzo długo, i nie

mógł doczekać się końca wędrówki...

Zatrzymał się nagle. Bał się iść naprzód i wracać! — Ugrzał... Sterczał wśród białej mgły, opuszczony przez ludzi i przedmioty, rozplynał się w oparach, które nie mają kresu. Przepadł. Czuje, że znika powoli... Pochłania go mleczny całun, przenika do środka, wypełnia wnętrze.. Będzie tu leżał długo i kiedyś, gdy rozwieje się biała mgła, przyjdą ludzie i podepcą jego niewidzialne ciało...

Nie mógł iść dalej. Nogi zamieniły mu się w ciężką mgłę. Upadł i rozplakał się.

Raptem pociągnął nosem. Nozdrza podrażnił jakiś dziwny zapach — bardzo ostry, aż do omdlenia. Wdzierał się do mózgu jak alkohol. Usypiał po trosze i drażnił, wywoływał przed oczami niespotykane obrazy. — Co to tak pięknie pachnie? — Skoszona łąka na skraju lasu. — Woń z małych snopków siana unosi się ku słońcu jak dym z ołtarzy ofiarnych. Ja też leżę na tej łące, pod głową siano i we włosach siano, obsypały mnie zwiędłe kwiaty górskie. — To jest macierzanka, szałwia, rumianek.

Kiedy otworzę oczy, widzę mgłę gęstą jak

śmietana. Przypominam sobie: księżniczka uciekła, gdzieś we wszechświecie gra muzyka... Skąd się bierze ten zapach i co on oznacza? Czy to czarowna melodia woni, która usypia i szarpie mocniej niż motyw nieszczęśliwej miłości wygrywany na wiolonczeli i na skrzypcach w oddali? — — —

Czuję zapach lasu, mchu i igliwia, jagód i żywicy. — Widzę studzienkę wśród zielonych paproci. Przychodzą pić z niej ptaki leśne, sarny i kłusownicy...

Teraz nawet opary lasu rozplynęły się we mgle. Nowy zapach nadciąga jak wiatr, co się zrywa i wali w żagle. Chłodna woń morza, soli i rybich łusek. Woń topniejącego lodowca, co pływa po oceanie. Tajemniczy zapach z wyspy nieznannej, koło której przepłynął nasz okręt. Są na niej ludzie, czuję bowiem odór krwi i płonących ognisk. — On także wygasa.

I znów nowy zapach, który odnawia jakiś dawno zapomniany sen. Żar rozpalonej kuchni, smakowite wonie zwiastujące porę obiadu. — Nagle słup powietrza wdiera się przez gwałtownie otwarte drzwi. Słyszać czyjś głos: wojna! I znów wszystko znika bezpowrotnie.

A teraz? — Teraz kwitnie konwalia — nie, to nie jest konwalia, ale perfumy, którymi dziewczyna skropiła sobie piersi. Nachyla się nade mną, a ja wącham jej włosy, by rozpoznać nowy zapach!

W tej chwili pachnie noc. — I księżyc. O Boże, to chyba rozstanie... Zielona woń jeziora — nie, to są łzy! Płacze ukochana..

Zapachy szybko się zmieniają.

Dym zmęczonej lokomotywy i sadze.

Odór z otwartych wagonów transportu — sześć koni, trzydziestu mężczyzn...

Zabójcza atmosfera brudu, wódki, śmierdzących nóg i rozpaczy.

Tęsknota.

Świeżo rozkopana ziemia.

Proch.

Wygasające zgliszcza.

Krew.

Zgnilizna odpadków, konserw, ran podchodzących materia, zapach karbolu, rozgniecionych pluskiew, rozkładającego się mięsa i odmrożeń, gnijących pod starymi opatrunkami.

Latryny...

Zapach żółtej lampki naftowej pod sufitem..

Piotr Brok zerwał się na równe nogi. — To jest moja przeszłość! Wspomnienia, które utraciłem! Szybko! Uciekać! — Wyciągnął ręce. — Pustka! — Biała mgła. — Biała księżniczka —

Nie ma żadnej przeszłości oprócz Mullerdomu.

Brok zebrał siły; uciekał i uciekał —

Nagle — wyciągniętą ręką dotknął miękkiego jedwabiu kotary. Rozsunął materię i — osłupiał.

## XXIX

O gwieździe Aczorgenterramolistergen. — Księżniczka Tamara szykuje się do odwzajemnienia miłości Aczorgena. — „Łóżko dla nas jest już przygotowane!” — Piotr Brok jeszcze raz wykorzystuje swą niewidzialność.

Znalazł się na progu niebieskiego pokoiku księżniczki. Okrągłe oko Mullera umieszczone na suficie zasłania jeszcze sina mgielka. Kaganek już dawno zgasł. Na niebieskiej sofie siedzi Tamara. Ma suknię w tym samym kolorze, co kotary w saloniku. Pali papierosa i bawi się dużym kielichem wina. Z ust jej tryska wesoły, agresywny śmiech. Ogieniek papierosa zatacza w powietrzu śmiałe koła. — Kryształowy kielich i jej usta stały się nieodłącznymi towarzyszami.

Broka zmroził widok niebywale długiego ramienia Aczorgena opasującego delikatne biodra księżniczki! Tamara śmieje się beztrosko i spogląda wyzywająco

w sufit! Ręka Aczorgena wydłuża się i posuwa zdecydowanie jak gad duszący swą ofiarę. Ustami dotyka jej włosów i szepce:

— Moja biała gwiazdko, dzwoneczku srebrny, napij się jeszcze. To jest wino z lodowca z mojej planety rodzinnej. — Teraz wiesz już wszystko... Pochodzę z Aczorgenterramolistergeny. Zapamiętaj tę nazwę, musisz ją pamiętać, proszę o to! A może nie wierzysz?

— Wierzę..

— Nie wątpisz już w istnienie gwiazd?

— Wierzę we wszystko, co ty mówisz!

— Na dnie kielicha jest obraz mojej planety. — Zobaczysz ją zawsze, kiedy go opróżnisz. — Wypij!

Księżniczka posłusznie wychyliła kieliszek i roześmiała się głośno.

— Dostyc tych chichotów! Pohamuj się trochę! Dziecko drogie, będę cię kochał tak, jak na Aczorgenterramolistergenie. Nauczę cię nowej miłości, a ty pokażesz mi swoją...

Ręka opasująca Tamarę niby wąż pełza po piersiach i sunie do góry, ku szyi.



— Chcesz?

— Chcę!

— Daj mi rękę, niech ją ucałuję.. Będiesz cierpiała z mego powodu, ale miłość cię uzdrowi. Uodporni. Kochasz mnie, moja ziemską samiczko, kochasz naprawdę?

Księżniczka opiera przymilnie głowę na jego ramieniu. Kuli się w objęciach silnych rąk.

— Pocałuj mnie, Tamaro! Tak się przecież zaczyna miłość na waszej planecie?

Chwyciła go za szyję.

Brok zakrył twarz dłońmi i odwrócił się przerażony. — Czyż to możliwe? — Tamara, jego księżniczka zaklęta w wieży Babel, czekająca na swe wyzwolenie, całuje teraz bezwstydnie jakiegoś potwora!

— Miły, łóżko dla nas jest już przygotowane!

Księżniczka wstaje...

No cóż, on jest księciem, a ja — kim jestem? — Niczym, niewidzialnym zerem! — Właśnie po to wdarłem się do Mullerdomu i przybrałem inną postać, by ją odszukać, czuwać nad nią i wyzwolić z niewoli.

Czyż nie powiedziałem, że będę ją bronić? Czują przecież dotyk mojej ręki, a jej zagadkowe uśmiechy były odpowiedzią na moje słowa!

Zdrajczyń!

Bezwstydna!

Zgasł mój jedyny jasny promyk w Mullerdomu. — Czy mogłem liczyć na jej miłość? Jakże miała mnie kochać, kiedy jestem niewidzialny?...

Uciekać! Uciekać stąd!

Ostatnie spojrzenie pożegnalne. — Tamara z łokciami uniesionymi do góry stoi przed lustrem niby krucha waza z alabastru. Śmieje się głośno.

Ojej, a gdzie są oczy księżniczki? — Przykryły je ciężkie powieki. Usta się śmieją, ale oczy śpią...

Dopiero teraz Brok poznał całą prawdę.

Hipnoza!

Zobaczył żabie oczy Aczorgena utkwione w odbiciu księżniczki w lustrze. —

Wyczerpała się cierpliwość Piotra Broka. Podbiegł do Aczorgena i uderzył go pięścią w górną wargę. Potwór zwałił się miękko. Brok podarł najbliższą zasłonę, zwinął z niej linkę i związał

Aczorgenowi ręce i nogi. Potem kawałek materiału wepchnął mu w usta i wrzucił księcia pod łożko. Obejrzał się na księżniczkę, chciał zobaczyć, jakie to na niej zrobiło wrażenie.

Tamara nic nie zauważyła. Bezmyślnie spełniała wolę oczu hipnotyzera, który leżał bezwładnie pod łożkiem. Koniuszkami palców majstrowała w załamkach jedwabnej sukni, jakby odmykała tajemnicze furtki w białych chmurach. Księżniczka się rozbierała... Brok chciał krzyknąć, przestrzec ją i obudzić. Wtem—

### XXX

Tamara kokietuje samotność. — Tylko źródelka brakuje... Uwaga, Piotrze Broku, księżniczka też ma ręce...

Ujrzał jej oczy utkwione w lustrze. Oglądała w nim swe niezwykle przebudzenie i załęknioną twarz. Jakiś ciężki, trudny do przypomnienia sen tłukł się jej po głowie. Rozejrzała się spłoszona przecierając oczy. Sen zniknął w momencie, gdy chciała go schwycić w garść. — Różowe poduszki pod niebieskim baldachimem zapraszają do łóżka. Brok śledzi z napięciem, jak Tamara powoli i automatycznie zdejmuje suknię. Księżniczka myśli, że w pokoju nie ma żywej duszy oprócz niej i lustra.

Co robić? Co robić? — Nie, teraz już nie mogę zdradzić swej obecności. Za późno!... Będę czuwał nad nią. — Nie domyśla się nawet, że pod łóżkiem leży Aczorgen z zakneblowanymi ustami. A gdyby tak oprzytomniał i zerwał pęta?

Muszę więc zostać na straży!

Brok wcisnął się w kącik pokoju, opanował przyspieszone bicie serca i wstrzymał oddech. — Raptem zjawiała się pewna myśl, od której aż mu pociemniało w oczach!

Różowa wstążka przytrzymuje koronki, osłania słodką obietnicę ukrywaną pod nocną koszulką. Precz! Niech zniknie ten obraz! — Zbliżyć się tylko do jej ust. — Co za szczęście! —

Włosy, usta, nos, oczy — jaki wspaniały kwiat rozwinął się na białej szyi, ma cudną barwę i śliczny zapach! — Twarz to najpiękniejsza część ciała kobiety, przyciąga i kokietuje swymi oczami!... Teraz właśnie uśmiecha się i jest jeszcze piękniejsza, bo pojawiła się na niej nowa, ukryta wewnątrz kwiatu barwa śniegu, mleka i porcelany!

Dwa pantofelki kołyszą się na czubkach palców — już spadły — — Zanim Brok zdążył się zorientować, co zaszło, błysnęły białe kolana i uda; pończochy niczym porzucona skóra węża upadły na podłogę. Zwierciadło odbijało z zażenowaniem jej sylwetkę, ręce i piersi wydobywające się zza białej

koronki.

Brok z zapartym tchem obserwuje zgłodniałymi oczami tę czarownicę grę. Tamara w swej samotni kuli się, a potem przeciąga z leniwym uśmiechem. Zachowuje się tak, jakby zmęczona długim udawaniem odrzuciła maskę. Odpoczywa teraz rozkoszując się na nowo odnalezioną własną twarzą!

Stoi w króciutkiej koszulce. Bierze do ręki swą małą pierś i całuje jej brodawkę.

— To jest chłopczyk... — mówi do lustra z uśmiechem.

Potem całuje drugą:

— A to dziewczynka! Nic bój się, chłopcze, kocham was jednakowo...

Pieszczotliwe słówka trzepocą w powietrzu jak motyle i znów wracają do niej.

— Jestem księżniczką... nie jestem księżniczką... — szepcą uchylone wargi. Słowa odbijają się od zimnego zwierciadła lub przylepiają do niego jak mglisty welon. Tamara ściera dłonią tę rosę i spogląda z bliska na swoje odbicie. Dwie pary oczu patrzą ze zdumieniem, jakby ujrzały się po raz pierwszy.

Cierpliwość Piotra Broka buntuje się i rwie, namiętność rozgrzewa krew i ściska wewnętrznosci. Niepokój dławi gardło. — W jaki sposób dać znać księżniczce o swej obecności? — Jak wyrazić swą tęsknotę i miłość?... Powiem jedno słowo i pryśnie czarowny sen. — Objąć ją rękami? Kiedy ją dotknę, nie drgnie nawet, albo poruszy ręką, jakby chciała spłoszyć łaskoczącą muchę. A potem? Zaniepokoi się, zléknie i będzie krzyczeć!

Brok przygotował sobie tysiące słów, którymi chciał ją omotać, zasypać i przebłagać. — A jednak, czyż te zapewnienia o miłości będą miały jakąś wartość, skoro księżniczka nie znajdzie oczu, w które można patrzeć, i ciała, które można poznać wszystkimi zmysłami? —

Uwaga! Księżniczka podchodzi do łóżka, podnosi kołdrę, uderza dłonią w poduszkę i kładzie się zmęczona nieprzytomnie. Białe ręce wsuwa pod głowę. Błądzi oczami po suficie — jednak myśli są bardziej natrętne niż złote gwiazdki wyhaftowane na niebieskim baldachimie. — Błądzą po głowie i nie pozwalają zamknąć powiek. Czoło pęcznieje pod ich

ciężarem, wydyma się i marszczy. Tylko usta leżą bez ruchu jak krwawe serduszko.

Brok na palcach zbliża się do łóżka jak złodziej. Za chwilę musi się coś stać — ale co?

Pochyliła się nad Tamarą. Ona patrzy na niego wielkimi, nieruchomymi oczami i nic nie widzi. Przestrzec między ich ustami maleje powoli. Jeszcze chwila, a jego wargi przylgną do jej uchylonych ust.

O dziwo! — Księżniczka nawet nie drgnęła. Oczy jej oprzytomniały, jak gdyby wróciły nagle z dalekiej wędrówki. Wargi wydeły się niby czerwona różyczka. Tym razem Brok błyskawicznie uskoczył przed jej wyciągniętymi ramionami. Kiedy niebezpieczeństwo minęło i ręce opadły smutnie na koldrę, odważył się na nową agresję. Przycisnął wargi do jej szyi, potem przesunął usta po różowych pagórkach piersi; całował brodawki, wreszcie ocknął się na dnie tajemniczej kotlinki między dwoma wzniesieniami, rzucającymi aksamitne cienie. Brakuje tu tylko źródelka i niezapominajek.. Chciałbym tu być przez całe życie... Usypiać cichutko na owej różowej pierzynie...

Księżniczka leży bez ruchu. Boi się oddychać,



gdyby jeszcze mogła zatrzymać bijące serce, żeby nie spłoszyło owego dziwnego snu. — Odwiedził ją jakiś miody i silny bóg. Czuje jego usta i ręce, które błędzą po ciele poddającym się pieścizotom. Wszystkie drogi, niezależnie od tego, czy biegną prościutko, czy też podstępnyimi zakosami, zawsze prowadzą do centrum życia. Ręka Broka błędzi lękliwie dookoła tego miejsca, jakby bała się końca wędrówki. Zbliża się i znów oddala, sunie w inne rejony i wraca po chwili...

Ale księżniczka też ma ręce, nie możesz o tym zapominać, Piotrze Broku. Teraz już nie uciekniesz przed nimi! Tu znajdują się twoje włosy, twarz — do niej jeszcze powrócimy — a oto ręce, które czuje na swoim ciele. Ręce można schwycić tylko rękami — —

## XXXI

Piotr Brok kłamie. — „...Jeszcze nie mam twarzy...” — Muller przypomina o 354 piętrze. — „...Czekam na ciebie...”

Ich ręce się złączyły, usta przywarły do siebie.

— Kto ty jesteś? — szepnęła księżniczka.

Brok milczy.

— Odpowiedz, czy jesteś bogiem, który mnie broni?

— Bogiem — powtarza przestraszony detektyw. Bardzo się lęka o swoją ofiarę.

— Jakim bogiem? — pyta księżniczka.

— Dobrym — rzuca krótko i w tym momencie wydaje mu się, że znalazł najbardziej trafną odpowiedź.

— Wiem, że dobrym — księżniczka na moment oderwała wargi od jego ust. — Jesteś młody?

— Tak... — odparł Brok. Do tej pory nie myślał o tym, ale nadszedł właśnie moment próby. Teraz mógł

się przekonać. Już dawno czuł się młody, ale jeśli dziś zwycięży, nabierze pewności we własne siły.

— Młody... — powtórzyła Tamara — a czy ładny?

— Nie wiem — przyznał się Brok.

Opuszki palców Tamary przebiegły mu po twarzy. Najpierw odkryły nos, potem usta i oczy. . ale w jaki sposób rozpoznać młodość i urodę? — Gdyby była niewidoma, chyba prędzej odtworzyłaby jego rysy twarzy.

— Chcę cię zobaczyć! Pokaż mi swoją twarz — nalegała.

— Jeszcze nie mam twarzy. — Przyszedłem, by porozmawiać z Mullerem..

— Cicho! Cicho! — szepnęła bojaźliwie Tamara i zakryła mu usta.

— Czego się boisz, mała?...

— On wszystko słyszy! Jego oko jest jeszcze ślepe, ale uszy podsłuchują przez każdą szparę!

— Niech słucha! Jestem tu po to, żeby cię strzec!

Uśmiechnęła się jeszcze do swoich wspomnień.

— Po raz pierwszy zjawileś się przy mnie w Sali aksamitnej, kiedy mdlałam. — Czuję jeszcze ten gaz, co syczał w cynowej rurze. Nieznośne światło zabarwiało na fioletowo ręce wyciągnięte błagalnie i twarze wykrzywione z przerażenia, a na podłodze leżały ciała kobiet... Kiedy się przewracałam, poczułam, że ktoś chwycił mnie na ręce i uniósł do nieba.

To ty byłeś...

Potem stałam pod ścianą wśród szlochu nieszczęśliwych uchodźców. — — Powiedziałeś wówczas: „To ja!” A co się stało z tymi, którzy zostali w sali?

— W wielkim piecu ludzkie ręce, serca, usta i oczy zamieniały się w kupkę szarego popiołu. Potem wiatr z któregoś piętra Mullerdomu roznosi ten popiół po świście. — Z kości podobno robi się puder...

— Jestem szczęśliwa! Chciałam uciekać na gwiazdę... — szepce księżniczka, a oczy jej utraciły nagle swój blask. — Najpierw myślałam, że przyszedłeś do mnie z Gwiazdy Łabędzia. Kiedy byłam jeszcze u swego ojca, na Morawach,

dostawałam z niej sekretne liściki... Nie ma żadnej Gwiazdy Łabędzia... Nie ma konstelacji Karłów...

— To kłamstwo! Cały Mullerdom od fundamentów aż po dach to jedno straszliwe oszustwo! Międzynarodowi handlarze niewolników i podpalacze trupów...

— A skąd tyś przyszedł?

Znowu dotyka jego twarzy i bada zarys warg w długim pocałunku.

Brok bardzo zawstydził się swego kłamstwa. Podaje się za boga, by zdobyć jej miłość! Już od dłuższego czasu opuściło go uczucie podniecenia, pozostała jedynie wdzięczność za każdy pocałunek —

— Nie jestem bogiem — przyznał się ze skruchą. Jestem zwykłym człowiekiem. Mężczyzną.

Tamara pogłaskała go po głowie.

— Czy młody mężczyzna nie jest lepszy od starego boga? Pokaż, że jesteś młody! — Masz głęboko wpadnięte oczy i brwi jak dzikie krzaki. Jesteś wstrętny! Gdybym cię zobaczyła, chyba zemdlałabym ze strachu.

A jednak! — Masz kanciastą, atletyczną szczękę,

nos duży i szeroki, czoło wypukłe — śmiały i pełen energii łuk brwi! Włosy gęste i miękkie. Właśnie tak wygląda młodość - ta szumna, agresywna, buntownicza młodość!

Chcę cię zobaczyć.

Twój byczy kark podnieca, mnie. Olbrzymie ręce mogłyby mnie zdusić, a jednak nie czuję ich na swoim ciele.

Odsłoń twarz!

Chcę oglądać twoje ciało.

Nie jesteś człowiekiem! Przybrałeś tylko kształty mężczyzny i dlatego ściskasz mnie i całujesz. Po co się ukrywasz? Już wiem, co zrobić! Wezmę gipsu i odcisnę twoją maskę, dłużej w ten sposób nie można kochać, nie można, nie można...

— Poczekaj, księżniczko! Już niedługo mnie zobaczysz. Stanę się człowiekiem w momencie, gdy spełnię swoje zadanie. Dziś wieczorem muszę stawić się na ulicy Alicji Moor, piętro 354, numer 99. — Straciłem do cna poczucie czasu... Nie istnieje dla mnie ani dzień, ani noc. Kiedy to Muller powiedział mi swoje dzisiaj?

Wydaje mi się, że od tej chwili minęło wiele lat. —  
A może już się spóźniłem?

Powiedz, czy teraz jest dzień, czy noc!

Czy naprawdę oprócz Mullertonu nie ma nigdzie  
innego świata? Istnieje jeszcze prawdziwe słońce? Czy  
świeci księżyc nad Muilerdomem?

Trzydzieści dni...

Na którym jestem piętrze? — W jaki sposób  
odnajdę Mullera?

Kiedy go zamorduję? — — —

Nagle pod sufitem rozległ się głos:

— Piotrze Broku!

Piętro 354

Numer 99

Czekam na ciebie!

Brok zerwał się i spojrzał w sufit. Mętna błonka  
zniknęła już z powierzchni lustra, które teraz gapiło się  
bezcześnie na detektywa. — Milion oczu i milion uszu  
znajduje się na tysiącu piętrach! Ale usta — jego  
wstrętne usta wdarły się do sypialni księżniczki!. . Czy  
Muller wie, że jestem przy jej łóżku? A może w tej  
chwili na wszystkich piętrach gmachu rozlega się jego

głos? Brak zachwiał się.

— Słyszysz? On woła! Chyba wybiła już moja godzina! Zostań tutaj!

— Pójdę z tobą!

Wyskoczyła z łóżka i drżący mi rękami zakładała ubranie.

— Nie! Zostań! — Porozmawiam z nim i wrócę do ciebie!

— Już nie wrócisz! — On cię zabije! W sali 99 czeka na ciebie milion zasadzek.

— Przejrzałem już jego podstęp. Sala wklęsłych luster, a za nią zapadnia! — Będę z Mullerem rozmawiał tylko w sali z lustrami.

— A jak tam trafisz? Znasz drogę na 354 piętro?  
— Nie? No widzisz, beze mnie jesteś bezradny jak dziecko. Jaki tam z ciebie bóg!. . Mój ty niezwykły, niewidzialny. Chodź! Sama zaprowadzę cię do windy.

— Pokaż mi drogę, zanim będzie za późno. Kiedy ktoś dotrzymuje słowa, świadczy to o jego sile!

Wyszli trzymając się za ręce.



## XXXII

Białe i czarne drzwi, — Sala o wklęsłych lustrach.  
— Sygnały elektryczne. — Pogoń w kuli. — Piotr  
Brok schwytyany.

Szklany korytarz zamykała biała jak marmur  
ściana sięgająca aż do sufitu. Na szczelnie  
zatrzęsniętych drzwiach wisiała tabliczka:

### WINDA CENTRALNA

Księżniczka otworzyła ją naciśnąwszy guziczek z  
literką

i

Weszli do saloniku w kształcie sześcianu o  
ścianach, podłodze i suficie wybitych zielonymi

poduszkami. Z boku wisiała tablica z tysiącem białych guzików.

— To są piętra. Każdy guziczek — jedno piętro. Tą windą uciekałam wówczas, kiedy wierzyłam jeszcze w gwiazdy...

Brok z wdzięcznością pogładził ją po rękę.

— Wspaniałe odkrycie! — Dzięki niemu mogę poznać cały Mullerdom. Ale wpierw muszę dotrzymać słowa danego Mullerowi.

Przycisnął guzik z cyferką 354. — Zielony salonik me drgnął nawet, ale srebrna wskazówka na tarczy poruszyła się i zaczęła opadać w dół mijając cały łańcuch malejących liczb. Zatrzymała się na numerze 354.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała księżniczka.

— Teraz wracaj! Nikt cię nie może spotkać na tym piętrze!

Pożegnali się długim uściskiem.

— Gdybym nie przyszedł...

— Przyjadę po ciebie!

Drzwi się otworzyły i Brok znalazł się w jasnym,

pustym korytarzu. Jego długie gołe ściany zlewały się w oddali w jeden punkt.

Po obu stronach szeregi drzwi błyszczących jak w domu wariatów lub w szpitalu. — Drzwi i tylko drzwi. Wszystkie jednakowo jasne, jednakowo wielkie i tajemnicze, stoją milcząc uparcie z klamkami wysuniętymi do przodu, bez numerów i jakichkolwiek napisów.

Jak odnaleźć jego pokój?

99!

Brok jednym susem znalazł się przy pierwszych drzwiach.

Zamknięte!

Drugie!

Zamknięte!...

O, Boże, dokąd one prowadzą?

Co ja zrobię?

Co się za nimi kryje? Pokoje, coraz to nowe pokoje. O czym myślał Muller wzywając go na tę aleję białych drzwi? Do czego one służą? Kto za nimi mieszka? Przecież nie słychać tu żywej duszy, grobowa cisza ciągnie się w nieskończoność.. Ile czasu

upływie, zanim sprawdzę wszystkie klamki?

Zamknięte... zamknięte... zamknięte...

Coraz szybciej tracę siłę.

Brok licząc na los szczęścia pobiegł długim korytarzem. Gdzieś musi się on kończyć. Pędził naprzód, ale punkt zamykający dwie linie ścian stale oddalał się od niego. Człowiek poczuł swoją bezsilność przy spotkaniu twarzą w twarz z nowym wrogiem, który nazywa się nieskończoność...

Nagle zatrzymał się. — Czarne drzwi. Tak niespodzianie i gwałtownie rzuciły mu się w oczy. Pośród setek białych tylko jedno były czarne!

Wisiała na nich srebrna tabliczka:

Nic więcej.

Jestem wreszcie u celu.

U celu? — To pewnie nowa pułapka! A ty, naiwny, w nią wpadniesz! Tam kryje się Ohisver

Muller, kawał tłuszczu, za którym gonisz, a nieco dalej — klapa! —

Wiem o tym, słyszałem o zapadni, ale niekiedy dla kawałka tłuszczu można zaryzykować życie, zwłaszcza gdy przyglądasz mu się pożądliwie z pustym żołądkiem. — Ja jestem, małą myszką, panie Mullerze i potrafię przecisnąć się przez kraty pułapki.

Brok rozejrzał się uważnie. Nigdzie nie było żywej duszy. Leciutko nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły i detektyw wsunął się do środka. Chciał zbadać wnętrze sali, zanim spotka się z zagadkowym Mullerem.

Nad nim rozpiniała się błękitna półkula. Było to coś więcej niż przecięta w połowie piłka. Znalazł się we wnętrzu przymocowanego do ziemi niebieskiego balonu, pozbawionego jakichkolwiek krawędzi i załamania.

Czy to jest lustro?

Olbrzymie, wklęsłe zwierciadło pochłania odbicie Broka. W jaki sposób można się przekonać, że to jest lustro? Nie ma tu niczego, co mogłoby się w nim przejrzeć. Brok szybko obrócił się do drzwi i osłupiał.

drzwi zniknęły. Rozpłynęły się bez śladu!

Obmacywał rękami ściany. Były odlane z jednego materiału; sufit, ściany i podłoga łączyły się w foremną, szczelną kulę. I chociaż Brok nie mógł się zobaczyć, wiedział, że jest to wielkie zwierciadło. — Gładka krzywizna powtarzała w nieskończoność swe wnętrze.

Widocznie dlatego zabarwiła się na niebiesko...

Tę sztuczną, filigranową nieskończoność opasuje kolista obręcz, która tworzy przejrzystą podłogę. Ale nawet ta równa płaszczyzna wydaje się głęboką przepaścią, bo przegląda się w niej nieustannie sina kopuła ze szkła.

Drzwi zniknęły bez śladu...

Ale skąd się tu bierze światło? Nie ma nigdzie żadnej lampki — a może lustra same wydają taki blask? Może z nich wydobywa się światło? — —

Gdybym mógł przejrzeć się w lustrze? — —

Brok stoi pośrodku ogromnej kuli zdrewniałej ze strachu. Czuje błogi szum w głowie, jak w chwili, gdy człowiek nie wie, czy unosi się w powietrzu, czy spada w dół. Tkwi we wnętrzu sonej próżni, nie odróżnia kierunków świata i stale traci równowagę.

Piotr Brok zachwiał się. Zdażył zaledwie postawić jeden krok na lśniacej podłodze z lustra, gdy rozległ się, tuż pod jego stopą, dźwięk elektrycznego dzwonka. — Brok cofnął się i znów usłyszał warkot dzwonka... Na palcach zaczął uciekać do ściany. Na próżno! Co krok rozlegał się sygnał. Widocznie cała podlega była usiana ukrytymi guziczkami alarmowymi. Każde miejsce, którego dotknął, natychmiast odzywało się przenikliwym terkotem..

Brok jeszcze przez chwilę biegał z miejsca na miejsce. Wreszcie doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. Wpadł już w pułapkę 99, którą przygotował dla niego Ohisver Muller. Nie miał się czego chwycić ani gdzie ukryć...

## XXXIII

Milion olbrzymów... — Schwytane nic. —  
Okienko na szczycie kopuły. - „Żyje?”

Niespodziewanie otworzyły się drzwi. Nic jedno, ale nieprzeliczone mrowie drzwi ciasno skupionych obok siebie. Wyszli z nich potężni mężczyźni obnażeni do pasa, przewiązani czerwonymi szarfami. Byli do siebie uderzająco podobni. Mieli niewielkie głowy przyklepione do atletycznego tułowia i sieci przerzucone przez nagie ramiona. Milion olbrzymów kroczy z szych oddali.

Brok, odprowadzany wyciem dzwonek alarmowych, podbiegł do pierwszych drzwi. Odbił się od gładkiej ściany z lustra. — Wtem zniknęły wszystkie drzwiczki, do kuli weszli półnaczy mężczyźni i zaczęli wymachiwać sieciami. W lustrze odbijały się ich nieporadne ruchy i wykrzywione twarze. Milion sieci wyciągnęło się w jego kierunku. Rozpoczęła się szalona gonitwa. Brok ucieka, potyka się, kuca,



przeskakuje przez rozpostartą siatkę, objęta się o ściany. Każdy jego krok zdradzają dzwonki.

W lustrzanej kuli goni za nim milion niekształtnych olbrzymów. A może to tylko jeden człowiek odbija się we wklęsłym zwierciadle? Przeklęte dzwonki wrzeszczą nieubłaganie pod nogami Broka: Tu jestem! Tu jestem! Olbrzym biegnie za ich głosem. Sieć świszcze Brokowi nad głową i coraz mocniej zaciska się koło nóg. Nie może już uciekać. Nie podda się... Cios w piersi, w twarz kopniak w brzuch... Noga odskakuje od ciała olbrzyma niczym piłka.

Wreszcie zmęczony straszliwą gonitwą Brok pada na środku sali. Przykrywa go wielka sieć.. Coraz mocniej okręca się wokół ciała, zwija je w węzełek. Powieki przymykają się pod naciskiem sznurów. Przed oczami fruują czarne płatki.

Zobaczył jeszcze małe okienko na szczycie kopuły. Pojawiła się w nim czyjaś twarz.

Wstrętna, żółta, z rudą bródką rozczesaną na środku. Miała dwie czarne dziury zamiast nosa i dolną wargę obrzydliwą i czarną, zwisającą bezwładnie niby zgniły badył.

— Żyje? — odezwał się czyjś głos.

— Żyje! westchnął olbrzym ścierając pot z czoła.

Te dwa głosy miały w sobie coś ze starego snu Piotra Broka. — Pochylają się nad nim dwaj mężczyźni w białych fartuchach przesiąkniętych karbolem. Jeden z nich szpicem buta potraça jego ciało przykryte burą płachtą, a potem zdziera ją ze wstrętem.

— Żyje — powtarza zawiedziony z domieszką niecierpliwości w głosie. Brok gwałtownie otwiera oczy, by przekonać kogoś bardzo zdrowego i silnego, że jeszcze nie umarł —

Poprzez tiul powietrza przesyconego karbolem widzi żółtą lampkę. Wisi ona pośród ciężkich skrzyżowanych belek, podpierających strop grobowca. Dwóch ludzi, od których bije zapach zdrowia, kładzie na noszach jakiś ciężar. Unosi go do góry i rusza miarowym krokiem uliczką między pryzami — raz, dwa. Widać tylko ich głowy, oddalające się z każdą chwilą — — —

Obraz jest nieoczekiwany, niezrozumiały, a równocześnie bardzo prosty. Wystarczy nakryć twarz

rogiem prześcieradła — a wszystko zniknie. — Tylko  
róg prześcieradła! — Trzeba to sobie zapamiętać!

## XXXIV

„...Boją się schwyconego diabła!” — O tym, jak Piotr Brok znalazł się w zasięgu soczewek ślepego Orsaga — „Co za bezwstydnosc. .” — „Czy piękny?”

Brok się obudził i zauważył, że nadal leży w sieci, choć ucisk sznurów trochę zelżał. Rozprostował kości. Znajdował się w opuszczonej kuchni. W rogu stał piec rozwalony do połowy. Na ścianie widniały białe kwadraty po zdjętych obrazach.

Wokół mnóstwo nieznanymi twarzy. Oczy wylażą gapiom z orbit, a ciekawość szarpie nerwy. A jednak od sieci dzieli ich przestrzeń dobrych trzech kroków — odległość znikoma w porównaniu z ich męstwem i dosyć wielka, gdy się weźmie pod uwagę tchórzostwo.

Co prawda sieć ta jest bardzo osobliwa. Nie leży płasko na podłodze, jak należałoby się spodziewać. Jeśli nie złowisz ryby, powietrzem sieci nie wypełnisz. Jej sznurki bezkształtnie ułożą się na ziemi. Ta siatka

jest jednak naprężona, kryje w sobie owalną pustkę, jakies „nic” w kształcie nadmuchanego pęcherza. Nikt nie ma odwagi położyć na niej ręki!

— Eeech, rycerze, boją się schwyconego diabła!

Do przodu przepycha się dziewczynka w krótkiej, barwnej spódnicy.

— Przepuście mnie! Ja się nie boję! Dotknę go małym palcem.

— Puście ją. Niech dotyka, jeśli oczom nie wierzy. Bankier Salmon już stracił palec.

— Przecież nie musi akurat trafić w usta. A może trafi gdzie indziej, checheche!

— Nie uniknął karcącej ręki Mullera. — Siwy, brodaty starzec z powagą pokiwał głową.

— Złapał w sieć złego boga!

— Co z nim zrobić?

— Utopić go!

— Powiesić!

— Udusić!

— Wy chcecie doradzać Wielkiemu Mullerowi?  
— skarcił gapiów olbrzym, który schwytał Broka. Jego pierś wydeła się z pychy. Krążył wokół swej

ofiary i pilnował uważnie, zawsze przygotowany do skoku, w razie gdyby coś się stało.

Nagle pstrokaty pierścień ludzi rozstał się, tworząc uliczkę biegnącą od sieci do drzwi kuchni.

Weszły dwie osoby. Wysoki mężczyzna o pięknej, miękkiej twarzy dobrze zakonserwowanego starca. Orli nos i niebieskie, energiczne oczy nadawały mu wygląd naczelnego wodza w cywilu. Wszyscy wbili w niego wzrok, a wokół szeptano tylko o nim — Dalej kroczył — o Boże — ślepy Orsag z soczewkami na skroniach.

Wódz krokiem zwycięzcy podszedł do sieci i kopnął Broka z taką pogardą, jakby był tobołkiem brudnej bielizny. Spytał Orsaga:

— Jak on wygląda?

Brok zadrzał.

Czy to możliwe, żeby ślepiec mnie widział? — Sam nie wiem, jak wyglądam! — O, Boże, boję się tych okrągłych szkieł, które dziurawią mi płuca! — Lękam się, lękam się spojrzeć na nie!

Tymczasem Orsag obraca zębate kółeczka, by poprawić ostrość soczewek. Pólnagi olbrzym pierwszy

przerywa milczenie gapiów rzucając pytanie wiszące od dawna w powietrzu:

— Powiedz, jak jest ubrany.

Orsag: — Wcale nie ma ubrania! — Jest nagi!

— Nagi!!!

— Ooo ! — — —

Usta kobiet wydłużają się ze strachu i przybierają kształt elipsy.

— Co za bezwstydnosc!

Jedna z dam o wymalowanych piersiach, wystających z głębokiego dekoltu, pada zemdlona.

Pozostałe uciekają.

Brok uradował się szalenie.

Ślepiec nie zobaczył jego ubrania. Co za szczęście... Co za szczęście... Mam przy sobie portfel z dokumentami. Jeśliby go Orsag dostrzegł, wszystko by przepadło.

Orsag podchodzi do Broka, ogląda go z bliska i mówi:

— Jest biały. Oczy ma białe, usta białe i włosy białe. Wydaje mi się, że krew ma też białą. Wprawnym ruchem handlarza koni rozwiera mu

szczęki.

— Ma trzydzieści lat! — rzuca krótko.

Kobiety tymczasem już oprzytomniały.

— Czy piękny? — pyta brunetka o cygańskich oczach i mocno wytatuowanych piersiach.

— Co też pani mówi... panno Lauro! Przecież jest nagi.

— Czemu myśleć o tym, co nieprzyzwoite?

— Pani się zapomina, *contesso*...

— Wydaje mi się, że on potrafi lepiej ukryć swą nagość niż niejedna z nas.

— Przecież wcale nie ma ubrania.

— To pani tak go sobie wyobraża?

— Co za fantazja!

— Sznury! — huknął wódz do półnagiego olbrzyma. Jego głos przypominał łoskot łańcucha ciśniętego na kamienną posadzkę. Rozkaz wykonano w parę sekund.



## XXXV

Znowu sen z żółtą lampką. — Piotr Brok dotrzymuje słowa. — Noc, plany, ucieczka. — Rozsypujące się królestwo. — Nie będzie szczęścia na ziemi, dopóki istnieje Mullerdom.

Brok, pogrążony w ciemnościach, leżał na pół we śnie, a na pół na jawie. W przepaści, do której się dostał, nie widać było ani dnia, ani nocy. — Od czasu do czasu wdzierało się do mózgu migotliwe, żółte światelko... Nad głową w niewiadomych kierunkach rozbiegały się belki — żebra zbutwiałego szkieletu.

Jaskinia z burymi kapturami jest tylko wytworem jego mózgu. Ale Brok widzi i czuje swoje ciało pokryte śmierdzącymi wrzodami, które przemieniły się w gniazda robactwa.

Co jakiś czas budził się z tego koszmarnego snu i dziękował bogu, że nie ma ciała i jest tylko głosem schwytanym w sieć...

Przepaść pozbawiona miejsca i czasu zniknęła

nieoczekiwanie. Na jej miejsce pojawiło się białe światło, a razem z nim powrócił obraz komnaty o czterech jasnych ścianach. Rozległ się głos:

— Miły, gdzie jesteś?

Księżniczka!

Rzeczywiście! Jej ręka spoczywa jeszcze na przełączniku, ale oczy rwą się ku niemu.

Ma na sobie czarną suknię, jak wówczas, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy przy okienku „Wszechświata”.

— Miły!

Sznury spadły, ciało poczuło rozkosz wolności, mięśnie mogły na nowo się naprężyć.

— Chodź!

Wzięła go za rękę i wyszli razem na palcach.

Winda centralna.

Mroczne schody, martwe korytarze i znów sale, sale...

W ręce księżniczki od dłuższego czasu miga elektryczna gwiazdka i oświetla drogę swym wątłym promykiem.

— Noc — szepnął Brok.

— Tak, noc! Ale Muller może uderzyć na alarm! Jeśli dowie się o naszej ucieczce, zapali wszystkie uśpione kule słoneczne... Dlatego musimy jak najprędzej opuścić Mullerdom.

— Opuścić... Znasz drogę? Potrafisz uciec?

— Oczywiście, mój przedziwny, nieznanany... Jesteś ze mnie zadowolony? Podczas gdy siedziałeś w pułapce, ja biegałam wszędzie, szukałam cię i organizowałam pomoc...

Brok uściskał rękę księżniczki.

— Opowiedz, jak sobie wyobrażasz ucieczkę. Wydostać się z Mullerdomu podobno nie sposób! A jeśli można, to czemu sama nie wróciłaś do swego królestwa? —

— Sama nie mogłam. — Obmyśliłam teraz kapitalny podstęp. Wiem, gdzie mieszka lord Humperlink, ten, co porwał mnie z domu rodzinnego... Ty będziesz udawał Mullera! To znaczy jego głos! Rozkażesz Humperlinkowi, żeby odwiózł mnie tam, skąd poprzednio wykradł.. Niczego się nie domyśli! Muller zawsze przez głośnik wydaje rozkazy swym poddanym! Nikt jeszcze nie widział jego twarzy!

Wspaniała myśl błędziła po głowie Broka.

— Zobaczmy! Zobaczmy...

Księżniczka, podniecona swoim planem, szepce mu bezustannie:

— Jest tam port! — W powietrzu wisi płyta równa jak stół, przymocowana jednym bokiem do ściany Mullerdomu. W czasie, gdy dla Mullera kwitnie złoto, lądują na niej stalowe jaskółki. Ale w nocy widziałam tylko skrzydlate łodzie pogrążone w kamiennym śnie. Wśród nich znalazłam małego, niebieskiego ptaszka z miejscem na dwie osoby! — Dla ciebie i dla mnie... Razem polecimy do naszego królestwa...

Ostatnie słowa rwały się wprost do odlotu. Krył się w nich zapach oddali i słodycz ukończonej podróży. Głos przy boku księżniczki zazgrzytał głucho, tuż przy samej ziemi:

— Nie mogę! Nie mogę. Księżniczko, uciekaj sama, a ja zostanę. Zostanę, dopóki..

— To i ja zostanę! — jęknęła Tamara.

— Gdzie cię ukryję przed zemstą Mullera? — Ja mogę się schować w snopie światła. — Ale co będzie

z tobą? Jak osłonię twoje oczy przed jego ślepiami?  
Twoje ręce przed jego pazurami?

— Wiem, co mi grozi, kochanie. Uciekałam już wiele razy, a teraz robię to po raz ostatni. Muller naumyślnie pozwalał mi znikać, a potem, kiedy zabawa mu się sprzykrzyła, chwycił raptownie.. Naśmiewał się wówczas ze mnie ustami swych szpiegów, agentów i konfidentów rozstawionych na drodze. Dziś przy tobie nie boję się potworów Mullera. Lękam się tylko jego kul słonecznych, czyhających w ciemności. Wiem, że dziś już ostatni raz — — — Bez ciebie ucieczka nie ma sensu. Niebieski koliberek już czeka. — Chodź!

Ojciec płacze na tronie. To ostatni król z dynastii białych bród. Nie ma nikogo, komu mógłby przekazać swe ziemie. Jedynaczkę porwał mu czarodziej, a pod basztą zamkową wyrosła pierwsza dzika róża..

Zdziczał park wokół zamku.

Gałęzie platanów wbijają się w mury i niszczą tynk.

W blanki wgryzł się modrzew.

Oknami włacza się bez, a po wspaniałych schodach wspina się bluszcz, na gzymсах kwitnie

wrzos i macierzanka.

Moją sypialnię porastają polne róże...

— Biedna, smutna bajko różana! Ciężko mi będzie się z tobą pożegnać — — Nie możemy jednak iść razem.. Ty musisz stąd uciec. Leć więc do swego domu i czekaj tam na mnie. Opowiedz brodatemu ojcu, jakiego to masz niezwykłego narzeczonego. Pamiętaj, że przyjdę po ciebie pewnego dnia. Będę wyglądał tak, jak wszyscy. Nie poznasz mnie, bo zobaczysz po raz pierwszy. Nie wiem jeszcze, co się ze mną stanie po zamordowaniu Ohisvera Mullera. Spełni się przeznaczenie, coś zginie i zgaśnie jakieś straszliwe światełko! Zwali się w gruzy ów bezsensowny kolos z tysiącem szalonych pomysłów, który ugniata mi czaszkę! Tymczasem sterczy jeszcze nad światem, jak idiotyczny wymysł pijanego diabła. Jego czarny cień przysłania także twoje rozsypujące się królestwo na końcu świata —

Nie będzie szczęścia i spokoju na ziemi, dopóki żyje Muller i stoi jego Mullerdom!

Kolos runie!

Rozleci się w momencie, gdy umrze On! —

Wtedy odzyskam pamięć, a nad światem pokaże się słońce —

Księżniczka słucha i milczy. Wszystkie sale, które mijają w pośpiechu, są jednakowo ciemne i ciche. — Znajduje się w nich wiele przedziwnych przedmiotów porzucanych bez celu na kamiennych tafelkach posadzki, na parkietach i dywanach. W ciemnościach tracą one swoje kształty. Suną po podłodze czarne, niezgrabne i nieprawdziwe. Pojawiają się nieoczekiwanie na końcu promyka latarki; od czasu do czasu zachichocze jakaś złamana krawędź, zniszczony posążek lub lepka, bezkształtna bryła. Noga uderza o coś, ślizga się i znów potyka. — Coś trzaska! Pluszcze! — Przykleja się do butów...

— Wstrętne przedmioty... — szepce Brok.

— To już nie są przedmioty. — Raczej ich resztki! Smętne odpadki...

— Co to jest?

— Ślady hulanki. Tak wygląda niebo opuszczone przez swych mieszkańców. Musimy iść szybciej, żeby nie natknąć się na niewolników, którzy przychodzą sprzątać te niebiańskie chlewy.

## XXXVII

Syreny wyją na alarm. — List gończy. — Rezydencja Mullera. — Brok zbliża się do Wielkiego Mullera.

Samolot z księżniczką zniknął na błękitnym horyzoncie. Piotr Brok wrócił do Mullertonu i zamknął za sobą drzwi. Chciał zatrzeć wszystkie ślady, które mogłyby zaprowadzić na lotnisko ludzi szpiegujących Tamarę. Polem zdecydował się, że sam odpocznie w pokoju lorda Humperlinka i poczeka, aż w Mullerdomu nastanie dzień.

Zatrzasnęły się za nim dwa skrzydła bramy żelaznej i znowu otoczyły go ciemności. Żałował teraz, że nie poprosił księżniczki o latarkę elektryczną, którą oświetlali sobie drogę. — Macał w ciemności. Nagle zdrętwiał!

Tuż nad głową rozległ się przenikliwy świst, jakby ktoś zagwizdał na palcach. Równocześnie huknęły syreny alarmowe. Korytarz został wyrwany ze snu



gwałtownym snopem światła.

Okna i drzwi po obu stronach korytarza się otwierają, widać w nich zaspane twarze z wybaluszonymi oczami.

— Co się stało? — Co się dzieje?

Grzmiący głos pod sufitem rzuca odpowiedź:

— Uciekł Piotr Brok!

Łapcie go!

Z bocznej uliczki wypada gromadka na pół ubranych postaci. Noże, kije, rewolwery, sznury, lassa, maski gazowe. Mleczne kule u sufitu oświetlają wystraszone twarze, na których maluje się lęk człowieka ściganego i zacięcie prowadzącego nagonkę.

Brok jednym skokiem przyłączył się do maskaradowej tłuszczy, jak gdyby chciał wziąć udział w zaimprovizowanej pogoni. Chodziło mu głównie o to, by dowiedzieć się, jakie mają wiadomości o jego ucieczce i dokąd zierzają. — Dzięki bogu, nic nie wiedzieli o zniknięciu księżniczki.

Po długim dreptaniu krętymi uliczkami wydostali się na kolisty plac przykryty szklanym kloszem. Wokół

stały gmachy administracji miejskiej, a jeden blok, przypominający ratusz z charakterystyczną wieżyczką, oklejono doszczętnie przeróżnymi dekretami i obwieszczeniami.

Było tam ostrzeżenie przed żółtą zarazą szalejącą na czterysta osiemdziesiątym dziewiątym piętrze i komunikat o zamurowaniu tego piętra aż do chwili gdy choroba wygaśnie.

Dekret o mobilizacji przeciw powstaniu niewolników w okręgu robotniczym.

Towarzystwo „KREMATORIUM” polecało bezbolesne spalanie ludzi chorych i starców.

„WSZECHŚWIAT” ogłaszał specjalne udogodnienia i ulgi dla uchodźców na gwiazdę „L 9”.

„BRACTWO BOGA MULLERA” zapowiadało nadzwyczajne nabożeństwo ku czci świętej baronowej Hortensji Muller.

Ludzie gromadzili się przed czarnym plakatem z czerwonymi literami.

## LIST GOŃCZY

Do wszystkich mieszkańców piętra

Niewidzialny potwór, Piotr Brok, który niepokoił naszego Wielkiego Pana, Ohisvera Mullera, i został wczoraj schwytany w kuli niebieskich luster, uciekł dziś w nocy.

Z najwyższego rozkazu rozesłano za nim listy gończe.

Należy przypuszczać, że będzie on nadal zakłócał spokój mieszkańcom Mullerdomu i dopuszczał się karygodnych czynów; wzywa się przeto wszystkich obywateli piętra 376, by strzegli swych mieszkań i o każdym podejrzanym ruchu, zdradzającym obecność niewidzialnego szkodnika, meldowali na ratuszu w departamencie dziewiątym.

Ten, komu uda się schwycić niewidzialnego diabła, żywego lub

martwego, otrzyma w nagrodę  
pozwolenie przebywania w  
Gedonii, 200 000 mulldorów i 999  
nowych gwiazd.

Podpisał doktor Van Schpiegel  
Gubernator piętra 376

Znudzily Broka długie i jałowe dyskusje toczące się przed wywieszonym plakatem. Nagle wśród gapiów zapadła głucha cisza, wszyscy wlepili oczy w mężczyznę stojącego we drzwiach ratusza.

Brok poznał go natychmiast. Był to ten sam wódz w cywilu o drapieżnych stalowych oczach, który kopnął go, kiedy leżał zaplątany w sieci.

Tłum się rozstąpił. Wódz schodził majestatycznie ze schodów; ukrywał przed ludźmi uczucie wstydu, małujące się na wąskich wargach.

Zmierzał w określonym kierunku. Brok poszedł za nim, coraz mocniej szarpany chęcią zemsty —

Wsiedli do windy i wówczas wódz nacisnął guziczek z cyfrą 100! — Po chwili, kiedy wskazówka zatrzymała się na setce, drzwi otwarły się cicho i Brok

wszedł do wspaniałego ogrodu. Gęste korony drzew spletały się ze sobą, a porozwieszane lampiony oświetlały ich fantastyczne kształty, przypominające zielone chmury z bajki. Brok tuż za wodzem dreptał po triumfalnej alei wysadzonej palmami i różami, upiękzonej rzezbami z kryształu i opalowymi fontannami. — Minęli bramę utworzoną ze strumieni kolorowej wody, wyrzucanej przez dwa rzędy wodotrysków.

W oddali, pośrodku jeziora widniała cudowna wysepka. Z bukietu palm i wielkich paproci wystawał pałacyk, jak gdyby zbudowany z promyków słońca. Nad wodą rozpiniała się tęcza dziewięciobarwna. Właściwie był to mostek, łączący wysepkę ze stałym lądem. Wkroczyli na niego i wówczas tęczowy łuk odezwał się cichym akordem, niczym instrument muzyczny o dziewięciu strunach.

Bez trudu dostali się do przedsionka pałacu. Stąd jedyne drzwi prowadziły do łaźni rzymskiej, gdzie wódz musiał się wykapać. Brok obserwował, jak jego skóra na plecach, udach i łydkach czerwienieje pod zwinnymi rękami niewolnic. Nasmarowany wonnymi

balsamami, wypomadowany i okryty karminowym płaszczem, wszedł wreszcie do poczekalni.

Siedziało tam już pięć osób; wszyscy wypucowani, uroczyści, przesyleni wonnymi olejkami, czekali na swoją kolej, bębniąc nerwowo sandałami o podłogę. Niektórzy drżeli z napięcia. Powtarzali nieustannie: Muller — Muller — Muller! —

Brok poznał wśród nich wyłysiałego staruszka Schwarza, specjalistę od gazu „SIO”, którego spotkał pewnego dnia w hotelu „ELDORADO”. Bóg wie, kiedy to było...

Wódz skierował się prosto do drzwi ukrytych za granatową portierą. Wyhaftowano na niej czarnymi niciami:

## AUDIENCJE

Obejrzał się jeszcze złośliwie, zostawiając za sobą wściekłych z zazdrości petentów. Brok drżał w momencie, gdy wchodzili do pokoju przyjęć...

Nareszcie!

Nareszcie zbliża się ta straszliwa tajemnica. —

Jeszcze krok i zobaczę... Co?...

Człowieka? —

Jak wygląda czaszka, w której wylał się plan Mullerdomu?

Obojętne, jak wygląda — nareszcie przyjrzę mu się z bliska!

## XXXVI

Uliczka lotników. — Lord Humperlink, wilk morski. — Słońce nad Mullerdomem. — Brok żegna się z księżniczką. — Miejsce obok niej zostało puste...

Błądzili w labiryncie wąskich uliczek, których nazwy pojawiały się w bladym świetle latarki. Dotarli wreszcie do żelaznego korytarzyka, nazwanego  
ULICZKĄ LOTNIKÓW

Stalowe drzwiczki okute gwoździami o wypukłych łebkach nosiły egzotyczne imiona pilotów z Mullertonu:

ARON KORKORAN  
sternik „Płaczącego łabędzia”

ACHILLES MOBILES  
kapitan „Rozbójnika”



DUGLAS GULIVER  
skoczek spadochronowy

CZARNY WIATR  
nadworny pilot „Krzyża południa”

HRABIA LUCIEN D'EAU  
lotnik samolotu z zapadnią

REMUS MAJORESKU  
akrobata na „Albatrosie”.  
Szybszy od dźwięku!

# LORD HUMPERLINK

## Wilk morski

— Jesteśmy na miejscu — szepnęła księżniczka, zatrzymując się przed ostatnimi drzwiami. Ktoś zamknął je na klucz, a przez dziurkę widać było tylko gęsty mrok.

Szybko ustalili plan działania. Księżniczka pobiegła na koniec uliczki i zgasila latarkę elektryczną. Brok przyłożył usta do otworu we drzwiach i zawołał:

— Lordzie Humperlinku, wilku morski! Natychmiast osiodłaj Niebieskiego Kolibra i przygotuj się do odlotu! Muller ci rozkazuje!

Potem nastawił uszu:

Cisza.

Spojrzał:

Ciemno.

Powtórzył swój rozkaz podniesionym głosem. Tym razem zza drzwi dobiegł jakiś szelest i zaraz umilkł.

Brok zawołał więc po raz trzeci.

Wówczas szelest przemienił się w klaskanie bosych nóg. Rozległo się ciche przekleństwo, a w dziurce od klucza pojawiło się światło. Brok przyłożył do niej oko.

Rozzochrany mężczyzna w białźnie rozgląda się, nic nie rozumiejąc. Potem podbiega do drzwi i otwiera je gwałtownie. Trzyma w ręku rewolwer, a twarz wykrzywia mu drapieżna chęć schwytania tego, co krzyczał przez dziurkę od klucza.

Gęsty mrok wdarł się przez otwarte drzwi. Mężczyzna wybiegł na korytarz i rozejrzał się nieufnie. Brok wykorzystał ten moment i wszedł do pokoju. Potem wskoczył na stół umieszczony pod owalnym lustrem i kiedy Humperlink wrócił do sypialni, powtórzył rozkaz.

Tym razem głos rozlegał się tuż pod sufitem:

— Lordzie Humperlinku, wilku morski! Na końcu uliczki Lotników czeka na ciebie dama w czerni. Jest to księżniczka Tamara, którą na moje polecenie porwałeś z państwa morawskiego. Rozkazuję ci, żebyś natychmiast odwiózł ją do domu! Taka jest moja wola!

Lord Humperlink wysłuchał rozkazu stojąc na bacność, z przerażeniem na twarzy i rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała.

— Natychmiast, panie! — zawołał posłusznie i zaczął się ubierać. Założył skórzany mundur i maskę o dwu okularach. Polem zapalił pochodnię i wyszedł z pokoju.

Na końcu uliczki czekała księżniczka. W blasku płomienia wynurzyła się z mroku — czarna, milcząca, oparta o ścianę.

— Za mną! — skinęła w jej stronę pochodnia Humperlinka.

Brok skradał się tuż za nimi.

Doszli do drzwi żelaznych. Wilk morski podsunął pochodnię pod czarne koło przymocowane do nozdrzy stalowego lwa, pilnującego bramy. Po chwili, kiedy pierścień pokrył się warstwą sadzy, brama otworzyła się na oścież.

Gwałtowne światło dnia wdarło się w ciemność korytarza.

Olbrzymie słoneczne koło nurzało się w jeziorze nieba — — —

Brok oślepl na moment.

Słońce!

Prawdziwe słońce!

A w gmachu panuje głęboka noc!

Znalazł się na placu otoczonym z trzech stron szklanymi hangarami. W jednym z nich zniknął lord Humperlink.

Brok szybko podbiegł do księżniczki.

— Do widzenia, do widzenia!

Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, umilkł więc i całował jej czoło, oczy, włosy. Na koniec zostawił sobie usta Tamary, półotwarte i wyczekujące. Wilgotne, ciepłe wargi wzburzyły mu krew, znów ujrzał ją rozebraną przed lustrem niby przed powierzchnią jeziora, w którym chce się zanurzyć..

Przez małą chwilkę trzyma! ją wpół z głową odrzuconą do tyłu i smutnym uśmiechem.

— Przyjdiesz, na pewno przyjdiesz po mnie?

— Przyjdę! Na pewno!

— Jak cię poznam? Powiedz jakieś słowo, jedno słówko, które szepniesz w chwili, gdy się spotkamy... Szybko, mów szybko! Po nim cię poznam.

W hangarach zawarczał motor. Księżniczka wzdrygnęła się.

— No, miły, co mi powiesz?

— Przyjdę i powiem: Piotr Brok.

Tamara rozerwała jego ręce i przestraszonymi oczami zapatrzyła się przed siebie.

— Piotr Brok? — Ty jesteś Piotr Brok...

— Tak. Znasz mnie?

— Nigdy nie widziałam Broka, słyszałam tylko...

— Co słyszałaś? Mów szybko! Wilk morski się zbliża.

— Wiem, że Piotr Brok kiedyś nazywał się zupełnie inaczej... Był to jedyny syn króla Andaluzji. Uciekł pewnego dnia z domu i został rozbójnikiem.

— Rozbójnikiem?

— Tak. I to jakim! Podkopywał się do piwnic banków, rozpruwał kasy pancerne i rozdawał złoto biedakom. Rozbójnik, a jednak uczciwy!

— Nie wiem.. o niczym nie wiem. — Niczego sobie nie przypominam.

— Przez pięć lat policja deptała mu po piętach i nie mogła go złapać. Wreszcie, gdy znudziła mu się

zabawa w rabusia, przystał do policji i został detektywem. Książę-detektyw! Taka jest historia Piotra Broka!

Stalowy koliberek stał na środku placu i warczał niecierpliwie. Lord Humperlink siedział za kierownicą i kiwał na Tamarę.

— Żegnaj, księżniczko.

— Powtórz jeszcze raz: Piotr Brok — to ty?

— Tak!

Ostatni uścisk na oczach zdziwionego Humperlinka i księżniczka wsiadła do samolociku.

Miejsce obok niej zostało puste —

## XXXVIII

Prawdziwy bóg Muller. — Barykady na 490 piętze. — „...Cofnę się jeszcze o sześćdziesiąt piętze...” — Witko z Witkowic jeszcze żyje! — Staruszek Schwarz i jego gaz. — W nocy, gdy nieprzyjaciół zaśnie...

Komnata królewska. — Na tle ciemnych kotar siedzi na szkarłatnym tronie jakiś mężczyzna. Jego nieludzko grubą figurkę opina nieskazitelna czerń. Wydęty brzuch spoczywa na kolanach. Okrągłą, gładką i dobroduszną twarz wydłużają dwa pasma siwej brody, ostrzyżonej jak u Boga Ojca ze Starego Testamentu. Niebieskie oczy patrzą nieruchomo przed siebie, jakby nie miały powiek.

Był to oryginał przypominający do złudzenia złoty posążek znajdujący się na giełdzie.

Również obraz w świątyni Mullera z pewnością został namalowany podług tego wzoru.

Brok zauważył, że i ta twarz jest martwa.



Zwykła maska nałożona na prawdziwe oblicze.

Dlaczego Muller się ukrywa? Uwaga! Usta zaczynają mówić. Wargi rozchylają się leciutko, ale słowa huczą groźnie i władczo.

— Marszałku Grant! — Co myślisz o zniknięciu Piotra Broka?

Marszałek przyczołgał się na brzuchu do stopni tronu. Potem wstał i odezwał się pokornie:

— O panie, strażnik Aokun został w nocy oszukany...

— Wiem o tym — huknął grubas. — Strażnik Aokun nie żyje! Ale kto się ośmielił..

— O panie! — Wydaje mi się, że niewidzialnych diabłów jest więcej! Niczym innym nie sposób tego wyjaśnić!

— Chyba, że lenistwem strażnika! Haniebnie przegrałeś bitwę na pięćset pięćdziesięciu pięciu schodach, marszałku!

— To nie moja wina! Te łotry skrycie przedarły się o dziesięć piętér w dół i zaatakowały nas od tyłu!

— Prawdziwy wódz ubezpiecza sobie tyły, ośle! Jaka jest dziś sytuacja?

— Trzy linie przesuniętego frontu zostały otoczone przez nieprzyjaciela. Musieliśmy się przebijać. Straty są milionowe. Osiem tysięcy zabitych, dwa tysiące rannych, tysiąc pięćset w niewoli. Cofnęliśmy się o sześćdziesiąt pięter. W paśmie 490 powstrzymaliśmy natarcie nieprzyjaciela barykadami, budowanymi na oczekaniu.

— Widziałem waszą bezmyślną ucieczkę, obserwowałem cały ogrom tchórzostwa! Co zdobyli niewolnicy?

— Niewiele, panie. Magazyny zostały zawczasu ewakuowane...

— Kłamiesz! krzyknął grubas. — Widziałem spizarnie wyładowane zbożem, sterty konserw, lodówki napchane mięsem i piwnice pełne wina. To wszystko wpadło im w ręce. — Czy wiesz, durniu, że za dziesięć dni może być głód? Nie znałeś jeszcze jego smaku! — Ale poznasz go w lochach śmierci głodowej!

— Panie! — krzyknął Grant i rzucił się mu do nóg. — Daj mi jeszcze pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a przysięgam, że przegonię ich aż pod dacją! Odbiorę

każde ziarenko żyta, każdą puszkę konserw! — Mam wspaniały plan! Cofnę się jeszcze o sześćdziesiąt pięter, żeby niewolnicy mogli wdrzeć się do West-Westeru. Sto pięter wypełnionych knajpami, barami, prostytutkami i melinami złodziejskimi pochłonie ich zapal i zniszczy dyscyplinę. Przyczynią się do tego również nasze winiarnie. Buntownicy cierpią podobno na brak wody... Jeńcy opowiadają, że próbowali już pić własny mocz i krew nieboszczyków!

— Ciekawe pomysły masz, mój marszałku, tylko wtedy, gdy ci się wody w uszy naleje! Nie zapominaj, że Witko z Witkowie jeszcze żyje! Ani jeden zbir z West-Westeru nie dorósł do tego, by dać mu radę. — Ty najesz się głodu dopiero wówczas, gdy oczyścimy drogi do więzień. Tymczasem uważaj na swój brzuch i obrastaj w tłuszcz, żebyś miał z czego chudnąć! A teraz — won!

Zdruzgotany marszałek Grant odszedł krokiem pobitych generałów. Jego miejsce przed Mul erem zajął starszek Schwarz. Padł na twarz i pokornie ucałował lewą nogawkę boga.

— Wzywałeś mnie, panie?

— Wiesz dobrze, że twoi towarzysze z „Eldorado” zostali pobici. Hipnotyzer Mac Doss już nie wrócił, Czulkow ze swoim „KAWAI” też nic nie wskórał, cieszy się, że zdołał

stamtąd wynieść głowę... Perkera aresztowano. Za karę musiał wypić własną truciznę. — Przypomniałem sobie więc o twoim gazie, Schwarz. Co prawda mam jeszcze w rezerwie bakcyle Orsaga, ale teraz potrzebuję go do innej misji. . Najpierw musisz pokazać, co potrafisz! Czy możesz produkować swój gaz masowo?

— Wypełniam nim małe baloniki. Jeden pęcherzyk starcza tylko dla jednego człowieka. Jestem partaczem, panie, nie mam odpowiednich środków. . Nikt przecież nie chce się dobrowolnie zestarzeć..

— Ilu ludzi możesz zatruć na raz, jeśli będziesz masowo wyrabiał „SIO”?

— Z całego Mullertonu w ciągu nocy mogę zrobić dom starców.

— Chcę, żebyś puścił gaz na armię niewolników, na czterysta dziewięćdziesiątym piętrze. Chodzi o około dwudziestu tysięcy młodych ludzi. Ile dni

potrzebujesz do tego, by przygotować odpowiednią ilość „SIO”?

— Dwadzieścia tysięcy ludzi? — Osiemnaście tysięcy galonów, osiemdziesiąt sześć mulldorów. Czas tutaj nie odgrywa roli.

— Więc jutro?

— Dobrze, jutro.

— Ostrzegam, że niewolnicy mają maski gazowe. Rozkradli nam magazyny i w ten sposób zdobyli całkowite uzbrojenie. Tym samym wszystkie ataki gazowe wzięły w łeb.

— Kiepska ochrona! — Armia nasza wycofa się o jedno piętro w dół i pozostawi pęcherze napełnione gazem. W nocy, gdy nieprzyjaciel zaśnie...

— Wystarczy. — Panie Schwarz! Mianuję pana generalnym adiutantem marszałka Gablera! — Żegnam!

Staruszek jeszcze raz ucałował lewą nogawkę Mulera, a potem cofał się z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, tyłem do portiery. Wreszcie zniknął za nią.

Przyszła kolej na następnego marszałka: Gablera.

Miał łysą, różową czaszkę jakby wydmuchaną ze

szkła. Brokowi w pierwszej chwili wydawało się, że kula wcale nie posiada twarzy, była aż tak doskonale utoczona. Sterczały na niej dwa małe uszka, przyczepione do skóry. Dopiero potem Brok zauważył, że gładziutką powierzchnią kuli w jednym miejscu zniekształca jakaś skaza. Był to kwadracik wielkości dłoni, na którym z groteskową symetrią skupiły się wypukłości i wklęsnięcia. To twarz nowego marszałka Gablera.

— Marszałku — odezwał się głos. — Osiemdziesiąt tysięcy ludzi czeka na twoje rozkazy.

— O panie!

— Jutro rano zamelduje się u ciebie generalny adiutant Schwarz. — Osiemdziesiąt tysięcy masek gazowych!

— O panie!

— Natychmiast udasz się windą na czterysta dziewięćdziesiąte piętro. Armia wymaszerowała w nocy po schodach cesarskich, rano będzie już na miejscu. Resztę powie ci Schwarz.

— O panie!

— Żegnam!

## XXXIX

Znowu Aczorgen. — Muller zaczął chudnąć w oczach. — Orsag przychodzi z pomocą. — „Łapcie go...”

Marszałek Gabler zniknął, a z ciemnego tła kotary wynurzył się książę Aczorgen.

Broka nie zdziwiło to prawie wcale.

Domyślił się, że Aczorgen sam wyswobodził się z pęt i wrócił do swego pana. Mul er pewnie już wie o zniknięciu księżniczki! — Zaciekawilo go, co za rozmowa potoczy się teraz między Mul erem, spokojnym jak skała, i obłudnym sekretarzem. O dziwo, Aczorgen milcząc obszedł tron dookoła. Potem wszedł niedbale po stopniach, położył na oparcie fotela zsuniętą rękę boga, zdjął mu z ramienia białe piórko i wygładził wąsy.

Brok był zaskoczony. — Czyżby w tym wypchanym worku nie było krwi i tłuszczu? Twarz jest na pewno z tektury, ale czy całe ciało też jest tylko

kuklą? — Więc to nie Muller? — Czemu kłaniają mu się ci nikczemnicy?

— Gdzie jest prawdziwy Muller?

A może go wcale nie ma?

Skąd się bierze ów potężny głos?

Gdzie są jego usta?

Czyżby naprawdę był sparaliżowany? Może ciało Mul era jest martwe, a żyją jedynie płuca i serce?...

Mózg? — Gęba? —

Brok, żeby się przekonać, wskoczył na stopnie tronu. Przyłożył rękę do piersi Mul era. Nie wyczuł jednak uderzeń serca... Przytknął ucho do rozwartych warg. — Cisza.

Jeszcze jedna próba: Ukłuć szpilką w brzuch!

Usłyszał ostry, przeciągły syk jak z przedziurawionej dętki roweru.

Muller na tronie zaczął chudnąć w oczach. Brzuch pomarszczył mu się, główka opadła — pocziwa larwa małała z każdą chwilą. Wreszcie zniknęły zupełnie proporcje ludzkiego ciała. Bóg zamienił się w małą czarną bryłkę.

Książę Aczorgen patrzył na to ze złośliwym



uśmiechem. Nagle, jakby oprzytomniał w jednej sekundzie, zawołał przerażony:

— O panie! — Tutaj jest Piotr Brok!

Wówczas pod sufitem rozległ się głos Mullera:

— Orsagu!

Kotara rozsunęła się i wbiegł ślepy Orsag. — Ręce przy skroniach, soczewki wytrzeszczone niby oczy drapieżnika. Bóg wie, jak długo ukrywał się przygotowany do skoku... Widać było, że Broka oczekiwano w pałacu Mullera! —

Detektyw wstrzymał oddech. Ale nim zdążył uskoczyć w bok, poczuł na gardle ostre pazury.

— Na pomoc! — ryknął Orsag. Pod sufitem huknęła syrena alarmowa. Ktoś zawołał:

— Aczorgen!

Książę nawet się nie ruszył. Żabimi oczami obserwował dziką bójkę na śmierć i życie. Miał przestraszone, zrezygnowane oczka otoczone tchórzliwymi zmarszczkami.

Walczący upadli na podłogę. Orsag kilkakrotnie koziółkował się po puszystym dywanie ściskając niewidzialnego przeciwnika. Brok z wielkim wysiłkiem

uwolnił szyję z pazurów Orsaga, ale za to znalazł się pod spodem. Podczas rozpaczliwego szamotania pozwolił się jeszcze raz chwycić za gardło. Ostatkiem sił wyszarpnął ręce spod kolan przeciwnika, uniósł je do góry i jednym pociągnięciem zerwał mu ze skroni obie soczewki. — Coś zgrzytnęło. Ręce Orsaga rozwarły się i ciało upadło bez życia. —

Brok poderwał się z podłogi. Był właśnie najwyższy czas. Portiera rozsunęła się odsłaniając około pięćdziesięciu żołnierzy w błyszczących hełmach.

Brok uciekał ścigany nawoływaniem:

— Łapać go!

Znowu tęczy most zadźwięczał mu pod nogami jakimś rozpaczliwym akordem. Wśród palm błyskały stalowe hełmy i rozlegały się nieskoordynowane głosy syren alarmowych.

Brok wbiegł do windy i przycisnął guzik 490.

## XL

Piotr Brok chce ochronić powstańców przed gazem „SIO”. — „Napój zwycięstwa”. — Schody są polem walki.

Przede wszystkim trzeba chronić dwadzieścia tysięcy młodych rewolucjonistów przed zmorą starości. A Muller? — I tak mi nie ujdzie! — Piętro numer 100! — Wystarczy przycisnąć guziczek i znowu pojawi się biały pałacyk i głos jego właściciela.

W górę!

Tym razem mechanizm windy zaczął się psuć. Coś wstrętnie skrzypiało, wskazówka skakała jak szalona i podłoga zaczęła się kołysać. Brok doznał zawrotu głowy.

Czyżby powracał mój uprzykrzony sen?

W jednej chwili winda zamieniła się w nosze, na których spoczywał Piotr Brok. Dwóch mężczyzn niesło go w nieznanym kierunku. Widział dwa białe fartuchy, a wszystko dookoła było również białe jak

śnieg... Potem jednak ów śnieg zaczął topnieć i szarzeć, aż wreszcie zamienił się w mrok. — Mrok bez myśli, bez serca, bez mózgu. —

Trwało to tylko moment. — Gwałtowny wstrząs przywrócił Brokowi świadomość. Drzwi się otworzyły... Było to czterysta dziewięćdziesiąte piętro.

Szeroki pasaż przemieniony w obóz wojenny. Po obu stronach długie szeregi namiotów; nawoływania, śmiechy i śpiew. Wszędzie kręcą się żołnierze w przezroczystych hełmach, zamkniętych u góry długimi szpicami. — Noszą oni czarne mundury i czerwone pasy, zza których wystają sztylety, noże i rewolwery. Na piersiach mają skrzyżowane sznury, obwieszane bombami, niczym gałęzie pełne owoców.

Jedni chrapią przed swymi namiotami, drudzy sączą „napój zwycięstwa”, a jeszcze inni bawią się złotymi gwiazdkami, układając je w fantastyczne konstelacje. Ochryplymi głosami sławią odwagę i legendarne zwycięstwa boga Mullera na ziemi, morzach i gwiazdach.

Brok minął kilka korytarzy; wszędzie powtarzał się ten sam obraz: namioty, piosenki, rózańce bomb

owinięte wokół pasa i kielichy mające podsyć odwagę czarnych żołdatów.

Wreszcie za rozwaloną ścianą pojawiły się schody główne. Wyglądały trochę inaczej niż wówczas, gdy Brok ocknął się na czerwonym chodniku. Zniknął on z białych stopni, zroszonych teraz Skrzeplą krwią.

W zasychających kałużach pływały kłęby waty i pozdierane bandaże. Ściany były poryte pociskami. Kawał bariery wyłamany od wybuchu bomby. Elektryczne kule pod sufitem potłuczone doszczętnie. Całe pobojoisko oświetlały olbrzymie reflektory.

W smudze światła Brok ujrzał wysoką barykadę ustawioną z worków, beczek i roztrzaskanych skrzyń.

Panowało tam wielkie ożywienie. Wokół niezgrabnej, pękatej maszyny, przypominającej przedpotopową sikawkę kręciło się mnóstwo żołnierzy. Jedni pompowali, a drudzy podstawiali pod gardziel metalowego węża mieszki i pęcherze. Na grzbiecie tego potwora siedział staruszek Schwarz i wydawał rozkazy. Napelnione balony upychano w skrzynie i beczki.

Brok natychmiast zrozumiał, co się dzieje. —

Schwarz rozwinął tutaj masową produkcję swojego gazu! Sprowokuje natarcie niewolników i się wycofa. Powstańcy zdobędą straszną barykadę, a potem..

Właśnie dlatego tutaj przyszedłem!

Muszę ostrzec Witka z Wilkowic.

Zatrzymać go, zanim będzie za późno!

Brok przelazł przez barykadę i puścił się w górę.

Piętro wyżej rysowały się pozycje niewolników.

Ich barykadę zbudowano z żelaznych walców, stalowych płyt, granitowych głazów, potężnych kół i stojaków bóg wie jakich maszyn. Zwały żelaza i kamieni w wielu miejscach stopiły się w rdzawe skwarki. Rozbite koła i podziurawione walce świadczyły o tym, że barykada stawiała opór atakom miotaczy ognia i płynów żrących.

W jaki sposób przejść przez tę mocną ścianę? — Ogień nie dał jej rady, a co dopiero ja z gołymi rękami... Przecież sięga ona aż do sufitu!

Za kolumną przepaloną strumieniem ognia znajduje się mała furtka wypadowa. — Można ją otworzyć... Potem korytarzyk wewnątrz żelaznego pancerza.

W ten sposób Brok dostał się szczęśliwie do obozu powstańców.

Ciemny plac przekreślało światło pochodni. — Brok współczuł niewolnikom. — Biedacy nie mają reflektorów ani jakichkolwiek lampek... — Coś działo się na schodach.

Pochodnie zataczały bowiem w powietrzu nieregularne łuki, a w ich świetle pojawiały się czerwone kwadraty twarzy ludzkich. Ciała bojowników przykryte łachmanami rozplywały się w ciemnościach.

Brok z trudnością przeciskał się przez tłum z pochodniami. Chciał rozmawiać z Wilkiem. Ale gdzie go szukać?...

Schody kończyły się nagle, a za stertą gruzu ze zwalonej ściany ukazał się korytarz. Oczy Broka przywykały powoli do czerwonego, migotliwego światła pochodni.

## XLI

Prorok 794. — „...ja sam zniszczę żywego Molocha!” — Kwatera główna. — Brok przedstawia się Witkowi z Witkowic.

Za murem, na stercie gruzów, stał starzec oświetlony ze wszystkich stron językami pochodni. Tuż nad jego głową jaśniała wielka dziura w suficie, jakby dopiero co wyskoczył przez nią diabeł. Starzec górował nad rzeszą niewolników, był ślepy...

Brok osłupiał ze zdziwienia. To ten sam ślepy weteran 794, którego spotkał podczas pierwszej wędrówki po schodach. W blasku pochodni wyglądał niczym ostatni apostoł pośród zmaltretowanego tłumu wiernych, zgromadzonych w katakumbach.

— Dziesięć lat czekałem na to, by pewnego dnia otworzyły się drzwi — przekonywał gorącymi słowami. — Człowiek nie mógł się tam dostać!

To był on, Zbawiciel, Dawca Światła!



Zjawił się, by wyprowadzić nas z piekła o tysiącu piętrach!

Biada Mullerowi, po trzykroć biada!

Nadeszła godzina wymiaru sprawiedliwości!

Zbuntujcie się przeciw Mullerowi, zrzućcie jego pęta!

On sam powiedział: Ja wam przywrócę słońce, miłość, tęsknotę i sny!

Wyprowadzę was z niewoli Mullera!

A potem: Teraz idę na dół. Będę tam pracować dla was, żebyście później mogli mi wiernie służyć.

Z tłumu wyrwał się czyjś głos:

— Jeśli twój Bóg jest tak bardzo silny, czemu sam nie zlikwiduje Mullera, żebyśmy bez rozlewu krwi mogli się dostać do Gedonii?

Starzec krzyknął:

— Tchórze! Czyż nie powiedział jeszcze: Schody oświetlą płomienie pochodni, a stropy pękną niby błona bębna przebita nożem.

Nastanie straszliwy rozlew krwi, jakiego jeszcze nie było wśród gwiazd!

Krew nieprzyjaciół jak rzeka przewali się przez

barykady i spłynie ze schodów czerwonym wodospadem.

I znów ktoś zabrał głos:

— Muller obiecuje po śmierci życie na gwiazdach.

A co ofiaruje za grobem twój nowy bóg?

Starzec uniósł do góry palec wskazujący; teraz właśnie przez postrzępiony otwór w suficie zaczynał sączyć się mrok.

Powiedział: — Czyż może was spotkać coś gorszego niż śmierć? Śmierć dobra i cicha, bez majaków, niczym sen niewidomego dziecka.

Ktoś w tłumie warknął:

— Po co myśleć o śmierci, skoro mamy zdobyć Gedonię? Nazartych mieszkańców nieba przepędzimy do góry, na nasze miejsca. Sami będziemy ucztować, rozkoszując się niebem na ziemi.

— Biada wam! — krzyknął prorok. — Chcecie ze swych brzuchów uczynić nowych bogów!

A On mówił: — Wejdziecie do jego kościołów, sypialń i salonów, przepędzicie fałszywych proroków, przekupniów i obzartuchów, a dłonie wasze będą białe jako śnieg.

Powywracacie posągi Molocha, a ja sam zniszczę żywego bożka.

Wiele osób ze wzgardą opuszczało ślepego proroka i przyłączało się do innej gromadki. Górował nad nią inny ślepiec, który opowiadał o rajskich rozkoszach czekających w Gedonii na niewolników.

Brok stał jeszcze chwilę w tłumie obok starca, słuchając z zainteresowaniem jego proroctw. Zdziwił się, jak szybko przebiegły ślepiec potrafił z przypadkowego spotkania stworzyć nową religię powstańców. — W pewnym momencie chciał zdradzić swą obecność i utwierdzić starca w jego wierze, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Doszedł do wniosku, że mógłby tylko opóźnić wykonanie swego zadania; był już najwyższy czas na to, by wrócić na setne piętro i zakończyć wędrówkę.

Tabliczki ze strzałkami wskazały mu drogę do wodza. Po drabinie przedostał się przez kilka okienek w suficie, a wreszcie stanął przed zielonym płótnem.

**KWATERA GŁÓWNA**

Do środka wszedł razem ze spoconym gońcem, który wrócił właśnie z wiadomościami.

Za dębowym stołem siedział pochylony nad mapą pola bitwy Witko z Witkowic razem ze swym sztabem.

Był to wynędzniały młodzieniec o czarnej jak noc, potarganej czuprynie. Miał oczy siwe, usta blade i mocno zaciśnięte, nos wąski i kwadratowy, szczękę energiczną. Palił papierosa za papierosem, nikotyna zażółciła mu koniuszki palców.

— Witku! — wyrzucił z siebie goniec. — Nie udało nam się przebić stropu!

Witko nawet okiem nie mrugnął. Pochylił się tylko nad planem czterysta dziewięćdziesiątego piętra. W jednym z kwadracików umieścił czarną chorągiewkę. Sterczały tam już trzy proporczyki tego samego koloru..

Goniec opowiadał:

— W miejscu, które zaznaczyłeś na mapie, kompania saperów natrafiła na piasek. Przestrzeń pod podłogą sypialni była nim doszczętnie wypełniona. W środku znajdowały się miny. Jedna eksplodowała pod

uderzeniem kilofa. Dwóch braci zabitych, pięciu rannych.

Twarze pochylone nad mapą zasepiły się.

— Przeklęte piętro!

— To już czwarty wypadek.

— Wszędzie tylko piasek i piasek.

— Łotry, całe piętra od podłogi do sufitu zdążyli zasypać.

— Wydaje mi się — powiedział Witko — że to my nauczyliśmy ich rozumu. We wszystkich salach stoją strażnicy. Gdy tylko usłyszą stuk kilofów, biją na alarm i nim zdążymy wywalić dziurę, zasypują pokój piaskiem.

Przybiegł nowy goniec. — Twarz Witka wydłużyła się z napięcia.

— Co?

— Piasek! — wycharczał goniec.

Witko przygryzł wargi, aż wytrysnęła z nich krew. Na mapie pojawiła się jeszcze jedna chorągiewka.

— Nie pozostaje nic innego niż frontalny atak na barykadę. I to jaszcz dzisiaj — powiedział głucho Witko.

Wskazał palcem na drugą mapę. Był to długi arkusz papieru z wyrysowanym przekrojem Mullertonu od fundamentów aż po dach. Przebite stropy i schody główne zaznaczono na nim czerwonymi chorągiewkami.

Generałowie, pochyleni nad planami walki, zaczęli dyskutować:

— To dopiero będzie harówka!

— Do „Wszechświata” jeszcze dziewięćdziesiąt osiem pięter.

— Wody do picia wystarczy nam tylko na sto czterdzieści cztery godziny!

— Wina na sześćdziesiąt godzin.

— Potem przyjdzie kolej na wódki z West-Westeru...

— Proszki nasenne, pigułki i kokainę.

— Źle!

— Uratować mogą nas jedynie samoloty „Wszechświata”.

— Musimy przełamać wszystkie linie frontu, choćby ich było nawet dziesięć!

— Bracie, to jest dziewięćdziesiąt osiem pięter!

— Brutusie! — zwrócił się Witko do jednego z generałów — jeszcze tej nocy zaatakujesz drewnianą barykadę. Drugi pas obrony nie będzie silniejszy od pierwszego, bo czarni szykują się przecież do ofensywy. — Przygotuj na mój rozkaz pięć tysięcy ludzi.

Wtedy odezwał się Piotr Brok:

— Witku z Witkowie!

Wszyscy poderwali się, spoglądając ze zdziwieniem jeden na drugiego.

Brok mówił dalej:

— Odlóż swój atak do jutra. Jeśli ruszysz dzisiejszej nocy, wygubisz całą armię.

Witko pierwszy odzyskał zimną krew. Krzyknął:

— Kto to mówi?

Głos przedstawił się wówczas:

— Jestem Piotr Brok.

— Czy jesteś tym bogiem, którego zapowiada prorok 794?

— Nie bogiem, lecz detektywem. — Przyszedłem cię ostrzec, żebyś dziś w nocy nie atakował barykady.

— Dlaczego?

— Nie pytaj! — Posłuchaj mnie, a jutro się przekonasz.

— Dobrze, odkładam atak...

— A teraz powiedz, czy mamy dzień, czy noc?

— Zbliża się chwila odpoczynku.

— Dziękuję!

Brok zniknął zostawiając przerażonych generałów.



## XLII

Pęcherze z gazem będą na spodzie... — Zielony trójkąt. — Staruszek Schwarz się nudzi. — Brok spada.

We wszystkich korytarzach, które oglądał po drodze, niewolnicy układali się do snu. Główne schody oświetlała tylko jedna pochodnia. Brok szybko minął furtkę w żelaznej barykadzie. Przebiegł niewielką przestrzeń i znalazł się przed linią frontu nieprzyjaciela. Cicho stapał naprzód.

W złotej smudze światła reflektora ujrzał dwóch mężczyzn siedzących na skrzyniach. Jeden z nich, młody chłopak, patrzył ponad barykadą w mrok, a drugi uśmiechał się przez siatkę zmarszczek, pewny swego zwycięstwa. — Był to Schwarz.

— Dziś możesz spać spokojnie — sepleniał starzec, kiwając pomarszczoną główką. — Gdyby nieprzyjaciel zaczął się posuwać, wystrzelimy kilka pocisków. Na pozór będziemy bić się rozpaczliwie

niby lwy o swoje małe. Zostaniemy jednak zmuszeni do ucieczki i wówczas ukryjemy się za ścianą betonową o piętro niżej. Oni tymczasem rozleżą się tutaj jak wszy...

— A gdyby tak odkryli twoje beczki z gazem? To co?...

— Nie odkryją, chłopcze, nie odkryją... Beczulki są wypełnione winkiem, a zanurzone w nim pęcherze będą wydzielać gaz od spodu. Wiele jest antalków zupełnie nieszkodliwych, takich pro forma. Te prawdziwe z gazem kazałem oznaczyć zielonymi trójkątami i ustawić w każdym kącie schodów. Na dany sygnał...

— Dobrześ to, dziadku, wykombinował. Ale jeśli oni rozbiją obóz w innym miejscu... tam, gdzie nie ma twoich beczek?...

— Eee, zielono masz w głowie, obmyśliłem to sobie dokładnie, jeszcze zanim się urodziłeś. Zakwaterują się w pobliżu schodów, tak jak my. Witko będzie ich trzymał krótko, żeby się nie upili w knajpach i barach. Rozumiesz?

— A jeśli będą nas gonić windą?

— Nie gadaj głupstw, kochanie. — Lepiej idź spać... Gdyby Witko znał mechanizm windy, już dawno niewolnicy jeździliby do Gedonii na wczasy. — Nudny jesteś, robaczku..

Rozdziawił bezzębne usta i ziewnął przeciągle.

Brok wykorzystał ten moment. Złapał kłębek waty i wepchnął go w czarny otwór ust Schwarza.

Teraz trzeba było obezwładnić ciekawego chłopca. W jednej sekundzie dostał pięścią w skroń i zwałił się tracąc przytomność.

Tymczasem zasuszony staruszek próbował uciekać z barykady. Brok chwycił go za nogę i ściągnął w dół. Potem związał dokładnie długim sznurkiem.

— Nie bój się, staruszkule — szepnął w wytrzeszczone oczy Schwarza. — Twój gaz ci już nie zaszkodzi... Obawiasz się zestarzeć jeszcze o sto lat?

Później skrępował młodego żołnierza i wepchnął mu w usta knebel. Po cichutku zaczął się skradać do namiotów.

Obóz spał.

Kilku znudzonych wartowników unieszkodliwił

szybko i odważnie. Natychmiast rozpoznał beczki oznaczone zielonymi trójkątami. Od spodu wystawały z nich gumowe rurki, zaciśnięte sznurkami. Brok szybko je rozwiązał.

Kiedy uwalniał ostatni balonik z gazem, pociemniało mu w oczach. W mózg wdarł się boleśnie zielony, nieznosny trójkąt. Czuł, że mdleje. Zerwał się ostatkiem sił.

— Uciekać! — Uciekać! — Zanim się zestarzeję!  
Brok szedł naprzód, zataczając się.

Jeszcze trzy kroki — i winda!

Jeszcze krok — i upadnę! — W ostatniej chwili z bolącym, tępym trójkątem w czaszce wszedł do windy.

Guziczek numer 100! — 100! — 100! —

Brok spadał.

## XLIII

Piętro 100. — Wilk morski opowiada. — „Daleś się nabrać!” — Biblioteka Mullera.

Zdawało mu się, że leży w chłodnym łóżku i patrzy w sufit. Strop jest idealnie biały, tylko pośrodku widnieje zielony trójkąt. Niezwykle ostry, nieznośnie zielony, boleśnie ugniata czaszkę. Wydaje mu się, że boki trójkąta są ze stali, a ktoś chce wtłoczyć jego okrągłą czaszkę między te stalowe ramiona. Oh, gdyby go tu nic było... Jakże tutaj pięknie! Sufit biały niczym cukier — czujesz wprost słodycz na języku. Mleczna żarówka wisi jak senny pęk lilii wodnej.

Raptem wstrząs! Brok odzyskał przytomność. —

Co się stało?

Aha, piętro 100.

Otwarte drzwi windy, gaj palmowy, grający mostek barwny jak tęcza.

Brok chciał już nań wbiec, ale w ostatniej chwili się zatrzymał.

Nie można.

Zdradziłby swą obecność.

Muller natychmiast by poznał, że ktoś nieproszony wchodzi do jego rezydencji. To nie jest zwyczajny most — tylko łuk spleciony ze strun harfy, na których pod oknami pałacu Mul era musi zagrać każdy przechodzień...

Nie pozostało nic innego, tylko czekać. — Przyłączyć swoje kroki do kroków innego człowieka. — Ale kiedy to nastąpi?...

Nie stał zbyt długo. — Żwir zaskrzypiał na ścieżce i wśród palm pojawił się — lord Humperlink! Rzeczywiście, był to wilk morski! Brok najmniej spodziewał się właśnie jego! Skąd się tu wziął? — Wspomnienie księżniczki na nowo wypełniło mu czaszkę. — Co się z nią stało?

Lord Humperlink bez wahania wkroczył na most. Brok posuwał się w ślad za nim, stawiając kroki w tym samym tempie, co wilk morski. — Most zagrał tęsknie, a jego dźwięk wygasał jeszcze w momencie, gdy zatrzymali się przed bramą pałacu.

Wilk morski pośpiesznie i ze wstrętem poddał się

zabiegom poprzedzającym audiencję. Założył wreszcie czerwoną togę i stanął przed tronem.

Nadmuchany na nowo Ohisver Muller siedział na swym miejscu z obwisłym brzuchem i biblijną brodą pod przyjaźnie uśmiechniętymi ustami.

— O panie! — zawołał Humperlink bijąc czołem o dywan. — Wykonałem twój rozkaz.

— Jaki rozkaz? — Głos wydobywał się z wnętrza figurki.

— Księżniczkę Tamarę odwiozłem do państwa morawskiego.

Brok odetchnął z ulgą.

— Czy to ja kazałem? — krzyknął groźnie Muller.

— Usłuchałem tego, co mi polecił twój głos, panie.

Wilk morski opowiedział pokrótce o tym, jak usłyszał rozkaz: początkowo nie wierzył, wybiegł na korytarz z rewolwerem w ręku, polem jednak usłuchał, był przeświadczony bowiem, że GŁOS wydobywał się spod sufitu.

— Dałeś się nabrać! — wrzasnął wściekle Muller.

— Haniebnie dałeś się nabrać, wilku morski z oślimi

uszami! Wykonałeś rozkaz diabła, a nie mój! — Goń ją natychmiast! Zaalarmuj całe lotnictwo. Weź je pod swoją komendę, ale bez Tamary nie wracaj.

Lord Humperlink zniknął. W komnacie pozostał tylko Brok. — Zrozumiał, że musi natychmiast działać, bo księżniczce grozi wielkie niebezpieczeństwo...

Skończyć, skończyć swój plan!...

Odnaleźć Mullera!

Zrewidować pałac!

Zbadać wszystkie sale, wszelkie zakamarki, opukać ściany, podłogi i stropy — — —

Jak kot skradał się do czarnej kotary, stanowiącej tło królewskiego tronu. Rozsunął ją i ujrzał szklaną ścianę, rozdzielającą komnatę na dwie połowy. Przedostał się przez skrzypiące drzwi na drugą stronę. Druga część pokoju miała zupełnie inny wygląd niż ta, w której stał tron.

W dzikim bałaganie i charakterystycznym żołdackim zaduchu spało chyba z tuzin zwalistych, na wpół rozebranych mężczyzn o gołych, umięśnionych twarzach starożytnych Rzymian. Ich przezroczyście hełmy i pancerze walały się po podłodze, pomiędzy



materacami.

Była to gwardia przyboczna Ohisvera Mullera!

Piotr Brok minął tę salę na palcach. — Długi, wąski korytarz, kręte schodki wiodące w górę i znowu drzwiczki!

## BIBLIOTEKA

Cztery ściany od podłogi do sufitu wybrukowane wąskimi i grubymi grzbietami tomów. Niektóre były tak szerokie, jak pnie starych dębów, właściwie zatraciły już wygląd książek.

Patrzcie — biblioteka Mullera.

To znaczy, że Muller jest gdzieś w pobliżu. Brok zajrzał do kilku książek, porzucanych na stole.

Hymny i ody  
na cześć nieśmiertelnego  
Mullera!

Modlitwy i nabożeństwa  
do najwyższego boga Mullera!

Jak Ohisver Muller zdobył świat.  
Wielka historia

Ohisver Muller podbija gwiazdy.  
Dzieje Wszechświata

Niebo i piekło Ohisvera Mullera

Tysiąc twarzy Ohisvera Mullera

Przewodnik po Mullertonie

Gedonia i jej atrakcje

O kochankach Ohisvera Mullera  
czyli o miłości bliźniego

Ohisver Muller — bóg i człowiek  
Filozofia

Brok doszedł do wniosku, że ta straszliwa

powódź książek, ustawionych na tysiącu półek, jest poświęcona bez reszty owej tajemniczej istocie. — Im bardziej się do niej zbliżał, tym gwałtowniej wzrastała jego ciekawość. — Jak wygląda? — Kto to jest?...

## XLIV

„O torturowaniu kwiatów”. — Ohisver Muller  
bawi się w pokoju dzieciennym. — Skarbiec. —  
Gumowe larwy.<sup>1</sup>

Następny pokój.

Szklane gablotki, a w nich srebrne modele  
nieznanych, niespotykanych maszyn i narzędzi. To  
chyba instrumenty tortur, wynalezione i skonstruowane  
z mistrzowskim wyrafinowaniem? Wydaje się  
Brokowi, że pewne mechanizmy są przeznaczone  
raczej do dręczenia zwierząt, ptaków i owadów a nie  
dla ludzi!

Na stole w naczyniu z żółtym, śmierdzącym  
płynem stoi bukiecik szerniałego bzu.

Obok leży książka:

O TORTUROWANIU KWIATÓW  
NAPISAŁ OHISVER MULLER

Brok przerzucił pierwszą kartkę:

W jaki sposób zamęczyć różę

Zaczął czytać:

„Rozkwitłą białą różę można oddzielić od krzewu przy pomocy ognia. - Płomień tak długo będzie trawił łodygę, aż się zwinie i odpadnie. Potem nałoży korzeń oskrobać jakąś skorupą, aż do nasady kwiatu, i włożyć rośliną do naczynia z gotującą wodą. Dolać mocnego roztworu kwasu solnego. Polem można włączyć aromatometr i obserwować raptowny spadek krzywej zapachu. Jeśli umieści się w pobliżu aromaton, wówczas usłyszy się słabutki płacz męczzonego kwiatu. Barwa kielicha blednie, potem staje się fioletowa i róża gubi płatki. — Zostaje tylko słupek...”

To tak wygląda dusza Ohisvera Mullera? Czy to

szaleństwo, czy perwersja? Oto w wazonie lilia zarażona chorobą plamistą. — Biała chryzantema pod szklanym kloszem uduszona oparami nikotyny! — Czerwona piwonia zatopiona w alkoholu ze słupkiem przekłutym zatrutą igłą.

Co prawda, tego rodzaju torturowanie kwiatów jest nieszkodliwą zabawką, świadczy najwyżej o infantylności zwyrodniałego kretyna. Ale filigranowe maszyny, zdradzające swój straszliwy cel, są przecież narzędziami tortur dla istot żywych.

Uciekając z tej straszliwej sali Brok osłupiał, znalazł się raptem na progu dzieciennego pokoiku.

Kontrast nie do wiary! Czarująca atmosfera dzieciennych snów! Łóżeczko z siatką... Na barwnym dywanie rozłożone kolisko szyn i długi pociąg w pobliżu blaszanego dworca. Jest tam tunel, most i zwrotnice. — Nieco dalej — rozrzucone klocki, kościół dopiero co rozpoczęty, którego budowę ukończy się po kolacji. Czerwona latarnia magiczna ze szklanymi obrazkami. Dziecinna drukarnia i arkusik papieru zapisany coraz mniej wyraźnymi literami: Ohisver Muller... Ohisver Muller... Ohisver Muller...

Czy to możliwe, by przeklęty tyran i inkwizytor miał synka Ohisvera? A może tylko z sentymentu niespotykanego u ludzi tego pokroju zorganizował świątynię swej młodości? — Pewnie sam puszcza pociąg i wyświetla obrazy na ścianie?

A więc obok dzieciennego musi być pokój z maszyną do szycia i podobiznami członków rodziny, sypialnia lub kuchnia z piecem i półką zastawioną świecącymi rondlami.

Następna sala była czerwona i zupełnie pusta. Na środku stał tylko okrągły stół z kryształową wazą, wypełnioną przezroczystą cieczą. Pływało w niej serce ludzkie...

Inny pokój — niebieski. Znów kryształowa waza z wodą, a w niej para błękitnych ludzkich oczu.

Brok niczemu się już nie dziwił. Szybko mijał następne sale. Wpadł do śmierdzącej izby, gdzie biegało, miauczało i piszczało mnóstwo kotów. Z kociego gniazda dostał się do wspaniałej komnaty wypełnionej nieprzebranymi skarbami.

Kupione, skradzione i wyszabrowane korony cesarzy i królów, złote berła, jabłka, monstrancje,

szaty liturgiczne z Watykanu, z buddyjskich świątyń i klasztoru Dalaj Lamy.

Oprawione w złoto diamenty, wielkie jak gęsie jaja, tworzą ramy płócien starych mistrzów, przywiezionych ze znanych galerii zbankrutowanej Europy.

Sztaby platyny, złota, solium i radu.

Stery pierścieni, łańcuchów, naszyjników.

Beczka pełna złotych zegarków!

Skrzynia kolczyków!

Szereg worków z dukatami ze wszystkich państw świata...

Na środku czarny, okrągły otwór otoczony balustradą. Brok, żeby zbadać jego głębokość, wziął sztabę złota i wrzucił do środka. Potem liczył i słuchał. Cisza! —

Spostrzegł na skraju przepaści elektryczny kontakt. Przekreślił go i wówczas dół oświetlił się aż do dna. — Zrozumiał: było to wejście do gigantycznego, stupiętrowego szybu, który tworzył fundamenty Mullerdomu. Ta piwnica została przemieniona w olbrzymią kasę, w której Muller



gromadził swoje łupy ze wszystkich krańców świata.

Ze skarbcza Brok przedostał się do szatni.

Kilkupiętrowe rusztowanie, zbudowane z wieszaków, w wielu miejscach wypełniała straszliwie tandetna garderoba. Wisiały tutaj: błyszczące mundury generałów, nienaganne garnitury giełdźiarzy, habity mnichów i biskupów, pasiasty trykot marynarzy, cowboyskie kapelusze o szerokich rondach, cylindry, czapki apaszów, połatane łachmany włóczęgów i białe prześcieradła straszydeł. — O dziwo, to wszystko uszyto dla zupełnie małego, filigranowego człowieczka o wąskich ramionach i krótkich nóżkach. W niektórych ubraniach wywatowano ramiona, gdzie indziej wypchano brzuch, znalazła się również marynarka z naszytym sztucznym garbem. —

W kącie sterczały laski nabijane srebrem i żyletkami, baty, nahajki, szable, miecze, szczudła, pastorały biskupie i kule dla kalek. W skrzyni: fajki, okulary, sztuczne zęby, uszy, nosy, peruki. Nieco dalej gumowe protezy na sprężynach.

Najsilniejsze wrażenie wywoływał szereg stojaków z wypchanymi głowami, na które naciągnięto

ludzkie twarze.

Była to bardzo umiejętnie spreparowana skóra złupiona z czaszki razem z brwiami i brodą! — Puste, jakby gumowe larwy, które naciągnięte na twarz dawały zupełnie inny wygląd — —

Co za możliwości charakteryzacji! — Twarz dawno zmarłego człowieka można założyć jak kapelusz! — Nic dziwnego, boski Mullerze, że nikt cię nie może poznać! Spacerujesz po piętrach jako generał, kaleka bez nogi, gruby makler ze złotym łańcuszkiem lub garbaty błazen — ale kim ty właściwie jesteś?

Brok zatrzymał się na progu następnego pokoju.

W zardzewiałej klatce stało drzewko o kilku żalonych konarach, przypominające rozsypującego się kościotrupa. Na jednej gałęzi bujała się wstrętna małpa — orangutan!

Brok cofnął się w pierwszym momencie. Myślał, że małpa go zauważyła. Kiedy stanął na tle kotary, wyszczerzyła do niego swe szerokie, porcelanowe zęby. Wkrótce odnalazł jednak straconą odwagę. Na palcach prześliznął się pod dwoma wysuniętymi kłami

orangutana.

Wreszcie dopadł klamki następnych drzwi.

Uchyłał je lekko i cicho, prawie niedostrzegalnie. Trwało to długą chwilę. Potem przekroczył próg i zamknął drzwi za sobą.

---

<sup>1</sup> larwa — tu: maska.

Maszyna do podglądania całego świata. — To jest On! — Czaszka w odległości wyciągniętej ręki. — Głosy z giełdy.

Rozejrzał się i wstrzymał oddech z przerażenia.

Ogromna, niebywale skomplikowana maszyna rozpierała się w półkregu zajmując całą przeciwległą ścianę. Brok zadrzał na jej widok! — W pierwszej chwili dziwaczny zlepek chwiejących się spiral, guzików, rurek i fosforyzujących tarcz zegarów spływał w jeden zaskakujący obraz. Dopiero potem Brok zaczął odróżniać detale.

Dostrzegł niezwykle długą klawiaturę przypominającą gigantyczne pianino. Jej owalne klawisze różnej wielkości miały bezkrwistą kruchość palców o wypiełgnowanych paznokciach.

W chwili gdy oglądał nieprzeliczoną ilość piszczałek, stanął mu przed oczami obraz szklanych organów. W maszynie można było wyróżnić wiele

przedziwnych kształtów, które powtarzały się z denerwującą dokładnością po tysiąc razy. Tysiące klawiszy, dzwoneczków, lampek, wypukłych gałek; chwilami przebiegały wśród nich szklane ogniki, niby tajemnicze sygnały wysyłane z kocich oczu.

Pośrodku tego organizmu, przypominającego swą symetrią ołtarz jakiegoś straszliwego boga, błyszczą biała tarcza, podobna do wielkiej hostii oprawionej w dziwaczną monstrancję. Pod tarczą stoi głośnik w kształcie kielicha z drogiego kruszcu.

Naprzeciw ołtarza, tyłem do Broka, siedzi ktoś w głębokim fotelu. Widać mu tylko pukiel rudych włosów.

Brok wstrzymał oddech.

Czy to Muller?

Małutki karzełek drzemie na dnie klubowego fotela. A może to jakaś dziewczynka z rudymi włosami? — Nawet głowa nie wystaje jej zza oparcia fotela...

Brok na palcach obszedł krzesło dookoła.

Ujrzał małego, zaszuszonego człowieczka o odrażającej twarzy. Obwisłe policzki utworzyły po

obu stronach ust dwie zmarszczki. Dolna warga, zsiniała i martwa aż do dziąseł, zwisała bezwładnie w dół. Długie rude wąsy złączyły się z brodą i niby dwa cienkie postronki spływały aż do pasa.

A nos? Nos ma wyraźny zarys sępiego dzioba. Przypomina skorupę ślimaka. — Jest mocny i wytrzymały jak łuk mostu. — To łuk nienawiści, ironii, zemsty i zwycięstwa nad światem.

Ohisver Muller!

To właśnie jest On!

Zasuszony, pożółkły staruszek, pogrzebany za życia na dnie klubowego fotela niczym w pękniętej trumnie.

Uszy z kępkami włosów i zsiniałymi koniuszkami. — Czy to przed nimi drżą ze strachu i milkną wszystkie usta w Mullerdomu?

Para zielonych, wilgotnych, rozbieganych paciorków, wokół których skupiły się wianuszki zmarszczek — czy to owe wszechwidzące oczy, co potrafią w jednej chwili zajrzeć do tysiąca pięter i stu tysięcy pokoi?

To w tej czaszce zrodził się potworny sen o niebie

i piekle na ziemi?... Teraz znajduje się ona przede mną w odległości wyciągniętej ręki. Mógłbym ją natychmiast zniszczyć — zdeptać i rozwalić to gigantyczne głupstwo na tysiąc części!

Ohisver Muller chce kichnąć. Przykłada więc do nosa rękę i zakrywa dłonią usta. Brok uważnie obserwuje, co się stanie. Widzi, że ów wspaniały bohaterski nos zostaje mu w palcach. Na jego miejscu pojawia się mały nos — dwie zwykłe dziurki wydrążone w kulce, przyklejonej pośrodku twarzy. — Brok stwierdził, że jest to ta sama twarz, którą ujrzał w okienku, kiedy mdlał w lustrzanej kuli — —

Bohaterski nos wraca na swe miejsce.

Czemu owe zielone oczy, pływające w kołach zmarszczek, wpatrują się tak uparcie w błyszczącą tarczę?

Co to jest?

Lustro?

Lustro, ale jakieś dziwne! Posiada srebrzystą, przezroczystą głębię, choć nie odbija się w nim ani jeden przedmiot ustawiony w pokoju.

Zwierciadło jest puste!

Lśniaca głębia i nic poza tym — — —

Raptem dno zwierciadła pociemniało i przybliżyło się — Brok ujrzał coś szarego i drgającego nieustannie, jakby obserwował mrowisko przez wielkie szkło powiększające. Potem, w miarę jak lupa wydłużała się coraz wyraźniej, zarysowywały się ciemne kontury.

Wreszcie Brok o mało nie krzyknął z wrażenia.

Giełda! —

Rzeczywiście była to giełda widziana z lotu ptaka.

Detektyw przypomniał sobie szklane oko umocowane na suficie...

Zobaczył salę z Atlasem dźwigającym swój ciężar i mnóstwem czarnych cylindrów — —

Człowiek poruszył swą maszynę szczupłymi palcami.

Coś wrzasnęło, jak kotka w parną noc marcową. Potem nastąpiła chwila ciszy, a wreszcie odezwał się kielich na środku ołtarza.

Piotr Brok natychmiast poznał, że jest to głos giełdy.

Chaos tajemniczych szeptów, krzątania i



nerwowych okrzyków zbijał się w jedną bulgoczącą kulę, po której przesuwały się fraki, twarze i cylindry.

Ręka Mullera ponownie dotyka jakiegoś klawisza. Kula kruszy się i z powodzi dźwięków wyodrębnia się pewien dialog:

— Kupił?

— Stracił!

— Złe czasy!

— Wartość mulldora spadła...

— Ile?

— 25!

— Ooo!

— Pssst!

Teraz znów inne głosy:

— Co teraz?

— 99!

— A jutro?

— Ka — wa...

— Przeklęty głos!

— Uciekł!

— Zabił Orsaga!

— Wyrwał mu oczy!

— Kto?

— Głos!

— A Muller?

— Pssst!

Jeszcze jeden duet:

— Białe spadają...

— Czarne spadają...

— „WSZECHŚWIAT” zbankrutował!

— Księżniczka uciekła!

— On ją porwał..

— Kto?

— Głos!

— A co na to nasz pan i chlebodawca?...

— Dostyc tego dobrego! — Zbliża się koniec!

— Pssst!

— Czego się bać? Zjawilo się coś silniejszego od

Mullera!

— „WSZECHŚWIAT” zdemaskowany!

— Bóg też zdemaskowany!

— Krach na giełdzie!

— Kto zwyciężył? —

— Pssst!

— Weź ten paluch od ust! Muller musi upaść!

— Musi!

— A kto zwycięży...

— On! —

— Głos! —

## XLVI

„Herr Erlebach!” — Przemawia garbusek. —  
„...Z wielbłąda stanę się człowiekiem!...” — Do  
Gedonii!

W tym momencie Ohisver Muller uniósł się leniwie z fotela i sięgnął niedbale do klawiszy, jak gdyby chciał przerwać jakąś uprzykrzoną melodię. Potem z kamiennym spokojem zawołał w stronę kryształowego kielicha:

— Herr Erlebach!

Z tła czarnobiałej mozaiki fraków i gorsów wydobyły się dwie postacie. Brok ujrzał je na srebrnym ekranie z twarzami wykrzywionymi ze strachu.

— Herr Erlebach!

Jedna z nich padła na podłogę i wyciągnęła ręce ku górze.

— Litości! Litości! — jęczał głośnik.

Ohisver Muller powiedział z niezmaconym

spokojem:

— Herr Erlebach! — 95! — 64! — czerwone lustra, drzwi 7!

Ekran przysłoniła biała mgła, a po chwili jego tarcza znowu się rozjaśniła. Srebrna głębia przybliżyła się w mgnieniu oka. Pojawił się hotel-karczma „ELDORADO!”. Za dębowymi stołami, pod mlecznymi lampionami z czaszek przedpotopowych siedziała kompania awanturników. Ich profesję poznał Brok podczas wędrówki uliczkami West-Westeru —

Ze znajomych był tam garbus Czulkow, bezręki bandyta Garpona, olbrzym, który schwytał Broka w siatkę, a także przybity i pobity generał Grant, doskonale dostosowany do otoczenia swym ubraniem i sposobem bycia.

Przemawiał garbusek:

— Kto z was go złapie? Czy ty, Garpono, zabijesz go gołymi rękami? A może ty, sekretarzu, podsuniesz mu różę Schwarza, przepojoną starczą chorobą? — Czy możesz mu zaszkodzić swoim napojem podniecającym, drogi Murnogu? — Znasz jego wiek? Chcesz, żeby zwariował z miłości do

księżniczki Tamary? — Eech, wszyscy ze swoimi gazami, proszkami i pigułkami nadajecie się na śmietnik! Jesteście ślepi, tak jak ja, jak wszyscy, jak — jak — Kto go złapie? — Kto?

— To nie jest człowiek!

— To bóg!

— Czy bóg pozwoli schwytać się w siatkę?

— Jeden jest tylko bóg — Muller!

— Ale diabeł jest od niego silniejszy!

— Silniejszy od Mullera?

— Pssst! —

Wszyscy wokół stołu jak na komendę przyłożyli palce do ust. Garbus przemawiał dalej:

— Tchórze! Jeszcze nic zrozumieliście sytuacji? Wszystko jedno czy to bóg, czy człowiek, ale jest silniejszy od naszego Mullera. Dlatego musimy zmienić chorągiewkę, póki czas. — Przyłączmy się do silniejszego! Precz z Mullerem!

Ohisver Muller jeszcze raz wynurzył się z fotela. Zagrał na wydłużonej klawiaturze kilka niedosłyszalnych akordów i przyłożył usta do kryształowego kielicha:

— Sudar Czulkow!

Pięciu mężczyzn zerwało się od stołu, wywracając szklanki i stołki. Strach zamarł na ich twarzach.

Tylko Czulkow został na miejscu. Odsunął się troszeczkę od stołu, aż zatrzeszczały nogi krzesła. Schwycił kielich i cisnął nim w sufit. Oczy zebranych śledziły z napięciem każdy jego ruch.

Piotr Brok myślał, że karzełek wybuchnie złością, rozwali boki fotela i ryknie jak kula na froncie.

Ale nic podobnego nie nastąpiło... Wydawało się, że ten człowiek nic ma ani nerwów, ani złości. Nieludzko monotonnym, prawie sennym głosem mruknął w mikrofon:

— Sudar Czulkow! — 95! — 64! — Czerwone lustro, 7 drzwi!

Brok z napięciem obserwował drżącą ze zdenerwowania i buntu twarz garbusa.

Widział, jak Czulkow uderzył pięścią w stół i krzyknął wyzywająco:

— Nie pójdę! Nie pójdę! — Przez cały czas harowałem dla ciebie! Teraz nawet palcem w bucie nie kiwnę. — Wykończyłem starego Galia, a ty jak mi się

za to odwdzięczyłeś? — Pięćdziesiąt tysięcy gwiazd no tak, boski podarunek. — Co wieczór im się przyglądam i pieję z wściekłości. — Nawet do Gedonii mnie nie wpuściłeś, ojczyźnie niebieski. Obiecałeś, ale nie dotrzymałeś słowa! — Ale ja sam się tam dostanę, bez twojej pomocy, pluskwo śmierdząca! Swoje pięćdziesiąt tysięcy gwiazd schowaj sobie pod materac, kiedy będę chciał, to sobie na nie popatrzę. — Gwiazdami możesz wypłacać innym osłom, rudy diable! Dzisiaj z wielbłąda stanę się na nowo człowiekiem! —

Niespodziewanie wyzwolona odwaga z pewnością poniosłaby jeszcze bardziej garbusa, ale Muller jednym pociśnięciem guziczka przerwał potok jego wymowy. Zbuntowany Czulkow zniknął pod mglistą powłoką.

Potem na ekranie pojawił się inspektor policji. Muller dyktował mu:

— Piętro 411 — West-Wester, hotel „Eldorado”  
— Zaarestować Sudara Czulkowa! Zamknąć w czerwonych lustrach 95, 64, 7!

I znowu rozplywa się mundur policyjny. Ohisver



Muller jeszcze raz naciska klawisze. — Ze szklanych organów dobiegają przeciągłe krzyki dzieci; płacz i kwilenie jak podczas rzezi niewiniątek. — Właśnie tak samo wrzeszczały koty w swym pokoju. Czy istnieje jakiś związek między nimi a diabelskim ołtarzem?

Patrzcie!

Szereg zielonych, wytrzeszczonych gałek w maszynie fosforyzuje tak, jak ślepią tysiąca kotów w ciemnym pokoju...

Wkrótce umilkła kocia muzyka i ekran wypełniło jasne światło. Brok zobaczył obóz wojenny. — Film przesuwał się po polu bitwy oglądanym z lotu ptaka. Pokazał barykadę, minął martwy odcinek między dwiema pozycjami wojsk, uchwycił drewniane fortyfikacje czarnych żołnierzy i zawędrował do obozu pogrążonego we śnie.

Nagle na twarzy Mullera pojawił się niepokój. Kryształowy kielich zahuczał głosem granatów, płonących wiechci, rozpryskującej się siarki i bomb. Wielkie oko ukazywało teraz dokładnie rozpaczliwy atak niewolników na zdradziecką barykadę. Drewniana ściana ze skrzyń i beczek w jednym

momencie pokryła się błękitnymi ognikami. Języki płomieni chwyciły się drzewa i smoły. Syczała wrząca woda wyrzucana ze strażackich sikawek.

O dziwo — barykada była zupełnie martwa! Nikt się nie pojawił na jej szczycie ze sztandarem! Aż śmieszne, z jaką wariacką brawurą atakowano barykadę całkowicie pozbawioną obrońców! Niewolnicy prą naprzód zaślepieni własnym szaleństwem. We własnym ogniu i huku bomb dostrzegają widmo krwawego nieprzyjaciela. — Ale w rzeczywistości nigdzie go nie ma! —

Piotr Brok z takim samym napięciem jak Muller obserwował bohaterskie zdobycie pustej barykady.

---

Co za niespodzianka!

Kilku samotnych staruszków kuli się w kącie ze złożonymi błagalnie rękami. Zdobyty obóz przedstawia żalospny obrazek wygasłej energii, wpadniętych ust, sterczących kości policzkowych i wykrzywionych kręgosłupów.

Armia łysych, bezzębnych starców pokrytych siateczkami zmarszczek czołga się na kolanach na

spotkanie zdobywców. Pod nogami przewalają się im kłęby włosów, bród i wąsów, jak gdyby właśnie w tym miejscu wyleciała sfora psów. Nawet poźółkle i zsiniałe ludzkie zęby zaścielają podłogę niczym czarcie nasienie.

Z głośnika płynie wesoły jazgot, narzekania i jęki; można je uchwycić, ustawiając odpowiednio spiralę maszyny:

- To On! — To On!
- Piotr Brok!
- Detektyw!
- Bóg!
- Ten, o którym mówił prorok!
- Nasz nowy bóg!
- Zrobił cud!
- Jest z nami!
- On!
- Bóg i detektyw!
- Cicho! Cicho!

Nad opadającą falą okrzyków zatrzepotał donośny głos:

- W górę! — Na schody! — Już są wolne!

I znów okrzyki:

— Zwycięstwo!

— Naprzód!

— Śmierć pasożytom!

## XLVII

General Ox. — „...pułapka za pułapką!” — Muller proponuje Brokowi stanowisko boga w Mullerdomu. — „Oto moja odpowiedź!” — Brok pod klawiaturą — —

Dopiero wtedy Ohisver Muller zerwał się z fotela i otwartą dłonią uderzył w klawisze.

W zielonych gałkach coś błysnęło kilkakrotnie i dzika kocia symfonia zaświdrowała Brokowi w uszach. Na ekranie pojawił się nowy obóz pełen młodych i wesołych żołnierzy.

Brok w mig ocenił sytuację. —

Ohisver Muller chce pchnąć do szturm armię rezerwową! Zamierza zatarasować przejście i powstrzymać napór niewolników!

Teraz nadszedł właśnie moment, by przekreślić plany Mullera. — Brok usłyszał już i zobaczył wszystko, co chciał. Rozszyfrował tajemnicę wszechwiedzącego boga, pozostaje więc tylko. .

Ohisver Muller przyłożył wargi do głośnika, by wydać rozkaz. W tym momencie Brok chwycił go za brodę i zasłonił mu usta.

Człowieczek ugryzł detektywa w rękę i tak dziko wrzasnął, aż Brok ze strachu puścił go wolno. Rudy karzelek zaczął dreptać po pokoju; w jego ruchach było coś tak niebywale karykaturalnego, że Brok dostał na całym ciele gęsiej skórki. Wytrzeszczonymi oczami śledził każdy jego skok, a kiedy Muller zbliżył się do maszyny, wyszarpnął sztylet.

— Odejdź! — krzyknął. — Odsuń się, bo zabiję!

— Zabijesz? — zaskrzeczał śmiejąc się staruszek.

— Jeśli mnie dotkniesz, zginiesz razem ze mną! — Cały Mullerdom się wywróci...

Dwiema rękami dopadł klawiatury, jakby chciał piekło wyrwać ze snu i sprowadzić na pomoc!

Brok opuścił sztylet, pochłonał go nowy obraz przewijający się na ekranie. — Był to widok schodów, po których na łeb na szyję pędziła armia niewolników. Nad zawziętymi twarzami, upojonymi niezwykłym zwycięstwem, powiewał sztandar w krwawe kropki, niby skóra ludzka usiana ranami.

Lawina nie napotykając na przeszkodę zajmuje piętro po piętrze. Pędzi w dół przy akompaniamencie śmiertelnej ciszy kryształowego głośnia.

Muller gapił się przez kilka sekund, a potem przerwał film ze strasliwym przekleństwem. I znów na ekranie pojawił się wesoły, gwarny obóz.

Palce Mullera gorączkowo sięgnęły do klawiszy.

Krzyknął:

— Generał Ox!

Brok zdążył jeszcze odepchnąć go od mikrofonu i chwycić brutalnie za brodę.

Przewlekł błyskawicznie jeden koniec wąsów przez poręcz fotela i związał z drugim na mocny, potrójny supeł.

Muller szalał i ciskał rozpaczliwie całym ciałem jak szarańcza z przytrzaśniętymi skrzydłami. Jego usiłowania wydobycia się z hańbiącej pułapki zadziwiły Piotra Broka. Widział, jak staruszek gryzł węzeł, szarpał rudą pętlę, a wreszcie próbował wyrwać wąsy z ciała.

Wreszcie udało mu się przegryźć wąskie pasmo włosów przy samym suple. Wyprostował się pomалу

— był zawstydzony jak chłopiec po otrzymaniu batów.

Brok tymczasem usadowił się wygodnie w jego fotelu. Założył nogę na nogę i powiedział patrząc kątem oka na Mullera:

— A więc, panie Muller — oko za oko, pułapka za pułapkę! Nie przyszedłeś na spotkanie w sali 99 (gdzie jest twoje boskie słowo?) — musiałem przeto tutaj ciebie odwiedzić, żeby na zakończenie trochę porozmawiać!

Trudno było odgadnąć, co w tym momencie malowało się na twarzy Ohisvera Mullera oprócz karlej szpetoty. Jego palce wystające z szerokich mankietów — niby uschłe pręciki w zwiędłym kielichu — wskazały Brokowi krzesło:

— Piotrze Broku! — Proszę siadać!

— Już siedzę! — uśmiechnął się Brok. — Pewnie masz mi coś do powiedzenia?

— Piotrze Broku! — Uznaję twoją siłę i władzę wpływającą stąd, że jesteś niewidzialny. Niezależnie od tego, czy ludzie uważają cię za boga, czy też za kogo innego, jesteś tak samo niezwyciężony jak ja. —



Piotrze Broku, proponuję ci zgodę! Ofiarowuję swoją przyjaźń. Oczywiście określimy warunki i zagwarantujemy je przysięgą. — Posiadasz swoje tajemnice, tak jak ja. — Moją zagadką jest Mullerton. — Wiem, w jaki sposób do niego trafiłeś. Znam wszystkie twoje kroki. Wiem doskonale, że nie jesteś bogiem. Złapałem cię w sieć olbrzyma Masticza. Bogowie nie zachowują się tak jak ty, nie uciekają i nie kryją się po kątach... Nie jesteś bogiem, ale ja mogę cię nim uczynić!

Broku, posłuchaj! Proponuję ci stanowisko boga w Mullerdomu. Zrobię cię bogiem swego świata! Ja będę władcą, a ty bogiem! Podzielimy się całym państwem. Dam ci połowę swoich skarbów! A jeśli będziesz mi wierny, uczynię jeszcze więcej! — Ramię w ramię będziemy dalej budować Mullerton jeszcze wyżej... podciągniemy go aż do nieba, na przekór całemu światu!

Muller wyciągnął rękę w kierunku fotela.

— Chcesz?

Brok napluł mu na dłoń:

— Oto moja odpowiedź!

Ohisver Muller wytarł rękę o zieloną kurtkę i powiedział ze złowieszczym spokojem:

— Piotrze Broku, widziałem, jak przebudziłeś się na schodach. — Słyszałem twoją rozmowę ze starcem 794. — Wiem dużo więcej, niż zdradziłem ci w tej chwili! Ty znasz tajemnicę „WSZECHŚWIATA”, a ja tajemnicę twoich snów! — Nie jesteś bogiem, tylko wstrętnym majakiem, który traktujesz jak realną rzeczywistość. — Broku, czy masz jeszcze odwagę walczyć z Ohisverem Mullerem? Jeśli ty będziesz milczał, ja również nie pisnę ani słowa... Patrz! —

Muller pokazał dłoń.

Brokowi ze strachu pociemniało w oczach.

Ujrzał zielony trójkąt...

Zacisnął szybko powieki. Już za późno... Trójkąt wdarł się w mózg, ostrymi końcami wbił się w skronie i ciemię —

Brok odzyskał przytomność na krótką chwilę. Ujrzał Mullera, jak siedział w swym fotelu i ciskał rozkazy w kryształowy mikrofon.

Zacisnął pięści i wyczuł palącą rękojęść sztyletu. — Zrozumiał, że oprócz noża ma w ręce jeszcze

resztki siły — ale tylko na krótką chwilę!

Uniósł rękę i błyskawicznie opuścił w dół. — Stał przeszła przez plecy Mullera i utkwiała w sercu.

Gdzieś w oddali rozległ się straszliwy i ogłuszający łoskot, jakby Księżyc wyskoczył ze swej orbity i spadł na Ziemię. — Ściany, podłoga i sufit z hukiem przewracały się na jeden bok. Przedmioty umieszczone w sześcianie zsunęły się w kąt. Ołtarz zwałił się na Broka! —

Żelazna klawiatura przygniotła mu czaszkę.

Krótki, szklany ból, a potem pustka. —  
Bezbarwne, bezkształtne nic...

## XLVIII

Zielony trójkąt pozostał na suficie. — „...Bądź zdrów!” — Sen o tysiącu pięter.

Nikt nie wie, jak długo leżał Piotr Brok pod stalowymi klawiszami organów Ohisvera Mullera. W pewnej chwili ów bezimienny człowiek, co na początku opowieści ocknął się na schodach, otworzył nagle oczy i zobaczył sufit, taki anielsko biały, lśniący

---

Pośrodku dziewiczo białego sufitu zielenieje trójkąt. Człowiek przeląkł się i przymknął oczy.

Ale cóż to? — Trójkąt pozostał na suficie i ani go nie kłuł, ani nie dławił. — Człowiek powoli i ostrożnie uchylił powieki. — Przekonał się, że jest on tylko wymalowany i nie może mu zagrażać. Przeciwnie. Tak dobrze było teraz ogarnąć go oczami i podziwiać wspaniałą, surową prostotę rysunku —

Po chwili usłyszał głos:

— Patrzcie! — Budzi się... — Obrócił się

zdziwiony. Zdębiał. Zobaczył twarze ludzi! Prawdziwe, żywe, z krwi i kości, o mrugających powiekach, poruszających się ustach i przyjaznych uśmiechach.

Te same szkła na nosie, ta sama siwa, po tysiąc razy skubana bródka — to chyba doktor — a obok młode, czyściutkie i gładkie buzie w białych czepkach. — To siostry miłosierdzia, na piersiach mają czerwone krzyże. Mnóstwo, mnóstwo ładnych twarzy otaczało łóżko człowieka.

Mężczyzna w białym fartuchu i z siwą bródką pochyła się nad nim i bada puls.

— Zdrow! — mówi. — Nie wierzę w cuda, ale tego nie potrafię wytłumaczyć...

— Gdzie ja jestem? — szepce tchórzliwie człowiek, przypominając sobie sen o tysiącu pięt.

Doktor uśmiechnął się.

— Na świecie!... Powinieneś już dawno leżeć za obozem tockojским<sup>1</sup> w dole tyfusowym pod warstwą wapna! — Chwycił go za ucho i potarł nos.

— Bądź zdrow! Dziś wypiję za twoje zdrowie o jedną szklaneczkę więcej i spokojnie położę się spać... Wiesz, czarcie, że już trzeci dzień masz silną gorączkę?

Przyniesiono cię tutaj z baraku śmierci! Gadasz jakieś głupstwa, awanturujesz się, uciekasz z łóżka, musieliśmy cię związać rzemieniami... Przez cały czas byłeś nieprzytomny. Była to jakaś odmiana tyfusu, połączona ze śpiączką... czart wie jaka. Co ci się śniło, synku, kto to był Ohisver Muller i czemu tak cię gnębił?

Wzruszony pacjent nie słuchał doktora. Błyskawicznie przypomniał sobie swoją przeszłość, imię, własną pozycję w świecie i miejsce rodzinne, do którego powróci z niewoli.

— Wszystko się odnalazło i było tak proste i bliskie, jak pięć palców u ręki.

Dopiero nazwisko Ohisvera Mullera odnowiło wspomnienia strasznego snu.

Na pół z lękiem, a na pół ze śmiechem powiedział:

— Śniło mi się, że błądzę po gmachu o tysiącu pięter. Ohisver Muller był jego gospodarzem.

KONIEC

---

<sup>1</sup> Тockoje — Wieś w Rosji, w obwodzie orenburskim, nad Samarą (l. dopływ Wołgi), niedaleko granicy z Kazachstanem. W pobliżu znajduje się wielki poligon wojskowy.